



REQUIEM
DUSZY

TRYLOGIA SOCJETA #1

NATASHA KNIGHT

Bestsellerowe autorki *USA Today*

A. ZAVARELLI

SPIS TREŚCI

PROLOG - IVY

1 - IVY

2 - SANTIAGO

3 - IVY

4 - IVY

5 - IVY

6 - IVY

7 - IVY

8 - SANTIAGO

9 - IVY

10 - SANTIAGO

11 - IVY

12 - SANTIAGO

13 - SANTIAGO

14 - IVY

15 - SANTIAGO

16 - IVY

17 - IVY

18 - SANTIAGO

19 - SANTIAGO

20 - IVY

21 - SANTIAGO

22 - IVY

23 - SANTIAGO

24 - IVY

25 - IVY

26 - SANTIAGO

27 - IVY

28 - SANTIAGO

29 - IVY

30 - IVY

31 - SANTIAGO

32 - IVY

33 - SANTIAGO

34 - IVY

.

O Autorkach

Requiem Duszy

TYTUŁ ORYGINAŁU

Requiem of the Soul

Copyright © 2021. Requiem of the Soul: A Sovereign Sons Novel by A. Zavarelli & Natasha Knight

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Papierówka Beata Bamber, 2022

Copyright © by Wydawnictwo Papierówka Beata Bamber, 2022

Redaktor prowadząca: Beata Bamber

Redakcja: Agata Polte

Korekta: Patrycja Siedlecka

Opracowanie graficzne okładki: Justyna Sieprawska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Beata Bamber

Wydanie 1

Gołuski 2020

ISBN 978-83-66429-98-7

Wydawnictwo Papierówka Beata Bamber

Sowia 7, 62-070 Gołuski

www.papierowka.com.pl

Przygotowanie wersji ebook:

Agnieszka Makowska www.facebook.com/ADMakowska

Natasha Knight
A. Zavarelli

REQUIEM DUSZY

Trylogia Socjeta 1

PRZEŁOŻYŁA
Anna Kot



SERIA SOCJETA

Tom 1 - REQUIEM DUSZY

REQUIEM DUSZY

PROLOG - IVY

Koronka sukni drażni mi skórę. Drzę. Jest zimno, w dodatku lekka mżawka zmienia się w deszcz. Deszcz w dniu ślubu zwiastuje szczęście, prawda? Czyż nie tak głoszą przesady?

Wpatruję się w ustawione po obu stronach schodów, osłonięte szklanymi lampionami świece, które oświetlają drogę do dwuskrzydłowych drzwi wejściowych. Minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz byłam w tym miejscu.

Drzwi stają otworem. Rozbrzmiewają organy, a do mojego nosa dociera zapach kadzidła. Zamykam oczy, wsłuchując się w melodię, następnie biorę głęboki wdech. Połączenie dźwięków i woni jest oszałamiające, ale to nie dlatego chwieję się na nogach. Dzieje się tak z powodu tego, co ma nastąpić. Przez to, co czeka mnie przy ołtarzu.

W następnej chwili brat podsuwa mi ramię, po czym klnie cicho i mówi, żebym się wyprostowała.

Ściskam bukiet czerwonych róż. Jeśli nie będę ostrożna, połamię je. Są olśniewające. Piękne. Jak suknia ślubna, którą dziś włożyłam. Mój narzeczony ma doskonały gust, lubi określone rzeczy. Ma też zasady. I przywykł dostawać to, czego chce.

Wchodzimy powoli po schodach. Wiem, że to tempo wkurza brata, ale jego denerwuje dosłownie wszystko. W drodze do wejścia przydeptuje czubkiem buta moją suknię, przez co czuję lekkie szarpnięcie, jednak po kilku krokach stajemy w holu. Melodia grana na organach jest tu głośniejsza, a zapach kadzidła nasila się, mieszając z wonią topniejącego wosku.

Drzwi zamykają się za nami, ostatecznie odgradzając to, co było, od tego, co ma nadejść. Moją przeszłość od przyszłości. Jakiś głos w głowie coraz bardziej natarczywie nakłania, bym uciekła, ale tego nie robię. Nie ma sensu. Goście wstają, obracając się, by spojrzeć pustym wzrokiem na swoją ofiarną pannę młodą, jednak nie widzę ich twarzy. Są tylko rozmytymi plamami, bo ja skupiam się na jednym mężczyźnie. Nieznajomym stojącym przed ołtarzem. Obcym, w którego łóżku będę tej nocy spała.

Czuję odrętwienie. Jakby to nie było prawdziwe. Jakby to nie o mnie chodziło.

Pomieszczenie wiruje, a brat zacieśnia uchwyt na mojej ręce. Jutro będę miała przez to siniaka.

Idziemy powoli dalej. Nadal ściskam bukiet, jak gdyby od tego zależało moje życie. Paznokcie wbijam w skórę dłoni aż do krwi, ponieważ ból odwraca uwagę od zawrotów głowy.

Tysiąc świec rozświetla katedrę delikatnym blaskiem, muzyka przypomina raczej żałobne zawrodożenie niż marsz weselny. Zgaduję, że to on ją wybrał. Przynajmniej pasuje do sukni. Tak właśnie postępuje mój narzeczony. Rozumiem dlaczego. Wpatruję się w niego nieustannie. Stoi zwrócony bokiem, obserwując mnie i brata, kiedy kroczymy między gośćmi.

Rozpoznaję wśród obecnych zaledwie jedną, może dwie osoby. Są tutaj wyłącznie mężczyźni. Jakiś tuzin. Nie ma nawet mojej matki.

Zerkam na brata, a wtedy dostrzegam plamkę brudu lub krwi na jego kołnierzyku. Wcześniej jej nie zauważyłam i chcę o nią zapytać, lecz milczę. Abel zaciska zęby i spogląda groźnie przed siebie, a ja wiem dlaczego – to tata powinien prowadzić mnie do ołtarza, jednak nie może.

Ogarnia mnie smutek, ale nie mam czasu, by się mu poddać. Nie tutaj, nie teraz. Jesteśmy już prawie u celu.

Zerkam w dół na wypastowaną marmurową podłogę, czując jej chłód pod bosymi stopami. Stawiam ostatnie kroki. Teraz każdy dźwięk zdaje się jeszcze głośniejszy w tym dziwnym śnie, który okazuje się moją rzeczywistością.

Brat obraca mnie do siebie. Unosi welon i zimnym policzkiem muska mój. Ponad jego ramieniem patrzę na narzeczonego. Twarz mężczyzny wciąż skrywa się w cieniu, ale wiem, że nas obserwuje. Obserwuje mnie. Dostrzegam jedynie błysk w piwnych oczach.

Santiago De La Rosa.

Mężczyzna, który wybrał mnie na żonę.

Mężczyzna, do którego będę należeć.

Brat się prostuje, po czym lekkim szarpnięciem podaje moją dłoń Santiagowi.

Przełykam z trudem ślinę, serce łomocze mi w piersi, gdy przyszły mąż ujmuje mój nadgarstek. Kwiaty wyslizgują mi się z uścisku i lądują na zimnym marmurze u naszych stóp.

Ledwie to zauważam, bo staję jak zaklęta.

Świece migoczą, a cień i światło tańczą na twarzy Santiaga, ukazując mi ją po raz pierwszy. Tracę oddech, moje ciche westchnienie zostaje zagłuszone przez organy oraz skrzypiące antyczne ławy, które właśnie zajmują goście.

Rozpoczyna się ceremonia.

1 - IVY

Wysiadam z auta, chowam głowę przed deszczem i wyciągam torbę z za siedzenia. To stara listonoszka, którą zeszłej jesieni, przed wyjazdem do szkoły, znalazłam na strychu. Przewieszam pasek przez ramię i biegiem kieruję się do apartamentowca.

Przez pośpiech niemal mi to umyka, jednak nie trzeba widzieć niektórych rzeczy, żeby o nich wiedzieć. Po prostu się je czuje. Dlatego przystaję nagle na środku parkingu. Deszcz przemacza mój cienki płaszcz, gdy obracam się i spoglądam na ten jeden samochód, który nie pasuje do innych. Lśniący czarny sedan z przyciemnianymi szybami. Rolls-royce. Ich flagowy wóz. Staroświecki. Elegancki. Świadczący o bogactwie i władzy. Zdecydowanie się wyróżnia.

Moje serce zaczyna bić szybciej.

Przez przednią szybę widzę, że nikt nie siedzi w środku, więc podchodzę bliżej. Gdybym miała jakiegokolwiek wątpliwości, do kogo należy auto, rozwiąły się w chwili, kiedy zauważam wytłoczenie w skórzanym zagłówku. Pomimo mokrej od deszczu szyby i panującego mroku, którego nie rozświetla żadna uliczna lampa, dostrzegam złote litery wypisane znajomą czcionką.

IVI.

Drzę jednocześnie z zimna i gorąca. Wiedziałam, że mogą się zjawić o każdej porze, czyż nie? To była część umowy.

– Nie. – Kręcę głową, odwracając się w stronę wejścia do budynku.

Nie uciekam już przed deszczem.

Powtarzam sobie, że to wszystko nie musi oznaczać czegoś złego. Może tata wpadł z niezapowiedzianą wizytą.

„A może to dlatego Evangeline przez cały wieczór nie odpowiadała na SMS-y”.

Gdy wchodzę do budynku, przystaję i biorę kilka głębokich oddechów. To nic strasznego. Samochód pewnie należy do taty.

„Więc gdzie jest Joseph, jego zaufany kierowca?”

Wchodzę po schodach do mojego mieszkania na drugim piętrze, rozglądając się za Josephem albo ojcem, jednak ich nie dostrzegam. No ale tata ma klucz, widocznie czeka w środku.

Czuję jednak, że coś jest nie tak.

Cokolwiek się dzieje, muszę się z tym zmierzyć. Nie uda mi się uniknąć tego, co nadchodzi. Uświadamiam to sobie coraz wyraźniej, gdy widzę uchylone drzwi do mojego mieszkania. Nie są otwarte na oścież – zaledwie na tyle, by przez powstałą szparę przesączało się światło, co oznacza, że ktokolwiek jest w środku, nie chce mnie zaskoczyć.

Po chwili popycham drzwi, lecz nie robię kolejnego kroku. Zamiast tego stoję na własnej wycieraczce, zaglądając do niewielkiego salonu.

Światło pali się w sypialni.

Biorę kolejny głęboki wdech i wchodzę do środka. Nie zamykam za sobą, tylko idę dalej, zerkając na blat, na którym dostrzegam breloczek z kluczami leżący obok wyglądających złowieszczo skórzanych rękawiczek.

Kiedy później wyczuwam zapach wody po goleniu, kurczy mi się żołądek.

„To nie tata”.

Jakby w odpowiedzi na moje myśli, z sypialni wychodzi mój przyrodni brat Abel. Zatrzymuje się w salonie i przechyla głowę, przyglądając mi się beznamiętnym spojrzeniem.

– Nie masz parasola? – pyta.

To pierwsze słowa, jakie wypowiada do mnie od ponad roku.

Kładę torbę na podłodze i rozpinam płaszcz, próbując zachować spokój. A przynajmniej sprawiać wrażenie spokojnej.

– Co tu robisz? Skąd masz klucze?

Abel wychodzi z cienia z krzywym uśmiechem. Nic się nie zmienił. Szczerzy szyderczo zęby, a w jego oczach widoczna jest dezaprobata, gdy obserwuje, jak zdejmuję przemoczone okrycie, które przewieszam przez oparcie krzesła.

– Też się cieszę, że cię widzę, siostrzyczko. – Przechodzi obok mnie do kuchni, gdzie wyciąga butelkę whisky, którą trzymam specjalnie dla taty. Brat odkręca nakrętkę, wacha zawartość, po

czym bierze czystą szklanę i nalewa sobie alkoholu. – Możesz w ogóle pić? – rzuca, odwracając się w moją stronę.

Opiera się o blat i upija łyk.

– To nie moje, tylko taty – wyjaśniam. – Co tu robisz?

– Nie mogę odwiedzić własnej siostry?

Nawet nie kłopotuję się odpowiedzią. Abel i ja żywimy do siebie jednakowe uczucia. On nienawidzi mnie, a ja jego. Od pierwszego dnia.

„Palant”.

– Dlaczego wracasz tak późno? – pyta wrednym tonem.

Podchodzę akurat do biurka i zauważam, że grzebał w moim kalendarzu i notatkach z wykładów. Zastanawiam się, czego szukał.

– Musiałam iść do pracy. Czemu tu przyjechałeś, Abel?

Zamykam kalendarz. Nic w nim nie znalazł, więc się nie martwię. Znam zasady, ale siebie również. Chociaż bardzo chciałabym powiedzieć, że nie obchodzą mnie ani oni, ani żadne konsekwencje, jest odwrotnie.

– Bibliotekę zamknęli godzinę temu. Nadal pracowałaś? Łapiesz nadgodziny? – dąży.

– Sprzątałam po zamknięciu. Skąd w ogóle znasz godziny otwarcia biblioteki? Śledzisz mnie? Tata pozwolił mi tu być, dobrze o tym wiesz.

– Mam nadzieję, że nie kłamiesz, Ivy. Obyś nie randkowała po pracy.

Brat dopija whisky, odstawia szklanę do zlewu i wraca do salonu.

– To dlatego grzebałeś w moim kalendarzu? – pytam.

Uśmiecha się.

– Mam złe wieści. – Wzrusza ramionami. – Ale dobre też. Od których zacząć?

Powraca uczucie niepewności, które towarzyszy mi przez cały dzień. Chwytam się oparcia krzesła, by zachować równowagę, co nie umyka uwadze Abla.

– Tylko mi tutaj, kurwa, nie mdlej. Jak powiedziałem, nie wszystkie wieści są złe.

– O co chodzi?

– Ojciec się rozchorował.

Abel nigdy nie był blisko z żadnym członkiem rodziny, nie łączy nas żadna więź, więc to, że przekazuje wiadomość, jakby się z niej cieszył, zupełnie mnie nie zaskakuje.

– Co masz na myśli? – dopytuję.

– Dostał jakiegoś ataku...

– Ataku? Coś z ser...

– Daj mi dokończyć – przerywa, siadając na kanapie. Jedną rękę układa na oparciu, a drugą dotyka dziurki w poduszce, obok której zajął miejsce. To chyba ślad po papierosie. – Palisz, Ivy? – pyta szczerze zdziwiony.

– Meble są częścią wyposażenia. Już je takie zastałam. Co się stało tacie? – Podnoszę torbę i szukam w niej telefonu.

– Nic ci to nie da – oznajmia Abel, gdy chwytam komórkę. – Ojciec nie może aktualnie odebrać. – Naśladuje prześmiewczo głos automatycznej sekretarki, ale w jego wykonaniu brzmi to dziwnie, wręcz upiornie.

– Co ci odbiło?

Wybieram numer taty. Natychmiast zgłasza się poczta głosowa. Dzwonię więc do Evangeline, jednak dzieje się to samo. Próbuję nawet do mamy. Nie odbiera.

W kolejnej chwili Abel wstaje i ogromną dłonią zabiera mi telefon. Kończy połączenie, po czym wpycha komórkę do swojej kieszeni. Spoglądam na niego uważnie. Mnie i Abła dzieli dziesięcioletnia różnica wieku, brat jest owocem pierwszego małżeństwa taty. Od zawsze nienawidził mnie i moich sióstr, pochodzących z drugiego uznanego związku.

Twarz Alba przybiera mroczny wyraz.

– Ojciec jest w śpiączce – rzuca. – Robią mu badania, ale nie wygląda to dobrze.

– Co? Jak? Kiedy? – dopytuję.

– Dwa dni temu.

– I dopiero teraz mi mówisz? Gdzie on jest?

– W szpitalu. A myślałaś, że gdzie?

– W którym?

Brat patrzy na mnie jak na idiotkę. Doskonale wiem, w którym szpitalu leży ojciec. Członkowie Socjety leczą się tylko w

jednym. Biegnę do sypialni, żeby zabrać kilka rzeczy. Pojadę do domu. Muszę. Boże, nigdy nie myślałam, że kiedyś wrócę tam z własnej woli.

– Nie chcesz usłyszeć dobrych wieści? – pyta Abel, przystając w wejściu.

Patrzę, jak opiera się o framugę.

– Nie chcę. Tata leży w szpitalu, muszę go zobaczyć. Dowiedzieć się, co się stało. Bo ty nic mi przecież nie powiesz, prawda?

Wchodzi do sypialni.

– Powiem ci tyle, ile uznam za stosowne – stwierdza.

– Czy to, co się stało, w ogóle cię obchodzi?

Abel spogląda na mnie, jakby zdziwiło go pytanie. Kręcę głową, nie wiedząc, po co je zadałam. Szperam pod łóżkiem, aż odnajduję torbę. Kładę ją na pościeli i rozpinam.

– Muszę spakować kilka rzeczy. Wyjdź stąd, Abel. – Otwieram szufladę, z której wyjmuję parę swetrów.

– Nie będą ci potrzebne – mówi, podchodząc. Potem łapie mój nadgarstek. – Ktoś uprzątnie mieszkanie. Teraz nie ma na to czasu.

Patrzę na rękę, za którą mnie trzyma. Jego uchwyt nie jest mocny, ale brat przekroczył granicę. Spoglądam mu w oczy. Są mroczne i puste. Odkąd byłam mała, zawsze przerażało mnie to bezduszne spojrzenie.

– Puszczaj – żądam.

Nie robi tego. Zerka na zegarek.

– Musimy iść.

– Nie pojadę z tobą. Mam swój samochód. Mogę...

– Powiedziałem, że musimy iść.

Ogarnia mnie strach. Znajomy lęk. Przypominam sobie, co powiedział wcześniej. Ktoś uprzątnie moje mieszkanie.

– Puść.

– Nie wysłuchałaś dobrych wieści, Ivy – stwierdza poważnym tonem. – Nadszedł czas, abyś wypełniła swoje powinności względem rodziny. Robi mi się niedobrze.

– Zostałaś wybrana – dodaje niemal uroczyście.

Serce mi przyspiesza, a fala nudności sprawia, że łapię się za brzuch.

„Wybrana”.

Zawsze istniała taka możliwość, wręcz duże prawdopodobieństwo. Ale nasza rodzina nigdy nie należała do najwyższych kręgów Socjety. Przynajmniej nie znajdowała się na tyle wysoko, jak chcieliby rodzice. Po tym, co wydarzyło się z Hazel, szanse, że któryś ze Sprawiedliwych Synów wybierze jedną z moich sióstr albo mnie, były bardzo niskie.

– Co masz na myśli? – pytam ze ściśniętym gardłem.

Abel wzdycha, puszczając mój nadgarstek, po czym unosi mi podbródek, obracając lekko głowę, przez co jestem zmuszona na niego spojrzeć. Odsuwa moje włosy z twarzy i prawego oka.

Przymykam powieki. Czuję, że oblewa mnie zimny, lepki pot. Abel zaciska palce, a ja wiem, czego chce, więc w końcu na niego patrzę. Brat skupia się na moim prawym oku. Tym, które matka uważa za zdeformowane. Ale to tylko pigment. Nie ma wpływu na wzrok. Pewnie nikt by nawet niczego nie zauważył, gdybym miała ciemniejsze tęczęwki. W dzieciństwie przez jakiś czas matka zmuszała mnie do noszenia szkieł kontaktowych, by ukryć wydłużoną jak u kota źrenicę. Prababcia ze strony ojca też taką miała, więc odziedziczyłam to po jego rodzinie wraz z oliwkową cerą i czarnymi włosami. Po mamie dostałam jasnozielone oczy, co tylko podkreśla wadę.

Abel krzywi się z obrzydzeniem.

– Bóg raczy wiedzieć dlaczego, ale wybrano właśnie ciebie.

Puszcza mnie, niemal odrzucając jak zużytą chusteczkę. Rozumiem. To dziwne. Wręcz ohydne. Dlatego noszę długą grzywkę, by nie zwracać niczyjej uwagi.

Ściskam sweter, który nadal mam w dłoniach, i próbuję się skupić na tym, co istotne.

– Pojadę do taty. Później wrócę do szkoły – mówię.

– Nic z tego. Pora zakończyć te mrzonki. Nigdy nie powinnaś dostać zgody na coś takiego. Twój egoizm wywołał wiele problemów, Ivy.

Krople potu spływają mi po karku. Odwzajemniam spojrzenie Abła, choć pokój wokół niego wiruje.

– Nie – mamroczę.

– Od teraz jestem głową rodziny. I to ja zdecyduję o tym, co możesz, a czego nie. Postąpisz, jak każę, i nie splamisz honoru rodziny po raz kolejny.

Hazel. Ma na myśli to, co zrobiła. Był wściekły, gdy odeszła. Pragnął ją odnaleźć i siłą sprowadzić z powrotem.

– Abel...

– Nie chcesz nawet wiedzieć, przez kogo zostałam wybrana?

Nie potrafię orzec, czy uśmiecha się z dumą czy pogardą.

– Nie obchodzi mnie to. Nie zrobię tego. Nie jestem...

– Ależ zrobisz, siostrzyczko. Choćbym siłą miał zaciągnąć cię do ołtarza. – Chwyta mnie za ramię i wyciąga z sypialni. – Jest sporo do zrobienia przed ślubem, a nie mamy zbyt wiele czasu. On wyraźnie nie może się doczekać, aż dostanie cię w swoje ręce.

Próbuję się wyrwać.

– Przestań. Nigdzie z tobą nie pójdę, nie wyjdę za mąż za obcego! – Łapię się oparcia kanapy. Wiem, że to głupie, jednak tylko tyle mogę zrobić. – Puszczaj!

Abel szarpie mną tak, że dłonie ześlizgują mi się z mebla.

– Zachowujesz się jak pieprzony bachor, Ivy.

– Tata nigdy by na to nie pozwolił! – krzyczę.

Brat zatrzymuje się i mnie puszcza. Przechyla głowę, samo jego spojrzenie wystarcza, żebym się wycofała, gdy rzuca się w moim kierunku. Nie zdaje się to na wiele. Nie pomaga też to, że wyciągam przed siebie ręce w obronnym geście, ponieważ Abel odpycha je gwałtownie, po czym mnie policzkuje. Siła uderzenia sprawia, że wpadam na ścianę. Jestem oszołomiona zarówno przez jego agresję, jak i ból. Na moment robi mi się ciemno przed oczami. Osuwam się na podłogę, przyciskając dłoń do policzka. Skóra piecze, jest rozgrzana, a z tyłu głowy czuję kłucie.

– Cholera. – Abel wyciąga rękę i łapie moje ramię. – Widzisz, do czego mnie zmusiłaś? – warczy przez zaciśnięte zęby.

Po policzku spływa mi pojedyncza łza. Mrugam, próbując odzyskać ostrość widzenia. Nie chcę płakać. Nie chcę się bać. Wiem, że tak musi być. Abel ma rację, a ja wykonam rozkaz, bo

nie mam innego wyjścia. Byłam świadoma, że może dojść do czegoś takiego, jednak myślałam, że ojciec uchroni mnie przed takim losem.

„Tata”.

– Chcę zobaczyć tatę.

– Mówiłem ci...

– Tylko na chwilę. Pozwól mi go przed tym zobaczyć.

Brat się zastanawia.

– Zaczynasz mówić z sensem.

Zabiera ręce i się odsuwa. Widzę po jego minie, że myśli o tym, co się wydarzyło. Nie jest mu przykro – to nie w stylu mojego brata – ale trochę żałuje. Zastanawiam się, czy ma to coś wspólnego z mężczyzną, który mnie wybrał.

Wybrał.

„Boże, czy Socjeta zdaje sobie sprawę, że nie żyjemy już w średniowieczu?”

Abel ponownie spogląda na zegarek.

– Musimy iść – rzuca.

– Chcę zabrać tylko kilka rzeczy.

Zaciska zęby, ale kiwa głową.

– Masz pięć minut. Zaczekam na dole.

Również potakuję.

– Nie próbuj zwiać, Ivy – ostrzega. – Jeśli uciekniesz, wyślę za tobą całą armię.

– Dokąd miałabym pójść, Abel?

Przygląda mi się przez chwilę, mrużąc oczy z nienawiścią, po czym wychodzi.

– Kto?! – wołam za nim, kiedy podchodzi do drzwi. Moja ciekawość zwycięża.

Brat zatrzymuje się i odwraca w moją stronę.

– Kto to jest? – pytam.

Uśmiecha się krzywo, jakby odniósł jakieś zwycięstwo.

– Teraz chcesz wiedzieć?

– Po prostu mi powiedz.

Uśmiech mu blaknie. Właściwie z jego twarzy znikają wszelkie emocje. Zostaje tylko nienawiść.

– Nawet do ciebie pasuje – stwierdza.

Wpatruję się w niego, nie rozumiejąc.
– Co masz na myśli?
– Pozwolę ci samodzielnie się przekonać.
– Kto, Abel? – powtarzam.
– Santiago De La Rosa.

2 - SANTIAGO

Siadam na marmurowej ławie w rodzinnej kaplicy De La Rosów i spoglądam na migoczące na ołtarzu świece. Wydaje się, że to miejsce nie zmieniło się, odkąd ojciec je zaprojektował. Białe marmurowe kolumny, bogate złote zdobienia, przepych w każdym calu. Świątynia jest jednym z wielu ekstrawaganckich wytworów mojej rodziny. Przez dekady ród De La Rosa rozbudowywał posiadłość. Nigdy nie było wątpliwości, że pewnego dnia ją odziedziczę. Nie spodziewałem się tylko, że nastąpi to tak szybko. Zostałem wybrany na następcę, którego przeznaczeniem jest przemierzać te korytarze, gdzie wspomnienia wyglądają z każdego zakamarka.

Ojciec przyprawdzał mnie niegdyś do tej kaplicy, gdy trzeba było udzielić mi lekcji. Lorenzo De La Rosa nie był łagodnym mężczyzną. Był bezpośrednim spadkobiercą założyciela Imperium Valens Invictum. Sprawiedliwym Synem. Nasza Socjeta jest powszechnie znaną organizacją, której korzenie sięgają potężnych dynastii z całego świata. Niektórzy nazywają nas nocnymi złodziejami. Grupą przestępczą. Mafią. Prawda jest o wiele bardziej zagmatwana niż te puste frazesy.

Nasi przodkowie dawno temu nauczyli się, że potęga leży w zachowywaniu tajemnicy. Przekazywana od pokoleń spuścizna przyniosła lepszy rozwój niż krwawe uliczne wojny. Mamy pieniądze. Mamy władzę. I jesteśmy o wiele bardziej wyrafinowani niż przeciętni, łamiący kości, włoscy mafijni bossowie.

Członkowie IVI traktowani są z najwyższym szacunkiem. Ale w ślad za taką władzą podążają oczekiwania. Musimy być wykształceni. Wykazywać się profesjonalizmem. Lecz przede wszystkim zachowywać dyskrecję. Za dnia jesteśmy jak każdy dobrze wychowany członek wyższych sfer. Nikt nie wie i nigdy się nie dowie, jak działa nasza organizacja.

Już w dzieciństwie ojciec obarczył mnie ogromną odpowiedzialnością. Był powszechnie szanowanym człowiekiem, zdeterminowanym kształtować dzieci na swoje podobieństwo, nie bacząc na cenę. Na przestrzeni lat

odebrałem przez to wiele trudnych lekcji. Przez długie godziny klęczałem na marmurowej posadzce. Obrywałem skórzanym pasem. Drewnianą laską. Powtarzałem modlitwy i tłumilem żal powodowany tym, że nigdy nie byłem... wystarczająco dobry.

De La Rosowie nie mogą być mięczakami.

Mam wrażenie, że słowa ojca wciąż odbijają się echem od tych ścian.

Przesuwam spojrzenie na zdjęcia przedstawiające Lorenza i mojego brata Leandra, które wiszą po obu stronach ołtarza. Nie mam wątpliwości, że powiedzieliby mi, iż podjęcie kolejnych kroków jest nieuchronne i konieczne. Jedynym sposobem na pomszczenie ich jest bezlitosne ukaranie winnych. Eli Moreno ma krew na rękach, ale skurwiel zachorował, zanim dostałem szansę na to, by wycisnąć z niego resztki duszy.

Zwieszam głowę, gdy narastający w moim wnętrzu gniew odbiera mi zdolność widzenia. Czekałem cztery lata. Cztery lata niezliczonych operacji i fizjoterapii. Moimi jedynymi kompanami w tej ciemności były niekończące się cierpienie i żałoba, kiedy szukałem odpowiedzi oraz prawdy.

Eli mi tego nie odbierze. Choroba nie okaże się dla niego drogą ucieczki. Gdy będzie leżał w szpitalu, drżąc i obracając się w nicość, zniszczy wszystko, co kiedykolwiek kochał. A jeśli kiedykolwiek się obudzi, będzie to dla niego gorsze niż śmierć.

Przeznaczenie zdecydowało za mnie. Czas to przywilej, którego już nie mam, więc muszę działać. Pewność, że to właściwe, przenika do kości, wprawiając w drżenie zebra otaczające moje serce. Rodzina Moreno, każdy jej członek, zapłaci krwią i bólem tak dotkliwym, aż zrozumie, że cierpi o wiele bardziej niż ja kiedykolwiek. Drzwi do bocznego korytarza otwierają się, wyrывая mnie z zamyślenia. Drgam gwałtownie i czuję złość. Czy tak trudno uszanować jedną pieprzoną prośbę i zapewnić mi ciszę we własnym domu?

Nowa pokojówka wpada do pomieszczenia, nieświadoma mojej obecności, po czym zapala światło. Nagła jasność razi w oczy, gdy z niedowierzaniem obserwuję, jak kobieta zaczyna odkurzać ławy, nucąc pod nosem. Nie dostrzegła mnie jeszcze,

bo w uszach ma słuchawki, przez co jej zmysły są bardziej przytępione niż u złapanej w pułapkę myszy.

Wstaję i obracam głowę, by na nią spojrzeć. Kątem oka zauważa ruch i zerka prosto na mnie. W ułamku sekundy na jej twarzy pojawia się przerażenie, bo nie skrywam się już w przytłumionym świetle świec. Miotelka, której kobieta używała, upada na podłogę, a sprzątaczką drżącymi dłońmi zasłania usta, ale nie na tyle szybko, by nie wyrwał się z nich okrzyk.

Całe moje ciało mrowi, gdy przeszywam ją bezlitosnym spojrzeniem. Powinienem już przywyknąć do widocznej w jej oczach odrazy. Rzadko jednak zdarza się, by ktoś widział mnie w pełnym świetle, a dopiero wtedy przypominam sobie, kim jestem. Potworem czającym się w mroku. Ostatnim naznaczonym bliznami męskim potomkiem noszącym nazwisko De La Rosa, który powstał z popiołów pozostałych po próbie zniszczenia jego rodziny. Do tego zostałem sprowadzony. A odpowiedzialni za to zapłacą własną krwią.

– Co mówiłem na temat światła?! – wrzeszczę.

Pokojówka kuli się, wybuchając histerycznym płaczem. Kręci głową, jakbym w każdej chwili mógł wyssać z niej duszę. Wycofuje się w pośpiechu, gasi światła i zostawia mnie samego w pomieszczeniu, zamykając za sobą drzwi. Myśli, że coś by to dało, gdybym postanowił rzucić się za nią w pościg? Nie. Ale ta kobieta nie jest modlitwą, której łaknie moja dusza. Wątpię też, że jeszcze kiedykolwiek ją zobaczę.

* * *

Obserwuję w wysokim lustrze sprzedawczynię, która wprowadza wieszak z wybranymi przeze mnie sukniami. Oczy wlepią w podłogę, nie śmie spojrzeć mi w twarz. Przynajmniej ona potrafi wypełniać polecenia. A może po prostu, jak większość kobiet, boi się przebywać w moim towarzystwie.

Sklep z markowymi ubraniami na Canal Street należy do IVI, więc wezwanie kogoś, by obsłużył mnie w środku nocy, nie stanowi żadnego problemu. Taką moc ma nazwisko De La Rosa. Nikt nie neguje zachcianek Sprawiedliwego Syna. Jeśli pracownicy są mądrzy, spełnią moje żądania bez dyskusji.

Przerażona, drobna ekspedientka wykonuje wszystkie polecenia. Światło w sklepie jest przytłumione, jedynie kilka świec oświetla delikatnym blaskiem drogie materiały na wieszakach. W tle nie słychać żadnego zbędnego dźwięku, nie chodzi nawet wiatrak. Cisza i ciemność. To moje stałe wymogi.

– Za chwilę wrócę z jeszcze kilkoma, panie De La Rosa.

Żwawym krokiem idzie na zaplecze, a ja oglądam swoje odbicie w lustrze. Rzadko to robię, biorąc pod uwagę, że w moim domu pozostały tylko dwie lśniące powierzchnie. Pozostałe kazałem usunąć. Ledwo rozpoznaję wyglądającą groteskowo twarz, która spogląda na mnie z lustra. Po wielu operacjach przypomina właściwie wytatuowaną meksykańską calaverę. Odbicie jest mi jednak obce. Nadaje się do obchodów Dia de Los Muertos – święta zmarłych w Meksyku. Te cienie wokół oczu i na szczęce upodobniają moje oblicze do gołej czaszki. Można by powiedzieć, że stoję jedną nogą w grobie.

Próbowałem zakryć blizny, ale nadal przypominają mi o ojcu, bracie i przyjaciołach, których straciłem w dniu, gdy Eli Moreno mnie zdradził.

Nie słyszę nawet cichego kliknięcia drzwi, więc nie wiem, że ktoś pojawia się w środku, dopóki Mercedes nie staje przy moim boku, uśmiechając się krzywo. Siostra jest wysoka i piękna jak nasza matka. Wabi mężczyzn uwodzicielskim uśmiechem, lecz jest toksyczna niczym trucizna. Ma długie włosy, czarne jak moje, tyle że odziedziczyła po ojcu ciemne oczy. Ja mam piwne po mamie. Mercedes jest najmłodsza z rodzeństwa, zbyt inteligentna, a przy tym okropnie rozpieszczona. Oczywiście nie uniknęła brutalności ze strony ojca, jednak przeważnie chroniliśmy ją razem z Leandrem. Na tyle, na ile mogliśmy.

– Santi. – Mercedes kładzie mi dłonie na ramionach, uważnym spojrzeniem oceniając materiał mojej marynarki. – Nowa?

Mówi o szytym na miarę kremowym garniturze od Canalięgo, dopasowanym w tak mistrzowski sposób, że odważyłbym się stwierdzić, iż nie ma drugiego takiego na świecie. Został uszyty, by spełnić moje oczekiwania, ale Mercedes zawsze miała

bardziej wyszukany gust. To efekt uboczny choroby, którą nazywamy bogactwem. Chociaż słowo to nawet w części nie oddaje naszego rodowodu. W naszych żyłach płynie złoto.

– Co tu robisz? – pytam. – Powinnaś oferować swoją pomoc tym, którzy jej potrzebują.

– Myślałeś, że nie przyjdę? – Dąsa się. – Och, zraniłeś mnie, drogi bracie. Gdy tylko dostałam twoją wiadomość, złożyłam wypowiedzenie i wróciłam do domu.

– Powinnaś była zostać – odpowiadam beznamiętnie. – Twoja obecność nie jest konieczna.

Ignoruje moją odpowiedź, wpatrując się we mnie w lustrze.

– Powiedz prawdę. To naprawdę się dzieje?

– Tak. Nie mam wyboru. Eli zachorował, przez co jestem zmuszony do działania.

Mercedes wzdycha, jej szkarłatne usta powoli rozciągają się w uśmiechu.

– Wreszcie.

– Masz inne rzeczy do roboty – mówię. – Powinnaś na przykład znaleźć jakiegoś biedaka, który się z tobą ożeni. Mój ślub to nie twoje zmartwienie.

Siostra staje przede mną, łapie za klapy marynarki i spogląda mi w oczy.

– Nie wyjadę. Tu nie chodzi o ciebie. Nie tylko ty ich straciłeś, nie tylko ty od lat czekasz na zemstę.

Przez chwilę wypełnia mnie poczucie winy. Wiem, że nie jedynie ja doświadczyłem straty. Cała nasza rodzina zginęła, a Mercedes od tego czasu żyje z tym bólem. Ale nie powinna się na nim skupiać. Gdyby to od niej zależało, zemsta byłaby krwawa i błyskawiczna, pozostawiłaby po sobie niezadowolenie, którego nie dałoby się naprawić. Siostrze brakuje cierpliwości i zapobiegliwości, by przeciągać odwet. A szybka śmierć nie jest dobrym rozwiązaniem dla tych, którzy oczekują końca.

– Dostaniesz swoją zemstę. – Odsuwam drobne dłonie od marynarki. – Ale zrobimy to po mojemu.

– Oczywiście – uspokaja mnie łagodnym tonem. – Proszę tylko o miejsce w pierwszym rzędzie. Chcę pomóc. Nieważne, jak

nieistotne dasz mi zadanie, wypełnię je z rozkoszą. Proszę, Santiago. Pozwól mi w tym uczestniczyć.

– Rozważę to.

Ekspedientka wraca z kolejnymi wieszakami. Rozwiesza je, pytając, czy potrzebuję czegoś jeszcze, po czym znów znika. Podchodzimy z Mercedes do kreacji, choć siostra skupia wzrok na mojej twarzy.

Ignoruję ją, przeglądając suknię po sukni. Zgodnie z moją prośbą wszystkie są czarne. Koronki, perły i jedwabie są zbyt piękne dla kogoś takiego jak Ivy Moreno. Pomimo tego i tak jeden raz je otrzyma. Żadna kobieta nie stanie ze mną na ślubnym kobiercu w łachmanach, ale z przyjemnością będą obserwował, jak kreacja zaraz po ceremonii zostanie zniszczona.

– Naprawdę kupujesz jej sukienkę? – Mercedes prychnęła. – Dlaczego?

– Ponieważ zostanie moją żoną – warczę. – Nie pozwolę, żeby zszargała nazwisko De La Rosa, wkładając suknię, której nie zaaprobuje.

– Będzie De La Rosą tylko z nazwiska – odburkuje siostra. – Kogo, do cholery, obejdziesz, w co jest ubrana, gdy jej krew spłynie po posadzce rezydencji? Gdyby zależało to ode mnie, zabiłabym ją podczas ceremonii, na oczach jej rodziny. Musiałaby przejść nago po rozżarzonych węglach, by zasłużyć na małżeństwo z tobą.

– Ale to nie zależy od ciebie.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego musisz się z nią żenić. Torturuj ją i z tym skończ.

– Nie musisz rozumieć – odprawiam ją chłodno.

W sklepie zapada cisza. Czuję na sobie wzrok Mercedes, gdy oglądam każdą suknię. Wciąż jest sporo do zrobienia, a obecność siostry tylko wszystko opóźnia. Jednak odesłanie jej teraz byłoby jak posypanie ran solą.

Wybieram najpiękniejszą kreację i wieszam ją na końcu stojaka. Przywołuję ekspedientkę, której nakazuję zapakowanie jej, podczas gdy Mercedes mamrocze pod nosem:

– Nie zasługuje, żeby włożyć coś tak pięknego. Pieprzeni Morenowie.

– Może i nie zasługuje, ale nie ty o tym decydujesz.

Siostra obserwuje mnie uważnie, gdy krążę po sklepie, szukając szpilek do kompletu. Wkrótce zjawi się tu jubiler z obrączkami do wyboru. Znalezienie reszty rzeczy zlecę moim ludziom. Kwiaty. Świece. Ozdoby do włosów.

Zatrzymuję się przed sekcją z bielizną, przełykając gulę formującą się w gardle.

– Chyba sobie żartujesz – syczy Mercedes. – Nawet mi nie mów, że zamierzasz pójść z tą suką do łóżka. Dotykam czarnej koronki i próbuję sobie wyobrazić, jak Ivy by w niej wyglądała. Mój wróg, a jednocześnie przyszła żona. Kobieta młodsza ode mnie o dwanaście lat. Nie widziałem jej od bardzo dawna. Od czasu wybuchu. Ale ją obserwowałem. Znam jej krągłości, delikatność, dziecięce marzenia o tym, że uda jej się uciec od tego życia. Będzie moja i zrobię z nią, co zechcę. Będę ją brał. Dotykał. Dręczył.

I przerażał.

Zabieram rękę, jakbym się oparzył, i sięgam do kieszeni po długopis. Jest jednak za późno, Mercedes nadal obserwuje mnie niczym jastrząb, chłonąc najdrobniejszy ruch i w ciszy rozważając, jak wykorzystać to do własnych celów, o których z pewnością mi później przypomni.

– Co to? – Zerka z zaciekawieniem na długopis.

Wkładam go z powrotem do kieszeni, ignorując siostrę. Potencjalnie niebezpieczny ruch, jeśli chodzi o Mercedes. Ma w zwyczaju zdobywać informacje, a moja reakcja tylko pobudzi jej ciekawość. Znam ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że dokładnie tak postąpi. Ta kobieta jest chorobliwie zdeterminowana.

Odkryła moje podejrzenia względem Elia tylko dlatego, że szperała mi w gabinecie, bo nie udzieliłem odpowiedzi na zadawane przez nią pytania. Kiedy znalazła akta dotyczące rodziny Moreno, zmieniła się w węża polującego na gryzonia. Była nie do zatrzymania. Nawet teraz niemal toczy pianę z ust, przez co wiem, że będę musiał pozostać czujny, ustanawiając zasady dotyczące Ivy.

Mercedes może i pragnie zemsty, ale zna swoje miejsce w szeregu. Jestem głową rodziny De La Rosa. Sprawuję kontrolę nad jej życiem. Jej przeznaczeniem. Wie, że nie powinna nawet mrugnąć bez mojej zgody. To samo tyczyć się będzie Ivy.

Słodkiej, trującej Ivy.

– Kiedy ją zabijesz? – pyta siostra.

W jej głosie słyszeć, że potrzebuje, bym zapewnił ją o tym, że to w ogóle nastąpi.

Ponownie ignoruję Mercedes i ku jej pogłębiającemu się niezadowoleniu wybieram szpilki dla mojej panny młodej.

– Gdybym nie wiedziała, jak się sprawy mają, pomyślałabym, że naprawdę chcesz poślubić tę kobietę – mówi z wyrzutem Mercedes.

Patrzę na nią, by nie było między nami żadnych nieporozumień.

– Chcę ją zniszczyć. Nie daj się zwieść. Zrobię to.

– Dlaczego mi nie powiesz? – pyta błagalnie. Jej głos niesie smutek, który tak rzadko okazuje. – Zdradź, jak ją zabijesz.

Odpowiadam jednym słowem:

– Powoli.

3 - IVY

Nieco po drugiej nad ranem skręcamy w ślepią uliczkę, przy której stoi nasz dom. Cóż, dom to za dużo powiedziane. Miejsce, w którym się wychowałam. Wiem, że Hazel czuła względem tego budynku to samo. Przypuszczam, że Evangeline także.

Przynajmniej się z nią spotkam. Moja młodsza siostra ma tylko trzynaście lat. Kiedy byłam w jej wieku, wszystko się zmieniło. W tamtym okresie Socjeta namieszała w naszym życiu jak nigdy wcześniej.

Morenowie stoją dość nisko w hierarchii, co uważałam za dobre, bo mogłoby ułatwić wyjście z sekty. Panuje tu coś w rodzaju systemu kastowego, według którego rodzina ojca nie wypada najlepiej na tle pozostałych. Matka to zupełnie inna historia.

Ojciec był wcześniej żonaty. Kiedy dorastałam, nigdy nie wspomniał o tej kobiecie. Właściwie tylko raz widziałam jej zdjęcie. Zaspałam wtedy do szkoły i potrzebowałam pieniędzy na obiad, a pod ręką miałam jedynie portfel taty. Spóźniłam się tamtego dnia na autobus przez fotkę wielkości paznokcia, które wypadło wraz z banknotem, co mnie bardzo zaskoczyło. Tata miał w portfelu zdjęcie obcej kobiety. Nie nosił w nim nawet fotografii własnych dzieci.

Pamiętam, że była piękna, jednak całkowicie inna od matki. Miała takie same ciemne oczy jak mój brat, ale te jej błyszcząły. Widziałam w nich ciepło. A w tych Abla? Jego oczy, odkąd sięgam pamięcią, były martwe. Szybko wepchnęłam zdjęcie z powrotem do portfela, słysząc stukające o podłogę w drodze do kuchni szpilki mojej rodzicielki, która nakrzyczała na mnie, że spóźniłam się na autobus. Kazała mi przejść dziewięć kilometrów w ulewnym deszczu.

Nienawidzę swojej matki.

Wjeżdżamy na długi podjazd przed domem, widać z niego światło palące się w pokoju Evangeline.

Patrę na budynek. Widzę go po raz pierwszy od pół roku. Jest odpychający, a kiedyś był pięknym domem na końcu cichej, ślepej uliczki w dzielnicy francuskiej. Gdy mu się przyglądam,

wracają wspomnienia z dzieciństwa, przez co zaciska mi się żołądek, a dłonie się pocą.

– Dom, słodki dom – mówi Abel, gasząc silnik auta.

– Dlaczego Joseph cię nie przywiózł? – pytam, kiedy brat otwiera drzwi.

Ciekawi mnie, czemu pozer pragnący wspiąć się po drabinie społecznej w środowisku, w którym go nie chcą, sam prowadził samochód.

Abel stawia nogę na podjeździe, ale zatrzymuje się i odwraca.

– Znajdę sobie własnego kierowcę. Nie potrzebuję resztek po ojcu.

– To nie żadne resztki, a człowiek. Ile on ma lat? Siedemdziesiąt? Zwolniłeś go?

– Joseph to nie twoje zmartwienie, Ivy. Chodźmy. Jestem zmęczony, a jutro czeka nas wielki dzień.

Wysiada, a ja podążam za nim, uprzednio sięgając na tylne siedzenie po torbę i listonoszkę. Zabrałam parę podręczników – tyle, ile zdołałam pomieścić – oraz kilka kompletów ubrań. Chyba jakaś część mnie kurczowo trzyma się nadziei, że z tatą nie będzie tak źle, jak przedstawił to Abel, i niedługo wrócę do szkoły.

Przypominają mi się jednak jego słowa: „Zostałaś wybrana”. I wiem, że nigdzie nie wrócę.

Idę za przyrodnim bratem do drzwi. Czekam, aż je otworzy, a następnie ciężkim krokiem wchodzę do środka. Jakby moje nogi same wiedziały, że po przekroczeniu progu nie będzie już mowy o wycofaniu się. Otacza mnie zapach tego miejsca, który przytłacza zmysły. Świece mamy. Wanilia i cynamon. Wiem, że s

poro za nie płaci. To niedorzeczna kwota za odrobinę wosku, który rozpuści się i zniknie. Nie jest to brzydka woń, ale przywołuje wspomnienia, więc dla podtrzymania równowagi opieram dłonie na stoliku przy drzwiach i nabieram powietrza w płuca.

Dlaczego te nudności zawsze są tak mocne? A może jest gorzej, bo tyle mnie tu nie było?

– Tata mówił, że nad tym panujesz – warczy Abel.

Oddycham głęboko i odwracam się do niego, gdy mgła, która przyćmiła mi pole widzenia, znika, a na czoło wstępuje pot.

– Jestem zdenerwowana. To pogarsza mój stan.

Cierpię na zaburzenia równowagi. Zwykle nad wszystkim panuję, potrafię to ogarnąć, ale kiedy jestem poirytowana lub zestresowana, ta przypadłość uderza z podwójną siłą. Nie narzekam. Ludzie mają poważniejsze problemy. Ci, którzy mnie nie znają, myślą, że jestem niezdarna. A choroba, przez którą tracę równowagę albo wpadam na rzeczy, to najmniejsze z moich zmartwień.

– To się, kurwa, pozbieraj. Idziemy – mówi brat, łapiąc mnie za ramię.

Drugą ręką chwyta torby.

– Jakiś ty rycerski – rzucam, gdy ciągnie mnie na schody. – A raczej byłbyś, gdyby nie to, że siniaczysz mi ramię.

Nie wspominam o bolącym policzku. Jestem pewna, że tam też zostanie ślad. Nigdy wcześniej nie zostałam uderzona przez brata. Było blisko, ale Abel wiedział, że tata by na to nie pozwolił. Zgaduję, że teraz zasady ojca nie mają znaczenia.

– Pieprz się, Ivy – warczy Abel, ale zabiera rękę.

Nie spodziewałam się tego, więc podobnie jak wtedy, gdy zostałam przez niego spoliczkowana, zastanawiam się, czy boi się, że zostawi mi siniaka. Pewnie obawia się zezłościć mężczyznę, który mnie „wybrał”. Nawet jeśli, jako głowa rodziny mógłby mnie stłuc na miazgę, Socjeta by się tym nie przejęła. Jednak Abel stara się, żeby nie było śladów.

Moje myśli wędrują przez to do Santiaga De La Rosy. Mojego przyszłego męża.

Znam go. Spotkaliśmy się raz. Właściwie to kilka razy przy różnych okazjach, ale tylko raz z nim rozmawiałam. Nie jestem pewna, czy zauważał mnie poza tą jedną pogawędką w gabinecie ojca.

To było przed wypadkiem.

Nie, to nie był wypadek. Incydent.

Zastanawiam się, dlaczego członek rodziny założycielskiej wybrał na żonę właśnie mnie. Dlatego, że wybór zmałał, biorąc pod uwagę całą sytuację? Nie znam wielu szczegółów. Wiem

tylko, że Santiago zmienił się w odludka i od czasu wypadku zaszył się w domu.

Zatrzymuję się na szczycie schodów. De La Rosowie to jedna z rodzin, które założyły Socjetę. „Imperium Valens Invictum. Silna, niepodważalna władza” – to jej motto. Według mnie trochę aroganckie. Wręcz odpychające. Ale organizacja działa na całym świecie, to sekretne stowarzyszenie. Ekskluzywne. Nieosiągalne. I niebezpieczne. Rodziny, które tworzą Socjetę, są potężne. Należą do nich mężowie stanu, liderzy każdego sektora rządowego. Eksperti medyczni. Naukowcy. Profesorowie. Przywódcy Kościoła. Oczywiście są też niższe kasty, w których znajduje się na przykład moja rodzina pozostająca pionkami reszty.

De La Rosowie są natomiast na samym szczycie drabiny. Są jak rodzina królewska Socjety.

Istnieje trzynaście założycielskich rodzin. Pamiętam, bo badałam historię i myślałam wtedy, jak wymowna jest to liczba. Pechowa liczba, która bez przerwy pojawia się w moim życiu.

Miałam trzynaście lat, gdy zniknęła Hazel.

Trzynaście, gdy Socjeta wtrąciła się do naszego życia i musiałam zmienić szkołę.

Jako trzynastolatka po raz pierwszy spotkałam Santiaga De La Rosę.

Pamiętam ten dzień. To był pierwszy tydzień mojej nauki w katolickiej żeńskiej szkole, do której zostałam zmuszona uczęszczać. Nie to, że w poprzedniej miałam dużo przyjaciół, ale w nowej placówce byłam traktowana jak najgorszy śmieć. Wystarczyło, że jakaś dziewczyna rozpowiedziała, kim jestem oraz jak i dlaczego zostałam przyjęta do szkoły przeznaczonej dla dziewcząt pochodzących z elit.

Wciąż wzdrygam się na wspomnienie wrednych rówieśniczek. Przynajmniej na początku takie były. Dokuczały mi z powodu oka. Widziały je, bo musiałam nosić związane włosy. Wcześniej, na ile to możliwe, zasłaniałam się grzywką, lecz zakonnice miały swoje zasady, za łamanie których groziła kara.

Ironiczne, jak okrutne były siostry wobec dzieci bożych, które powinny chronić. Miłować. A może próbowałam wyczytać z Biblii więcej niż w niej napisano.

Spotkałam Santiaga po szczególnie paskudnym dniu w szkole. Dziewczyny dręczyły mnie od kilku dni i chociaż próbowałam udawać, że mam je gdzieś, to ich słowa na temat moich defektów i tego, jak je nazywały, naprawdę bolały. Czułam się wystarczająco samotna, nie będąc wykluczaną, a koleżanki wyczuły moją słabość. W szczególności jedna, Maria Chambers, która wykorzystała okazję.

Tamtego dnia doświadczyłam zarówno ich nienawiści, jak i kary siostry Marii Antoniny za odpyskowanie, więc po powrocie do domu wpadłam do gabinetu ojca, by oznajmić, że mam dość. Nie obchodziło mnie jego zdanie w temacie szkoły. Nie zamierzałam wracać w tamto miejsce.

Nie zauważyłam, że tata miał towarzystwo. Właściwie nie widziałam siedzącego w środku Santiaga, dopóki ojciec mnie nie odepchnął. Zrobił to na oczach obcego, ale gdy zostawaliśmy sami, potrafił być czuły. Tamtego dnia jednak go ośmieszyłam. Wstydział się mnie.

Pamiętam, że rozpuściłam włosy związane wcześniej w kok, jak nakazywano w szkole, aby ukryć oko, zanim Santiago mógłby je zauważyć.

Po raz pierwszy spotkałam wtedy mężczyznę, który skradł uwagę mojego ojca, a z czasem jego uczucia. Nawet w wieku trzynastu lat rozumiałam, dlaczego tak się stało. De La Rosowie mogli nas awansować. I choć to bolało, już wtedy wiedziałam, że dla mojego ojca jest to ważniejsze niż jego własne dzieci.

– Dlaczego Santiago De La Rosa wybrał właśnie mnie? Czego mi nie mówisz, Abel?

Brat przygląda mi się bacznie.

– Chodzi ci o to, dlaczego tak się ponizła? Napuszony niczym paw Sprawiedliwy Syn bierze za żonę wieśniaczkę?

– Wiesz, że to dyskryminacja, prawda? Ten wasz cały system kastowy. Jeśli jestem dla nich wieśniaczką, to kim ty je...

Abel chwyta mnie za gardło i popycha na ścianę, nim kończę zdanie. W jego oczach płonie wściekłość, gdy odcina mi dopływ

tlenu.

Łapię go za przedramię, wbijając w nie paznokcie.

– Abel!

Brat obraca głowę w stronę schodów. Luzuje chwyt wystarczająco, bym również mogła spojrzeć na stojącą w przedpokoju matkę, która zawiązuje pasek kremowego jedwabnego szlafroka.

Zerka na mnie, po czym przenosi spojrzenie z powrotem na mojego brata.

– Nie ty masz ją karać. Jeśli zostawisz ślad, dobrze wiesz, co on z tobą zrobi.

Nie powiedziała, żeby nie robił mi krzywdy. Obawia się tylko konsekwencji, jakie mogą z tego wyniknąć, jeśli prawda wyjdzie na jaw.

Nie wiem, co szokuje mnie bardziej – to, że w ogóle interweniowała, czy że Abel posłuchał. Przecież jej nienawidzi. A ona, chociaż dobrze to ukrywa, trochę się go boi.

Brat patrzy mi w oczy. Ponownie zaciska dłoń, przysuwając twarz do mojej.

– Myślisz, że możesz mnie podpuścić? – Zabiera rękę, po czym cofa się, by mi się przyjrzeć. – Jutro poznasz swoje miejsce w szeregu. A ja nie tylko cię tam doprowadzę, ale z radością będę stał i się wszystkiemu przyglądał.

Z trudem przełykam ślinę, łapiąc się za gardło. Abel mnie nienawidzi. Wiem o tym. I jestem przerażona tonem tej wypowiedzi oraz groźnym spojrzeniem, jakie brat mi rzuca.

Rusza w górę schodów, zostawiając za sobą moje torby. Bez słowa mija matkę i znika w swoim pokoju.

Stoję w miejscu, gdzie mnie zaatakował, i patrzę na nią. Nawet w środku nocy wygląda pięknie. I jak zawsze jest oziębła.

– Jesteś tu od dwóch minut, a już sprawiasz kłopoty – odzywa się.

– Ciebie też miło widzieć, mamó – odpowiadam, schylając się po bagaż.

Chcę jak najszybciej znaleźć się w pokoju, z dala od niej. Chwytam się poręczy i wchodzę po schodach, próbując uspokoić bijące szaleńczo serce oraz trzęsące się dłonie. Widzę

kątem oka, że matka krzyżuje ręce na piersi, obserwując, jak idę do dawnej sypialni. Otwieram drzwi i już mam wejść do środka, gdy woła:

– Ivy!

Przystaję i odwracam się do niej z ręką na klamce.

– Nie okryj nas hańbą.

4 - IVY

Śpię niespokojnie i co rusz się budzę. Łóżko upchnięte pod ścianą wydaje mi się obce, za małe, a różowy baldachim dziecinny. Wyciągam rękę, by go dotknąć, wspominając, jak było dawniej. Udawałam, że jestem księżniczką zamkniętą w wieży.

W otwartym oknie powiewają poruszane przez wiatr zasłony, które tłumią światło padające z zewnętrznych lamp. Obserwuję cienie tańczące na murku w ogrodzie, wspominając, jak robiłam to w dzieciństwie. Widzę złowieszcze figury tworzone przez gałęzie, a potem opuszczam powieki.

Nie wiem, czy odpływam na minutę czy godzinę, ale kiedy się budzę, o szyby uderza deszcz. Muszę zamknąć okno, bo matka się wkurzy, jeśli woda coś zniszczy. Jakby zależało jej choć trochę na tym domu.

Pocieram twarz, odkopując się spod koców, by usiąść. Kręci mi się w głowie, jak zawsze, gdy się podnoszę, więc przymykam oczy, dopóki nie ustępują nudności. Nagle słyszę dziwny szelest i skrzypienie okiennych zawiasów. Uchylam gwałtownie powieki i niemal dostaję zawału, gdy dostrzegam w pokoju jakąś postać. Wysoką i mroczną, ubraną w płaszcz z szerokim kapturem naciągniętym głęboko na czoło, więc nikłe światło dochodzące z zewnątrz nie oświetla jej twarzy. Szata sięga podłogi. Nieznajomy ma ponad metr osiemdziesiąt. Przez ten strój wygląda jak Kuba Rozpruwacz. Ale on nie przejmowałby się, że deszcz napada do środka.

Po chwili postać odwraca w moją stronę. W przypiływie paniki przyciskam plecy do ściany. Chcę krzyczeć.

Otworzyć usta i wołać o pomoc, tyle że gdy rozchyłam wargi, nic się nie dzieje. A raczej wydaję odgłos, który jest jeszcze bardziej żałosny, niż gdybym milczała.

Czy ja śnię? Czy to koszmar, w którym utknęłam?

Gdzieś na krawędzi umysłu pojawia się myśl, że kojarzę to okrycie. To szata ceremonialna. Tata kiedyś taką włożył. Byłam przerażona, gdy go w niej ujrzałam.

Tkwimy jak zaczarowani, żadne z nas się nie rusza, ja nawet nie oddycham. Mężczyzna ma przewagę. Wie, że jestem bliska ataku paniki, bo widzi moją twarz. A ja jego nie.

Jego.

To facet. Zdradzają go sylwetka i wzrost. To kolejny powód, przez który – gdybym tylko mogła – powinnam krzyczeć. Gdzie jest mój brat, gdy go potrzebuję?

Gapię się szeroko otwartymi oczami, jak nieznajomy zbliża się o krok. Kiedy to robi, światło pada na jego twarz, która okazuje się jeszcze bardziej przerażająca, bo jej połowę zasłania ciemna maska. To, co na niej dostrzegam, jest nierealne.

– C-co...

– Ivy Moreno.

Na dźwięk głębokiego głosu czuję, jakby zimne kościste palce pełzły po moim kręgosłupie, i wyraźnie drzę.

Dotyk diabła. Tak mawiała siostra Maria Antonina w podobnych sytuacjach. Z przyzwyczajenia robię znak krzyża. To go rozśmiesza. Jego śmiech brzmi paskudnie. Krótco, bez wesołości, wręcz ostro.

Przecieram oczy, próbując się obudzić, ale gdy uchylam powieki, on nadal tu jest. Znajduje się nawet bliżej. – Skąd znasz moje imię? – szepczę.

– Nie pamiętasz mnie, Ivy? Nie wywarłem na tobie żadnego wrażenia? Czuję się urażony.

– J-ja... N-nie...

– Zostaniesz moją żoną – ciągnie, nie zważając na jąkanie. – Byłoby dziwnie, gdybym nie znał twojego imienia, nie sądzisz?

Jego żoną?

Przyglądam mu się uważniej. Czy to Santiago De La Rosa? Dlaczego ma na sobie pelerynę i maskę? Służą tylko do ceremoniałów. Noszą je członkowie rodzin założycieli, ale tylko wtedy, gdy nakazuje to tradycja. Pożyczyli ojcu podobny strój na jakąś konkretną okazję. Wciąż pamiętam jego ekscytację, pomimo że razem z siostrą, widząc go w tym stroju, byliśmy przerażone.

Lecz teraz nurtuje mnie o wiele ważniejsze pytanie: dlaczego, u diabła, Santiago De La Rosa znajduje się w środku nocy w

moim pokoju?

Nagle przypominam sobie, że jakiś czas temu słyszałam Abła. Wkurzyłam się, bo narobił hałasu i mnie obudził. Czy to on go wpuścił?

– Czego chcesz? – pytam.

Czuję, jak jego spojrzenie przesuwa się po moim ciele, przez co sama na siebie zerkam. Mam na sobie koszulkę i majtki, jedną nogę trzymam na łóżku, druga zwisa nad podłogą. Poprawiam się i zakrywam kocem.

– Nie ma takiej potrzeby – mówi, podchodząc jeszcze bliżej, po czym ujmuje brzeg koca i lekko go ze mnie zsuwa. – Przyszedłem coś ci dać.

Przyciskam się do ściany, gdy Santiago staje tuż obok mnie. Przez chwilę wpatruje się w zdobioną ramę łóżka i cały ten róż.

– Trochę dziecinne, nieprawdaż? – rzuca.

– Czego ode mnie chcesz?

Nie wiem, czy to wyobraźnia płata mi figle, czy dostrzegam jego uśmiech. Nie mam pojęcia, czy to umysł wizualizuje mi obraz czaszki zamiast twarzy, ale cofam się na drugą stronę łóżka.

– Och, nie powinnaś tak traktować przyszłego męża, słodka Ivy. – Santiago siada na brzegu i przysuwa się do mnie.

– Czego chcesz?! – wrzeszczę, mając nadzieję, że Abel zaraz wpadnie do pokoju.

Na pewno przybędzie z pomocą.

Ale nic się nie dzieje. Nikt się nie pojawia. Zostałam sama z tym mężczyzną.

Wzdycha, jakby rozczarowany, następnie wyciąga rękę, dotyka opuszkami mojego policzka, po czym przesuwa palce na szyję, gdzie szaleje mi puls.

Przyciskam głowę do ściany.

Śnię. To musi być sen. Choć wydaje się niezwykle realny.

– Czego chcesz? – powtarzam tym razem cichym, przerażonym głosem.

– Już ci mówiłem – odpowiada. Głos ma niski i głęboki.

Bierze mnie za rękę, oplata nadgarstek palcami i przysuwa go do siebie. Jego dotyk jest lodowaty. Może mimo wszystko jest

Kubą Rozpruwaczem.

– Mam coś dla ciebie – dodaje.

Przyciąga moją dłoń bliżej, sięga do kieszeni, a ja z zaskoczeniem obserwuję, jak siłą wciska mi pierścionek na palec.

– Co...

Jest za ciasny, ale Santiaga to nie powstrzymuje. Wpycha go na siłę do końca.

– Proszę. – Wypuszcza mnie z uścisku.

Zabieram dłoń i się jej przyglądam. Patrzę na ciemny kamień w kształcie łezki. Na kościste palce, które z trudem utrzymują jego ciężar i go przytrzymują. Wyglądają, jakby należały do szkieletu.

Zerkam na Santiaga, po czym próbuję zdjąć pierścionek.

– Na próżno się trudzisz – stwierdza, obserwując mnie.

Nadal próbuję. Nie chcę tego pierścionka. Nie chcę tego wszystkiego.

Kiedy mężczyzna wstaje, mam niemal pewność, że znów się uśmiecha. Niczym upiór. Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy, tracę ostrość widzenia, a pokój zaczyna wirować.

– Od teraz należysz do mnie, Ivy Moreno, na dobre i na złe. Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

5 - IVY

Budzę się wykończona, w dodatku boli mnie głowa. Spoglądam na wpadające przez okno promienie słońca i z narastającą paniką sprawdzam, która godzina. Chcę się zobaczyć z Evangeline, zanim siostra wyjdzie do szkoły.

Jest wpół do ósmej. Dziś piątek, co oznacza, że pojedzie autobusem za trzydzieści minut. Odrzucam więc kołdrę i wstaję, ale nagle się zatrzymuję. Zerkam na dłoń oraz znajdujący się na niej obcy przedmiot.

Wszystko sobie przypominam.

To nie był sen. Naprawdę tak pomyślałam?

Opadam z powrotem na łóżko, moje serce bije szybko, gdy wpatruję się w pierścionek. Ogromny kamień w kształcie łyzy. Czarny diament, który trzymają kościste szpony. Przyglądam się mu uważniej. Ma skomplikowane, misterne wykończenie. Próbuję go zdjąć, obracając przy tym dłoń, jednak bez skutku.

Dostrzegam, że obrączka jest wygrawerowana. Nie jestem pewna, w jakim języku, ale napisano: „Aeternum”.

Santiago De La Rosa był wczorajszej nocy w mojej sypialni.

Przyszedł, by dać mi pierścionek.

Nie, nie dał mi go. Siłą wcisnął na palec.

Przypominam sobie, jak wyglądał. Włożył szatę, twarz osłonił kapturem. Wystraszył mnie na śmierć.

Może właśnie taki był jego cel.

Kolejne spojrzenie na zegarek podpowiada mi, że powinnam się pospieszyć, więc wstaję, po czym przechodzę do łazienki.

Moje myśli wirują wokół nocnego gościa, taty oraz planów Abla względem mnie. Ojciec od dawna miał problemy ze zdrowiem. Nie dbał o siebie odpowiednio, folgował sobie z jedzeniem, którego powinien unikać. Pamiętam, że lekarz nieraz powtarzał mu, że musi stosować odpowiednią dietę, i przepisywał kolejne pigułki obniżające cholesterol oraz ciśnienie. Nie widziałam taty, odkąd wyjechałam na studia, jednak zapewniał, że jest bardziej aktywny i dba o siebie. Na tyle, by nadal cieszyć się życiem. Śmiałam się z tego, ale też o niego martwiłam.

Ojciec skończył dopiero pięćdziesiąt lat. Jest zbyt młody, by umrzeć. Nie spędziłam z nim wystarczająco dużo czasu. W dodatku moja młodsza siostra miała go z nim jeszcze mniej, to trzynastolatka.

Mam nadzieję, że stan taty nie jest tak zły, jak przedstawił go Abel. Pocieszam się myślą, że dowiem się więcej po rozmowie z lekarzem.

Rozbieram się w łazience, po czym puszczam wodę w kabinie prysznicowej. Nim do niej wchodzę, sięgam jeszcze po szampon i zerkam na swoje odbicie w lustrze. Dostrzegam siniaki na szyi. Ślady po palcach Abła. Nie są zbyt ciemne, mogę je zamaskować. Ale może nie powinnam.

Siniak na policzku wygląda gorzej. Miejsce, w które brat mnie uderzył, jest opuchnięte i fioletowe.

Zerkam na brzuch oraz uda pokryte sińcami w różnych odcieniach. Nie boją. Przywykłam do nich i staram się żartować, gdy na coś wpadam. Kiedy powiedziałam Ablowi, że stres pogarsza mój stan, wcale nie kłamałam. Nie wiem, jak poradzę sobie w tej całej sytuacji – w końcu zostaję zmuszona do poślubienia obcej osoby.

Odsuwam od siebie te myśli i wchodzę pod prysznic. Nakładam szampon i odżywkę na gęste loki, następnie myję ciało. Kiedy wychodzę, wkładam dzinsy oraz sweter. Specjalnie wybrałam pospolity strój, by wkurzyć mamę i Abła. Ona się zdenerwuje, bo uwielbia stwarzać pozory, a brat przez to, że chciał, bym pokazała się w sukience. Podpinam jeszcze włosy spinką, upewniając się, że zakrywają prawe oko, po czym ruszam do pokoju siostry. Uśmiecham się szczerze po raz pierwszy, odkąd tu przyjechałam, gdy w odpowiedzi na moje pukanie słyszę radosny pisk. Drzwi sypialni Evangeline otwierają się szeroko.

– Ivy! – Siostra rzuca się w moje ramiona, a ja przytulam ją mocno.

– Eva! Strasznie za tobą tęskniłam.

Nie zdawałam sobie nawet sprawy, jak bardzo, aż do teraz.

– Ja też. Boże. Ja też.

Słyszę, jak pociąga nosem, a kiedy odsuwamy się od siebie, zauważam, że płacze. Ma opuchnięte oczy.

– Chciałam do ciebie zadzwonić, ale mi nie pozwolili. Mama zabrała mi komórkę – tłumaczy. Mój uśmiech przechodzi w grymas, kiedy patrzę na jej łzy. – Chciałam ci powiedzieć o tacie.

– Ciii. – Znów ją przytulam. – Już w porządku, kochanie. To nie twoja wina. Jestem tu. – Chcę ją pocieszyć, tyle że nie wiem, jak wpłynie na nią moja obecność.

Rozdzielamy się. Poprawiam jej włosy, które wysunęły się spod spinki. Zakonnice nie tolerują nieodpowiedniej fryzury, bez względu na okoliczności.

– Wszystko w porządku? – pytam, przyglądając się siostrze.

Biorąc pod uwagę, jak Abel mnie potraktował, chcę mieć pewność, że jej nie tknął.

– Boję się o tatę. Mama i Abel nic mi nie mówią. Ale może mogłabym odwiedzić go po szkole.

– Jadę dziś do niego, więc porozmawiam z lekarzami. Dowiem się, co mu jest, i o wszystkim ci opowiem.

Obiecuję.

Evangeline kiwa głową, ocierając łzy.

– Ivy? – pyta z wahaniem

– Tak?

– Czy to prawda? Wyjdiesz za tego człowieka?

Nie wiem, co jej odpowiedzieć.

– Słyszałam plotki, Ivy. On jest zdeformowany. To potwór – dodaje.

– Nie wiesz tego.

– Wszyscy słyszeli o wybuchu. Wiedzą, że od tamtego czasu prawie nie pokazuje się publicznie.

Jestem tego świadoma.

– Nie możesz tego zrobić. Musisz znaleźć jakiś sposób, by się wykręcić – mówi siostra.

– To nie takie proste jak...

– Evangeline!

Wzdycham z ulgą, słysząc wołanie mamy. Do mnie również dotarły plotki. Wiem o wybuchu, w którym zginęło wielu członków Socjety. Również ojciec i brat Santiaga. On może

ocalał, ale nie wyszedł z wypadku zupełnie bez szwanku. Krążą pogłoski na temat tego, co się z nim stało i jak zakrył swoje blizny. Mówią, że stał się ostry, zgorzkniały.

Pamiętam nasze pierwsze spotkanie w gabinecie taty. Dałam Santiagowi prezent, który kupił dla niego ojciec. Rzuciłam mu pudełko na kolana i powiedziałam, co o nim sądzę. Byłam tak wściekła, że wykrzyczałam, iż nie cierpię szkoły, do której musiałam pójść przez Socjetę. Wysłanie mnie do niej miało być prezentem dla ojca. Podziękowaniami za to, czego nauczył Santiaga. A ja nie poprzestałam na obrażaniu szkoły. Powiedziałam mężczyźnie, że jego też nienawidzę.

Uśmiechnął się tylko po moich słowach. Zapamiętałam tę sytuację przez reakcję taty. Był na mnie zły.

Powiedział, że jestem pozbawiona szacunku. Sama odniosłam wrażenie, że Santiago uznał moje zachowanie za zabawne. Prawdę mówiąc, byłam zazdrosna, chociaż nawet nie znałam tego faceta. Ale zazdrościłam mu uczuć, jakimi obdarzył go mój tata.

A teraz naprawdę zostanę zmuszona, żeby poślubić obcego mężczyznę? Zdeformowanego potwora, o którym wszyscy plotkują?

Kręcę głową, by oczyścić umysł. Wszystko po kolei. Najpierw muszę spotkać się z ojcem. Rozmyślam o tym, że tata też się wybierał na spotkanie ze mną, ale rozchorował się w ostatniej chwili.

– Do jasnej cholery, Evangeline! Chodź tutaj! – Siostra zamiera, słysząc krzyk matki. – Spóźnisz się na autobus, a ja nie mogę cię dziś odwieźć do szkoły – dodaje.

Eva odwraca się do mnie.

– Jestem pewna, że ma pilne spotkanie w salonie fryzjerskim albo manicure. A może lifting – szepcze. – Kolejny.

Chichoczemy cicho.

– Evangeline!

– Lepiej już pójde. – Siostra podchodzi do drzwi, po czym się cofa, wyjmując z szuflady dużego snickersa i wkłada go do kieszeni plecaka. – Według mamy śniadanie tuczy.

– Nie daje ci śniadań?

Chuda jak patyk Evangeline wzrusza ramionami.

– To nic. Bardziej martwię się o tatę niż o jedzenie. – Znów mnie przytula. – Kocham cię, siostrzyczko.

Cieszę się, że tu jesteś, chociaż wiem, że wcale tego nie chcesz. Fajnie mieć cię blisko.

„Tylko ile to potrwa?”

Idę za nią do drzwi i obserwuję, jak zbiega po schodach. Matka stoi przy wyjściu z rękami skrzyżowanymi na piersi, nie kryjąc dezaprobaty. Nie żegnają się ze sobą, Eva wybiega z domu, gdy bus skręca w naszą ulicę. Mama zamyka za nią drzwi, akurat gdy Abel wychodzi z gabinetu ojca z komórką przy uchu.

„Już zajął biuro taty?”

Spogląda mi w oczy i zerka na zegarek, po czym kończy rozmowę.

– Mówiłem, żebyś włożyła sukienkę – złości się, kiedy schodzę na półpiętro.

– Nie miałam nastroju – odpowiadam i kieruję się do kuchni, by zaparzyć kawę.

– Nauczysz się wykonywać rozkazy.

Staję zwrócona do niego plecami, więc nie widzę jego miny, ale pewność w głosie brata sprawia, że zamieram. Moją uwagę odwraca jednak matka, która wchodzi do pomieszczenia.

– Karmisz Evę? – pytam.

– Oczywiście, że tak. Ale dbam też o jej wagę. Nie ma takiego metabolizmu jak ja.

Przyglądam jej się, unosząc brwi.

– Myślałam, że to zasługa doktora Abramsa. – To jej chirurg plastyczny.

Kilka lat temu podsłuchałam, jak rodzice się kłócili. Zapamiętałam każde słowo. Ich małżeństwo nie jest wynikiem głębokiej miłości. Odkąd pamiętam, nigdy się nawet zbyt nie lubili, co głośno wyrażali za zamkniętymi drzwiami. Łączyło ich tylko jedno – szanowali Socjetę i zrobiliby wszystko, by wkupić się w jej łaski.

Pewnej nocy zrozumiałam, dlaczego są razem. Dowiedziałam się, że matka była swego rodzaju prezentem dla ojca. Kiedy

członkowie Socjety zauważyli, że tata miał talent do matematyki, którego ja ani żadna z sióstr nie odziedziczyliśmy, stał się dla nich wartościowy. Z tego powodu dostał w nagrodę moją matkę.

Według mnie żadna z niej nagroda, mogę się założyć, że ojciec podziela moje zdanie, choć mama jest piękna. Hazel i Evangeline dostały po niej urodę w genach. Mnie łączy z nią jedynie kolor oczu. Lecz piękno to nie wszystko. Zastanawiam się, czy był taki czas, że matka podobała się ojcu. Czy kiedykolwiek ją kochał? Wątpię.

To nie jej zdjęcie nosi w portfelu.

Chociaż mama nie należy do rodzin założycieli, znajduje się wyżej w hierarchii Socjety niż tata, więc jednak wniosła coś do tego małżeństwa. Sądzę, że nienawidzi ojca przez to, co ją spotkało – musiała poślubić kogoś o niższym pochodzeniu.

Otwiera właśnie usta, by coś powiedzieć, ale Abel odzywa się pierwszy:

– Nie kłóć się, Ivy. Weź kawę i wychodzimy. Jesteśmy już spóźnieni.

– Godziny odwiedzin zaczynają się dopiero o dziesiątej.

– Wcześniej mamy spotkanie.

Odwracam się do niego.

– Jakie spotkanie? – pytam z niepokojem.

– Powiem ci, gdy dotrzemy na miejsce. Chodźmy.

Wyciągam z szafki kubek termiczny. Nalewam kawy, dodaję sporo mleka, chociaż zazwyczaj piję czarną. Zamierzam zdenerwować matkę. Na pewno nie chce, bym roztyła się przed wielkim dniem. Zakręcam wieczko, zgarniam płaszczyk i wychodzę za Ablem na zimny, lecz słoneczny poranek.

Wsiadam do rollsa, a brat odpala silnik.

– Czy stan taty się zmienił?

– Nic mi o tym nie wiadomo – mówi.

Wjeżdża na drogę prowadzącą w przeciwnym kierunku niż położony jest szpital.

– Co to za spotkanie, na które mnie zabierasz? – rzucam.

– Musimy załatwić kilka rzeczy przed ślubem.

– Skoro jesteśmy w temacie, kiedy ten wielki dzień?

Rozdzwania się komórka, więc Abel odbiera zamiast mi odpowiedzieć. Rozmawia przez dwadzieścia minut. Rozłącza się, gdy wjeżdżamy w dzielnicę, której nie znam. Domy są tu dwa razy większe niż nasz, a strażnik pyta przy bramie o powód wizyty, nim ją otwiera.

– Gdzie jesteście? – dociekam z niepokojem.

Czuję ucisk w żołądku, gdy podjeżdżamy przed okazałą rezydencją, przed którą zaparkowano inne rollsy.

Wiem, że chodzi o interesy Socjety.

Abel parkuje za samochodem podobnym do swojego i gasi silnik.

– Przyjechaliśmy tu na życzenie twojego narzeczonego – oznajmia.

– Co?

– Cóż, nie było to do końca życzenie. De La Rosa nie prosi. Nawet pomimo zdeformowanej twarzy.

Ostatnią część mamrocze pod nosem, ale i tak w jego głosie da się słyszeć nienawiść. Czy Abel wciąż jest zazdrosny o Santiaga De La Rosę? Nawet po tym, co spotkało jego i całą rodzinę? Wiem, że dawniej brat się tak czuł, ponieważ tata nie mógł się nachwalić talentu Santiaga. Na życzenie Socjety ojciec przez lata szkolił De La Rosę, przekazując mu całą swoją wiedzę. Wspomniał kiedyś, że chłopak przewyższał go inteligencją, nie mógł się nachwalić jego bystrego umysłu, który był niczym komputer. W kółko rozwodził się nad jego sprytem.

Po części rozumiem zawiść Abla. Sama też ją czułam. Ale jego zazdrości towarzyszyło jeszcze jedno uczucie: nienawiść.

– Widziałeś go? Po eksplozji? – Nie potrafię się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

Chcę znać prawdę. Czy stał się odludkiem z powodu swojego wyglądu?

Abel odwraca się, by dobrze mi się przyjrzeć.

– Jak śmiesz, Ivy Moreno? – zaczyna, łapiąc mnie za podbródek. Odgarnia mi włosy zakrywające oko. – Oceniasz innych, chociaż sama jesteś zdeformowana? Hipokrytka z ciebie, co?

– Nie oceniałam. Ja...

– Czasem nie wiem, co z ciebie za człowiek. Zakonnice byłyby tobą rozczarowane. Tata też. – Brat gwałtownie zabiera rękę. – Nie to miałam na myśli – mówię cicho.

Komentarz o tacie zabolął, ale tego właśnie chciał Abel.

– To bez znaczenia.

Po tych słowach wzdycha, po czym spogląda na dom. Kręci głową, jakby chciał się upewnić, że zrozumiała, jak się mną rozczarował. Mam gdzieś, co myśli. To on jest hipokrytą.

Zachowuję to jednak dla siebie.

– Chcę cię o coś zapytać. – Znow się do mnie odwraca.

– Słucham.

– Chcesz zobaczyć ojca?

To pytanie jest jak kubeł zimnej wody.

– Oczywiście, że chcę. Powiedziałaś, że mnie do niego zabierzesz.

– Skoro tak, to musisz zrobić dokładnie to, co ci każą.

– To, co każą? – Unoszę brwi.

– Dokładnie. Rób, co mówią. To będzie dla ciebie dobre ćwiczenie w kwestii posłuszeństwa.

Otwierają się drzwi, z budynku wychodzi dwóch mężczyzn. Stają w progu, co wydaje się dziwaczne.

– O co chodzi, Abel?

– Dbam o rodzinę. Zabiorę cię do ojca, jak tylko to załatwimy. Jeśli będziesz się dobrze zachowywać.

Spoglądam na mężczyzn, następnie na brata. Kawa, którą piję, nagle staje się bardzo gorzka.

Decyzja jeszcze nie zapadła.

– Zażądał testu czystości – wyjaśnia Abel.

Szczęka mi opada i gapię się na niego z niedowierzaniem.

– Co?

– Nie mogłem pozwolić, żeby De La Rosowie nas upokorzyli, więc się zgodziłem.

Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy.

– To zajmie tylko chwilę. Nic wielkiego – dodaje brat.

– Nic wielkiego?

– W Socjecie, a szczególnie w wyższych jej kręgach, to dość powszechny zwyczaj. Twoja matka też się na to zgodziła.

– Mam gdzieś Socjetę. Nie obchodzi mnie, czy matka się zgodziła. Nie zrobię tego! – protestuję.

– To nie zobaczysz ojca.

– Co? Nie możesz mi tego zrobić.

– Mogę robić, co zechcę. Teraz przywitam się z tymi mężczyznami. Masz minutę na podjęcie decyzji. Jeśli zgodzisz się dla dobra rodziny, spotkamy się w środku. Jeśli nie, zostaniesz tutaj, a ja załatwię swoje sprawy, wrócę i zawiozę cię do domu, gdzie zostaniesz zamknięta w pokoju do czasu ślubu.

– Chcę zobaczyć tatę. Obiecałeś – mówię.

– Niczego nie obiecywałem. Powiedziałem tylko, że zmadrzałaś. Ale nie jestem już o tym przekonany. Gdyby Evangeline nie była zbyt młoda...

– Evangeline?

– Jest ładniejsza, ale ma dopiero trzynaście lat. Jednak jeśli mnie do tego zmusisz, zrobię, co będzie konieczne.

Evangeline? Zmusiłby ją do czegoś takiego?

Kręcę głową. Nie może.

– Nie pozwolą ci na to. Ona jest dzieckiem. Socjeta nie zgodzi się na coś takiego.

Bez względu na to, co o nich sędzę, nie są aż tak zepsuci. Wiem to.

– Jestem głową rodziny.

– Musisz przestrzegać praw Socjety, a oni na to nie pozwolą. Wiesz o tym. Evangeline ma tylko trzynaście lat – rzucam, prostując plecy.

Abel mruży oczy. Jest świadom, że mam rację. Czuję ulgę.

– Ale ty nie – odpowiada złośliwie. – To konieczne, by ochronić naszą rodzinę i zadowolić twojego przyszłego męża. Mógłbym zaciągnąć cię tam siłą, jednak pozwalam ci zdecydować. Daję ci szansę na zachowanie godności.

Godność. Nic z niej nie zostanie.

Brat otwiera drzwi samochodu.

– Decyduj, co zrobisz. – Wysiada.

Zostaję w aucie, obserwując, jak podchodzi do drzwi i wita się uściskiem dłoni z dwoma starszymi mężczyznami.

Zauważam, że jeden z nich ma na palcu duży sygnet. Poza tym są identyczni.

Chcę, żebym pozwoliła sprawdzić, czy jestem dziewicą? Słyszałam plotki na ten temat, ale nie wierzyłam w nie. To przestarzałe zwyczaje. Sprawdzą też pościel po nocy poślubnej?

Wiem za to, że Abel zamknie mnie w pokoju i nie pozwoli zobaczyć taty. Ma gdzieś, czy on umrze. Byłby też zdolny ukarać Evangeline za moje czyny. Tylko to się liczy. To mi wystarcza.

Nie mam wyboru. Nigdy nie miałam. Poddam się temu badaniu bez walki i poddam się przed ołtarzem.

6 - IVY

Mężczyźni przerywają rozmowę, gdy podchodzę na tyle blisko, że mogę ich usłyszeć. Najstarszy z nich spogląda na mnie jako pierwszy. Mój brat, który stoi zwrócony, odwraca się powoli, uśmiechając zwycięsko.

– Ivy.

Zerkam z niepokojem na nieznajomych. Ich spojrzenia wydają się wręcz lubieżne. Są tak starzy, że mogliby być moimi dziadkami. Naprawdę pozwolą, żeby doszło do czegoś takiego? Będą tego świadkami?

– Panowie, to moja młodsza siostra Ivy – mówi Abel.

Jestem zszokowana, że się do mnie przyznaje. Jesteśmy przyrodnim rodzeństwem. Zazwyczaj napawa się, że nie łączą nas w pełni więzy krwi, jest z tego wręcz dumny.

Mężczyźni potakują. Jeden z nich mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, przez co aż żałuję, że niczego nie zjadłam, bo mogłabym wymiotować na jego drogie buty.

– Mamy opóźnienie – oznajmia ten bez sygnetu.

Brat kiwa głową. Nie przedstawia tych facetów, na czym mi wcale nie zależy, więc po chwili wchodzimy do środka. Idą przodem, a Abel za mną, na samym końcu. Jakby prowadzili więźnia na egzekucję.

Ledwo rejestruję, że kilka sekund później znajdujemy się w jakimś przestronnym salonie. Siedzi w nim starsza kobieta, czyta gazetę. Zerka na mnie przelotnie. Naprzeciwno niej dostrzegam dziewczynę. Wygląda znajomo, ale połowę jej twarzy zasłania czasopismo, więc widzę tylko oczy. Przygląda mi się, kiedy przechodzimy przez pokój, w którym pojawia się właśnie służąca z kawą niesioną na srebrnej tacy.

Czy te kobiety wiedzą, co się stanie?

– Niegrzecznie się tak wpatrywać. – Nieznajoma strofuje dziewczynę.

Zgaduję, że to jej córka, bo od razu spuszcza wzrok i zasłania twarz czasopismem.

Mężczyźni wprowadzają mnie na korytarz, w którym znajduje się wiele drzwi. Kiedy docieramy do tych na samym

końcu, facet bez sygnetu otwiera je, a wtedy czuję zapach środka dezynfekującego. To pewnie jego gabinet. Jest w ogóle prawdziwym lekarzem? Czy jakimś świrem zatrudnionym przez Socjetę, by przeprowadził badanie?

Gestem zaprasza nas do środka.

Kiedy się waham, Abel kładzie dłoń na moich lędźwiach i popycha mnie do przodu.

Nieznajomy zamyka drzwi. Zauważam, że nie ma w nich zamka. Mogę bez problemu wyjść. Lecz jeśli to zrobię, czy sprowadzą na moje miejsce Evangeline? Sama myśl jest obrzydliwa, ale patrząc na tych facetów, a szczególnie na tego grubego z sygnetem, który siada na sofie naprzeciwko kozetki, nie mam wątpliwości, że nie miałby nic przeciwko.

Pokój jest duży i lepiej oświetlony niż przestronny salon. Tu światło odgrywa większą rolę. W środku przy ścianie stoi duże biurko, z boku ustawiono sofy, a naprzeciwko nich znajduje się fotel ginekologiczny. W kącie obok kanap dostrzegam parawan. – Ivy – odzywa się facet bez sygnetu. Wskazuje na proste drewniane krzesło przed biurkiem. – Usiądź, proszę.

Robię, co każe. Abel staje za mną. Trzyma dłonie na moich ramionach, jakby chciał mnie przytrzymać, gdybym próbowała ucieczki.

– Jestem doktor Chambers – kontynuuje nieznajomy.

Chambers? Jest ojcem Marii Chambers? Przypominam sobie dziewczynę, która kiedyś mnie dręczyła. Teraz już wiem, dlaczego ta z salonu wydała mi się znajoma. Chodziło o ten błysk w pustych oczach. Był złowieszczy.

Gapiała się na mnie, bo doskonale wiedziała, co się tu stanie. Co mi zrobią.

Przełykam z trudem ślinę, czuję uderzenia gorąca. Cieszę się, że siedzę, bo pewnie bym upadła.

– Twój brat przedstawił ci pewnie wymagania, ale chciałbym je omówić, by upewnić się, że przyszłaś tu z własnej woli. – Z własnej woli? – powtarzam.

Abel ściska moje ramiona.

Doktor Chambers odchrząkuje, ignorując pytanie. To zwykła ściema i wszyscy o tym wiedzą. Czerpią przyjemność z

dręczenia mnie. Nie uznaję tego za dziwne. Maria Chambers była oprawcą w wieku trzynastu lat. Gdzieś musiała się tego nauczyć.

– Pan De La Rosa jest członkiem jednej z rodzin założycieli. Jestem przekonany, że tak jak my szanujesz jego słowo.

Siedzący na kanapie mężczyzna parska śmiechem. Zerkam na niego przelotnie.

– Na pewno tak jest – odpowiada lekarzowi Abel.

– Jesteś prawdziwą szczęściarą – ciągnie doktor Chambers.

„Smiem wątpić”, myślę, ale nie wypowiadam tych słów.

– Socjeta nie zmusza nikogo do robienia czegoś wbrew jego woli. Chcę mieć pewność, że jako dobry i szczerzy jej członek poprosiłaś brata, żeby cię tu przywiózł, aby potwierdzić swoją czystość. Udowodnisz tym, że jesteś godna małżeństwa z mężczyzną tej rangi.

– Mówi pan poważnie? – pytam.

– Ivy – ostrzega Abel.

Powiedziałby więcej, tyle że lekarz przerywa mu gestem.

– Dla dziewcząt to dość trudny temat. Mam córkę w wieku twojej siostry, Ablu. Możesz mi wierzyć, że to rozumiem. – Zwraca się do mnie: – Musimy to załatwić, szkoda czasu. Poddasz się badaniu, Ivy?

– Nie mam wyjścia.

Abel wbija mi palce w ramiona.

– Siostrzyczko. – Robi długą, znaczącą pauzę. – Jeśli wolisz, zabiorę cię do domu. Mamy inne wyjście – grozi.

– Nie – odpieram, wstając. – Zgadzą się. Miejmy to za sobą.

– Bardzo dobrze. Potrzebny jest świadek, dlatego pan Holton zgodził się, by odegrać tę rolę.

– Cóż za poświęcenie – komentuję.

Lekarz wstaje.

– Rozbierz się za parawanem, następnie usiądź w fotelu. Zdejmij wszystko.

Na trzęsących się nogach przechodzę za parawan, wpadając po drodze na ławę i przewracając stojącą na nim kawę.

– Proszę wybaczyć mojej siostrze. Jest trochę zdenerwowana – mówi Abel.

Odnoszę wrażenie, że ukrywa moje schorzenie.

– To normalne – odpowiada Chambers.

Opieram się o ścianę za parawanem i oddycham głęboko. Kręci mi się w głowie, a skórę oblewa pot. Zamykam oczy i zmuszam się do zrobienia wdechu. Liczę do pięciu, po czym wypuszczam powietrze. Powtarzam to kilka razy.

Wyobrażam sobie, że jestem w basenie na kampusie. Pływam każdego ranka. Pomaga mi to zachować spokój. Wkrótce będzie po wszystkim, niedługo stąd wyjdę. Zobaczę się z tatą, a zanim Eva wróci po południu ze szkoły, pójdę popływać.

Rozbieram się i wkładam szlafrok, wdzięczna, że go tu znalazłam. Przez parawan słyszę, jak mężczyźni rozmawiają szeptem, dolewając sobie śmietanki do kawy i dodając cukru. Kiedy pada imię De La Rosy, zaczynam nasłuchiwać uważniej, ale faceci jeszcze bardziej ścisząją głosy. Z ich tonów wnioskuję, że go nie lubią.

Wiem, że odwlekam wszystko zbyt długo, bo jeden z mężczyzn odchrząkuje, a brat woła:

– Jesteś gotowa, Ivy? Panowie mają ważniejsze rzeczy do roboty niż czekanie na ciebie.

„Panowie mogą iść do diabła”.

Mocniej zawiązuję szlafrok i wychodzę zza parawanu. Nie patrząc na mężczyzn, podchodzę do fotela, który został już odpowiednio ustawiony. Wysunięto też strzemiona na nogi i z przerażeniem uświadamiam sobie, że z tej pozycji będą mi patrzeć bezpośrednio między uda.

Waham się, a doktor Chambers, który ma na sobie biały fartuch, podchodzi do fotela, uśmiechając się do mnie. Niekoniecznie przyjaźnie. Właściwie zaczynam się zastanawiać, czy dostał wzrodu na samą myśl o tym, co mi robi. Jak mnie upokorzy.

– Wskakuj na fotel, Ivy. Jestem pewny, że już to kiedyś robiłaś. Powinnaś poddawać się regularnym kontrolom. Obowiązkiem twojego ojca jest tego dopilnować.

– Nasz ojciec był raczej pobłażliwy w stosunku do córek – mówi Abel.

– Wielka szkoda. Ja trzymam moją Marię na smyczy. Jest dość porywcza, ale uważam, że dobrze nad nią panuję.

„Wow”.

Nagle robi mi się żal dziewczyny. Nie chcę nawet myśleć, że zmuszał ją do tego, do czego zmusza mnie teraz. Nikomu tego nie życzę.

Rumienię się, zaciskając pasek szlafroka, gdy podchodzę do fotela. Siadam na nim, twarzą do drzwi, po czym oddycham głęboko i się kładę.

Miejmy to za sobą.

Muszę to zrobić.

Wkładam nogi w strzemiona i popełniam błąd, ponieważ spoglądam na drugą stronę pomieszczenia, gdzie siedzą Abel z tym drugim dupkiem. Obserwują mnie, jakbym brała udział w przedstawieniu. Przypuszczam, że tak właśnie jest.

– Bardzo dobrze – stwierdza doktor Chambers, podchodząc.

Kieruję wzrok na sufit, puszczam pasek i zaciskam dłonie na oparciu fotela. Lekarz rozwiązuje mi szlafrok, rozkłada go, odsłaniając mnie całkowicie, gdy rozsuwa szerzej strzemiona.

Odchrząkuje. Czuję na brzuchu dotyk jego palców.

– Nie wygląda to dobrze – mówi. – Kiedy się depilują, człowiek zastanawia się, dla kogo to robią.

– Pływam – odpowiadam.

Nawet gdybym postanowiła zgolić każdy najmniejszy włosik na swoim ciele, nie powinno ich to obchodzić.

– Milcz – warczy Abel.

Doktor Chambers dotyka dwóch siniaków na moim brzuchu, ale nie komentuje ich. Zastanawiam się, czy pomyślał, że Abel mnie bije, i zaaprobował to.

W końcu staje pomiędzy moimi nogami, po czym przysuwa sobie wózek na kółkach.

Holton się podnosi, podchodzi i zatrzymuje przy moim boku, wlepiając wzrok między rozwarte uda. Przez przypadek zerkam na jego krocze. Pod sterzącym brzuchem zauważam, jak jego mały fiut wybrzusza spodnie.

„Zbok”.

– Muszę przedstawić świadectwo – mówi, poklepując mnie po dłoni, którą natychmiast zabieram. – Stamtąd nic nie widzę, prawda?

Z trudem oddycham, słuchając, jak rozmawiają o pogodzie, córce doktora Chambersa oraz mojej waginie, gdy lekarz smaruje palce lubrykantem.

– Poczujesz ucisk, ale nie będzie bolesny – informuje.

Zaciskam zęby, przygotowując się, jednak nie pomaga mi to, gdy czuję, jak wsuwa we mnie zimne palce. Z całych sił powstrzymuję krzyk. Nie walczę. Kiedy próbuję zacisnąć kolana, Holton je przytrzymuje.

– Muszę widzieć – przypomina. – Nie jesteś pierwszą kobietą, którą oglądam nago. Możesz być tego pewna. Chwali się?

Wbijam paznokcie w fotel, gdy lekarz obraca palce raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Jest bardzo ciasna.

Czuję, że po twarzy ciekną mi łzy.

– Już prawie koniec – zapewnia. – Jeszcze tylko chwila.

Jestem pewna, że czuje błonę dziewiczą, jeśli coś takiego w ogóle istnieje, a nie kończy badania tylko dlatego, żeby mnie upokorzyć i zapewnić sobie materiał do walenia konia.

– I po wszystkim. – Wyciąga palce, po czym wyciera je w papierowy ręcznik.

Zaciskam kolana, oddychając głęboko. Brat podchodzi do nas zaniepokojony.

– Dziewica – oznajmia lekarz.

Sama mogłam im to powiedzieć.

– Cóż, nie miałem co do tego wątpliwości – odpowiada Abel.

Próbuję wstać.

– Nie tak szybko – mówi Holton.

Przytrzymuje mnie i rozsuwa mi szlafrok na piersiach, które próbowałam zasłonić. Patrzą na niego, ale jego wzrok nie jest skierowany na moją twarz.

– Jest spektakularna – ocenia. – Wielka szkoda, że trafi do tego drania.

– Mogę już iść? – pytam nie swoim głosem.

– Jeszcze jedno – mówi doktor Chambers.

Zerka na mojego brata, który potakuje. Lekarz podnosi igłę leżącą na stoliku obok lubrykantu.

– Co to?

– Witaminy. – Abel odpowiada przed doktorem.

Nie protestuję, gdy Chambers robi zastrzyk. Chcę już zejść z tego fotela. Wyjść z tego domu. Pragnę uciec od tych mężczyzn. Nie wiem, jak długo uda mi się powstrzymać łzy. – Gotowe. – Doktor Chambers otula mnie szlafrokiem.

– Skończyliśmy. Wystawię zaświadczenie i brat będzie cię mógł zabrać do domu.

Schodzę z fotela najszybciej, jak mogę. Podłoga pod moimi stopami jest chłodna, ale nim mam szansę skryć się za parawanem, Abel łapie mnie za rękę.

– Nie zapomniałaś o czymś? – pyta.

– O czym? – rzucam, ledwo wstrzymując płacz.

– Podziękuj doktorowi i panu Holtonowi.

– Mam dziękować?

Ocieram twarz z łez. Wciąż czuję na sobie ich dłonie i lubieżne spojrzenia.

– Tak, Ivy. Podziękuj, że poświęcili ci swój czas.

Odwracam się do mężczyzn. Zmuszam się, by na nich spojrzeć. Chcę zapamiętać ich twarze, dowiedzieć się, kim są, bo przysięgam sobie, że pewnego dnia zapłacą mi za to, co zrobili.

– Dziękuję – mówię przez zaciśnięte zęby.

Abel mnie puszcza, więc wchodzę za parawan. Zastanawiam się, co stanie się później, skoro na rozkaz przyszłego męża zostałam tak upokorzona, a on nawet nie był przy tym obecny.

7 - IVY

Milczymy z Ablem, wjeżdżając na podjazd przed szpitalem. Czuję się upokorzona. Jestem przerażona. Dopiero teraz w pełni dociera do mnie to, co wydarzyło się w rezydencji. Siedzę w fotelu pasażera, z kolanami pod brodą i głową zwróconą w kierunku okna, żeby brat nie widział moich łez.

– Zabierz buty z siedzenia – rzuca.

– Pieprz się.

Odpuszcza. Jestem zaskoczona, że nie odpowiada ani nie zmusza mnie do zdjęcia butów z jego bezcennej tapicerki. Może to, co się stało, wpłynęło także na niego?

Ocieram twarz rękawem szerokiego swetra, ciesząc się, że go włożyłam. Rozkoszuję się ochroną, którą mi daje.

Kiedy wjeżdżamy na szpitalny parking, odwracam głowę i przyglądam się profilowi brata. Ma zaciśnięte usta, marszczy gniewnie czoło.

Nienawiść go postarzyła. Oszpeciła.

– Dlaczego mnie do tego zmusiłeś? – pytam.

– On tego chciał.

– Mogłeś odmówić.

Podjeżdża i parkuje przed szklanymi drzwiami, po czym się do mnie odwraca.

– To było konieczne. Gdybyś nie była dziewicą albo on by tak stwierdził po nocy poślubnej, nie byłoby dla nas ratunku. Cała rodzina zostałaby ukarana.

– Czy masz w sobie jakiegokolwiek ludzkie odruchy, Abel? Wiesz coś na temat empatii?

– Empatia jest dla słabeuszy, Ivy. – Zerka na zegarek, jakbym zajmowała mu czas. – Jeśli chcesz zobaczyć ojca, lepiej tam idź.

Mrużę oczy.

– Nie pójdziesz mnie pilnować? Upewnić się, że nie ucieknę? Kręci głową i spogląda na ulicę, obserwując samochody.

– O co chodzi? Zdenerwowało cię to, co zrobiłeś? – rzucam.

– Nie bądź głupia – odpowiada, znów patrząc mi w oczy.

Ma martwe spojrzenie.

– Masz rację, to głupie. Muszę cię jednak ostrzec. Jeśli kiedykolwiek podniesiesz rękę na naszą siostrę albo coś jej się stanie, zabiję cię. Zamorduję cię gołymi rękami. Rozumiesz, Abel?

Parska śmiechem. Tak jakby. To bardziej prychnięcie.

– Kiedy ojciec umrze, przejmę nad nią opiekę. Chcesz wiedzieć, co z nią zrobię? Sprzedam ją temu, kto da najwięcej.

– Nie możesz...

– Nie martw się, poczekam, aż osiągnie odpowiedni wiek. A kiedy to się stanie, nie będziesz miała nic do gadania. Idź do ojca. Szybko. Może twoje paplanie go obudzi.

– Zabiję cię – grożę.

– O ile twój mąż nie zabije cię pierwszej.

Zaskakuje mnie tym, aż czuję dreszcze. W dodatku ktoś puka w szybę, na co podskakuję ze strachu. Spoglądam w prawo, gdzie dostrzegam wysokiego blondyna w długim czarnym płaszczu. Wita Abła skinieniem głowy.

– To James. Odwiezie cię do domu, jak już skończysz – informuje brat. – Masz godzinę.

– Godzinę?

– Dałbym ci cały dzień, lecz nie byłaś zbyt miła, prawda?

Już chcę odpowiedzieć, ale powstrzymuje mnie gestem dłoni.

– Przestań, Ivy. Nie rób tego. Idź, zanim zmienię zdanie.

To też chce mi odebrać?

– Proszę, Abel. – Czuję, że do oczu znów napływają mi łzy.

– Proszę, Abel – przedrzeźnia mnie piskliwym głosem.

Pokazuję mu środkowy palec i otwieram drzwi. Stawiam stopę na chodniku, gdy wymawia moje imię:

– Ivy.

Odwracam się.

– Jutro wieczorem – dodaje.

– Co „jutro wieczorem”?

– Wielki dzień.

– Słucham?

– O północy.

– Jutro? – Robi mi się zimno.

Abel sprawdza zegarek.

– Zostało pięćdziesiąt siedem minut.
– Nienawidzę cię – mówię i wysiadam z samochodu.
Mijam Jamesa, który wchodzi za mną przez szklane drzwi do szpitala.

8 - SANTIAGO

– Dominus et Deuce – zwraca się do mnie z udawanym szacunkiem Abel, kłaniając się na powitanie.

Mój gabinet w rezydencji De La Rosów jest ciemny, wiszące na ścianie monitory w dzień są wyłączone. Pomimo mroku dostrzegam na twarzy Abła Morena, że nie lubi się przed nikim kłaniać. Wydaje mu się, że zasługuje na więcej, jestem pewny, że tak podpowiada mu ego. Zawsze wyczuwałem od niego niechęć, nawet wtedy, gdy okazywał szacunek.

Praktycznie rzecz biorąc, można uznać Abła za bękarta. Jego powiązanie z IVI jest co najwyżej słabe. To pierwszy i jedyny syn Elia, ale nie urodziła go kobieta wybrana przez Socjetę. Z tego powodu nigdy nie będzie się liczył w naszym świecie. Łatwo pojąć, że ktoś może go lubić, jednak zaakceptowanie go to zupełnie inny temat.

Mnie zawsze wydawał się próżny. Łaknął akceptacji i swojego miejsca w Socjecie. Nie podoba mi się jego postawa, a szczególnie to, jak ochoczo zgodził się oddać mi siostrę. Może nie miał wyjścia, ale brak szacunku dla własnych krewnych nie przysparza mu mojej sympatii.

Spodziewałem się sprzeciwu i jestem zawiedziony, że go nie usłyszałem. Obserwowałem ich rodzinę już od czterech lat, poznałem słabość każdego z nich poza Ablem. Eli wraz z żoną pragnęli władzy, która wiąże się z Socjetą. Ivy chce uciec, naiwnie marząc o szkole oraz życiu, jakiego nigdy nie dostanie. Nie byłbym zdziwiony, gdyby próbowała nawiać jak jej starsza siostra. Najmłodsza Moreno, Evangeline, jest jeszcze zbyt młoda, by mieć własne zdanie. Abel jednak nie wydaje się obarczony miłością do żadnego członka swojej rodziny, nie zauważyłem, by kochał kogokolwiek bardziej od siebie.

Wydanie Ivy za mąż powinno być dla nich wszystkich torturą, ale odkąd ogłosiłem swoje zamiary, żaden członek rodziny Moreno nie przyszedł mnie błagać, bym ją oszczędził. Nawet jej matka. Zaczynam myśleć, że jedyny Moreno, którego obchodzi ta dziewczyna, leży teraz bezradny, pogrążony w

śpiączce, zbyt tchórzliwy, żeby zmierzyć się z niesprawiedliwością, na jaką zasłużył.

– Chciałem dać ci gwarancję.

Abel zerka na puste krzesło stojące naprzeciwko biurka. Czeka, bym pozwolił mu usiąść i się rozgościć. Nic z tego. – Na co? – Spoglądam zmrużonymi oczami na teczkę, którą przyniósł.

– Twoja narzeczona jest czysta. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Rozważam jego słowa. Z pewnością nie mówi o tym, o czym myślę. Na widok nikłego uśmiešku na jego ustach i ewidentnego samozadowolenia zaczyna boleć mnie głowa.

Wyciągam rękę i wyszarpuję mu teczkę z rąk. Otwieram ją i przeglądam zawartość w nikłym świetle świecy stojącej na biurku. Przesuwam szybko wzrokiem po raporcie, chłonąc szczegóły. Ręce aż świerzbią mnie na widok potwierdzenia wypowiedzianych przed kilkoma sekundami słów. Do głowy napływają mi myśli o Ivy oraz o głupocie Abla. Nie jest trudno wyobrazić sobie, jak leżała na plecach z rozłożonymi nogami, podczas gdy jakiś obcy facet odważył się dotknąć tego, co powinno należeć wyłącznie do mnie. Jak Abel mógł uznać coś takiego za dobry pomysł?

Gdy wracam do niego pustym wzrokiem, uśmiech pełen zadowolenia rzednie. Obchodzę biurko, łapię Morena za szczękę i zaciskam palce, aż bieleją mi knykcie.

– Kto cię do tego upoważnił?

Wbijam paznokcie w jego skórę z siłą, do jakiej nie jest przyzwyczajony. Próbuje wyrwać się z chwytu, czerwieniejąc. Dostrzegam w nim skrywaną z trudem pogardę, gotową przebić się przez udawaną uprzejmość. Chciałbym zobaczyć, jak próbuje teraz ze mną zadrzeć. Z radością bym go oskalpował, a następnie wysmarował ściany jego krwią.

– Myślałem, że będziesz tego chciał – wydusza.

Jego paciorkowate oczy ciemnieją, na ściśniętej twarzy pokazują się oznaki wściekłości. Chciałby pokazać, gdzie moje miejsce. Pragnie wierzyć, że jest mi równy.

– Powiem to tylko raz – warczę. – Ona należy do mnie. Nikt więcej nie tknie jej bez mojej zgody, wliczając w to ciebie. Jeśli dowiem się, że spadł jej chociaż włos z głowy, ty za to zapłacisz. Rozumiesz?

– Tak. – Wirywa się, wyraźnie zniesmaczony widokiem mojej twarzy z tak bliskiej odległości.

Chce, bym wiedział, co o mnie myśli, bez względu na to, czy może to wyrazić słowami. Mam ochotę zatłuc go na śmierć. Mógłbym to zrobić i nikt by tego nie zakwestionował. Muszę sobie przypominać, że nadejdzie czas, by i on zapłacił za grzechy ojca. Oglądanie, jak zostanie powoli odarty ze swojej dumy i poczucia wyższości, da mi jednak większą satysfakcję. Kiedy z nim skończę, będzie marzył, by jego twarz była tylko tak zniszczona jak moja.

Abel Moreno poczuje na własnej skórze, co to znaczy być odrażającym.

– Proszę, proszę, co my tu mamy? – Mercedes zaskakuje mnie, stając w wejściu do gabinetu, z ciekawością obserwując rozgrywającą się w nim scenę.

Gdy patrzy mi w oczy, nie mam wątpliwości, o czym myśli.

„Jeszcze nie”, kręcę głową, odpowiadając jej bez słów.

Obiecałem, że pozwolę jej zabawić się chociaż z jednym Morenem. Od tamtej pory skupia się na Ablu. Nie wiem, które z nas jest gorsze. Mercedes łaknie krwi równie mocno co ja, ale brak jej cierpliwości. Z pewnością opracowała już najbardziej niegodziwy plan tortur, jakiego nawet nie potrafię sobie wyobrazić. Gdy przyjdzie czas, pozwolę jej go zrealizować, bo nie zamierzam okazywać litości Morenom.

Na razie jednak wypuszczam Abła, prychając z pogardą, i wracam za biurko. Siadam w fotelu, a Moreno ośmiela się obrzucić moją siostrę pożądlivym spojrzeniem. Mercedes dostrzega to pragnienie i zachęca mężczyznę, posyłając zalotny uśmiech. Głupiec nie jest świadomy, jak bardzo siostra chce go zniszczyć.

– Postawię sprawę jasno – odzywam się, znów skupiając jego uwagę na sobie. – Każda decyzja związana z moją przyszłą żoną ma zostać przeze mnie zaakceptowana. Chcę być informowany

o każdym jej kroku, co godzinę, aż do ślubu. Gdzie jest. Z kim. Co robi. Czy jest to dla ciebie wystarczająco zrozumiałe?

– Oczywiście. – Potakuje, mrużąc oczy.

– Przyjadę jutro do waszego domu, by pomóc jej się przygotować – wtrąca Mercedes.

Posyłam jej pełne złości spojrzenie. Wie, że nie powinna proponować czegoś takiego bez mojej zgody. Ale nie mogę zaufać Ablowi, a siostra wypełni każdy rozkaz, więc nie protestuję.

Abel kłania się i uśmiecha.

– Nic nie sprawi mi większej radości niż ponowne spotkanie z panią, panno De La Rosa.

* * *

Kolejna bezsenna noc upływa mi na wędrówce korytarzami rezydencji. Dom jest ogromny i chłodny, trudno go ogrzać. Kiedy żył mój ojciec, w okresie zimowym nakazywał służbie ocieplać jedynie te pomieszczenia, w których przebywaliśmy. Odkąd zostałem głową rodziny, nie zmieniłem jego rozkazów.

Rezydencja została wybudowana w stylu wiktoriańskim, w dzielnicy Lakewood w Nowym Orleanie. Położona wśród drzew, za cmentarzami, rozległa ośmioakrowa posiadłość otoczona ogrodami zapewnia więcej prywatności niż jakakolwiek inna w całym mieście. Należy do rodziny od pokoleń. Pomimo wielu hojnych ofert, nigdy nie stanie się własnością kogoś, kto nie nosi nazwiska De La Rosa.

Moim zadaniem jest zapewnienie ciągłości rodu, na tym polu Ivy pokaże swoją wartość. Sama myśl o zapłodnieniu jej jednocześnie mnie obrzydza, odpycha, jak i fascynuje. W końcu to córka wroga. Dlatego ta pokręcona sytuacja zdaje się tak trudna, lecz ostatecznie noszenie moich synów będzie dla dziewczyny czystą torturą. Bóg mi świadkiem, że o to zadbam. Pozostaje tylko pytanie, jak długo Ivy wytrzyma pod moimi rządami? Ile zniesie kar za grzechy popełnione przez ojca? Czy sama postanowi położyć kres swej niedoli, a może zakończenie jej życia przypadnie w udziale mnie?

Jutro stanie się moja. Będę mógł jej dotykać. Brać ją. Robić z nią, co zechcę. Dowie się, co to znaczy naprawdę do kogoś

należę. Naznaczę jej skórę. Zobaczą dziewczęcą krew na swoim fiucie. Ujrzą pierwszą z tysięcy łez, które wyleje, zanim z nią skończę.

Kiedy zamykam oczy, wyobrażam to sobie dokładnie. Wizje te, wbrew mojej woli, raz są okrutne, innym razem łagodne. Nie uprawiałem seksu od czasu wybuchu. Chociaż wiele kobiet wypełniłoby mój rozkaz, nie chcę narażać ich na traumę związaną z oglądaniem moich blizn. Ivy nie będzie miała innego wyjścia niż mi się oddać, kiedy i jak tego zechcę. Będzie się zmagać z tym wszystkim za każdym razem, gdy na mnie spojrzy. Chcę, by poczuła to, co ja. Płynąca w jej żyłach krew rodziny Moreno zniszczyła mnie, więc ją też powinna zniszczyć.

Pewnego dnia może pozwolę Ivy zobaczyć spustoszenie, jakie jej ojciec pozostawił na moim ciele. Na razie wykorzystam ją jako inkubator. Żadne pozytywne uczucia nie są konieczne, by wypełniła swoją powinność. Będzie przyjmować mojego fiuta, dopóki jej brzuch nie zaokrągli się od rosnącego w niej dziecka.

Przesuwam palcami po zdobieniach leżącej na biurku gotyckiej maski. Nie jest mi trudno wyobrazić sobie, jak Ivy klęczy przede mną, naga, ze świeżym znakiem wytatuowanym na ciele. Maską zasłoni jej widok, z trudem będzie łapać powietrze, czekając, aż się zbliżę. To będzie piękny, a zarazem przerażający obraz.

Stojący na gzymsie kominka zegar odlicza sekundy kurczącego się czasu, który przypieczętuje jej przeznaczenie. Dziś, gdy wybije północ, Ivy Moreno zostanie moją żoną.

9 - IVY

Siedzę na łóżku w swoim pokoju, otulona niezliczonymi kocami, ale nadal nie mogę się rozgrzać. Wczorajsza wizyta u taty okazała się trudniejsza, niż myślałam. Ojciec stracił na wadze, nie wygląda najlepiej. Wydaje się mały i słaby, ma zapadnięte policzki, a na dodatek jest tak blady, jakby walczył o każdy oddech. A raczej robiłby to, gdyby nie oddychała za niego maszyna.

Lekarz powiedział, że doszło do zatrzymania akcji serca. Nie musiał dodawać, że rokowania nie są najlepsze. Sama widziałam. Siedziałam więc przy tacie, trzymałam go za rękę, powstrzymując szloch.

Byliśmy z ojcem tak blisko, jak tylko można w należącej do Socjety rodzinie. Kobiety uznaje się tu za obywateli drugiej kategorii, a córki są potrzebne, żeby wydać je za mąż za postawionych wyżej w hierarchii mężczyzn, by rodzić im synów. Mężcy potomkowie mają wyższą wartość. Poza Ablem, który jest owocem małżeństwa niezaaprobowanego przez organizację.

W sytuacjach sam na sam tata był dla mnie inny. Nigdy nie zachowywał się źle. To matka jest zawsze gotowa uderzyć lub przypalić papierosami, których, jak się zarzekała, nie paliła. Tata pozostawał delikatny. Zdarzało się nawet, że uczuciowy. „Nie. On jest delikatny. Wciąż żyje. A póki nie odejdzie, istnieje szansa”.

Pozwoli mi wrócić na studia. Większość dziewcząt z Socjety nie ma takiej możliwości. Żyją w domach. Uczą się pod baczny okiem rodziców.

Wracam myślami do doktora Chambersa, a dreszcz przeszywa mnie na samo wyobrażenie, jakby to było mieć go za ojca. Zaczynam lepiej rozumieć Marię.

Mój tata jest inny. Ufam, że po części liczył, że uda mi się wyrwać ze szponów Socjety. Przynajmniej podświadomie w to wierzył.

Siedząc w pokoju, próbuję zapamiętać te obrazy. Nie to, jak mały wydawał się w szpitalnym łóżku. Nie ciągły szum maszyn,

do których jest podłączony.

Później wpatruję się w przezroczysty pokrowiec wiszący na drzwiach szafy. Widzę przez niego moją suknię ślubną. Jest piękna. Czarna. Oddaje mój nastrój. Pasuje też do ślubu z nieznanym z Socjety.

Do jej uszycia użyto wielu metrów koronki i tylu satynowych guzików, że trudno je zliczyć. Welon zapakowano w osobny pokrowiec, jest jeszcze dłuższy niż suknia. Buty natomiast, bez względu na to, jak bardzo są piękne, zostaną w pudełku. Może uda mu się je zwrócić i odzyskać pieniądze. Jeśli je założę, z pewnością skręcę sobie kark.

Przez kolejnych dwadzieścia minut siedzę otepiała, zastanawiając się, czy to przetrwam. Jak zmuszę się, by wstać, ubrać się i pojechać do kościoła, żeby wyjść za mąż.

Małżeństwo.

Z obcym.

Abel sprytnie wykorzystał Evangeline, żeby mnie do tego zmusić. Słowa, które wypowiedział, zanim wysiadłam z samochodu, wciąż rozbrzmiewają echem w mojej głowie: o tym, co brat zamierza z nią zrobić, gdy przejmie nad siostrą opiekę. A przejmie, ponieważ matka odda ją zgodnie z zasadami Socjety. Głową rodziny musi być mężczyzna. A jeśli tata umrze, zostanie nią Abel. Pograżam się ponownie w myślach.

Za kilka godzin Santiago De La Rosa zostanie moim mężem. Jest potężny. Będzie mógł coś na to poradzić? Zrobi to? Pomoże mi, jeśli go poproszę? Nie może być gorszy niż Abel. Nie potrafię sobie wyobrazić, że istnieje ktoś bardziej nienawistny. Odrzucam koce i wstaję z łóżka. Wkładam stary strój kąpielowy, narzucam szlafrok, po czym wychodzę z pokoju. Schodzę boso po schodach, kierując się do tylnych drzwi. James depcze mi po piętach, ale nie przejmuję się nim.

Nad mokrą, zimną trawą, którą zmierzam do ogrodu, unosi się mgła. Nie zwracam na to uwagi, ponieważ basen jest podgrzewany, by matka mogła pływać również zimą. Wiem, że chciała wybudować go w domu, pamiętam, jak kłóciła się z

ojcem, lecz ten wprost powiedział, że nas na to nie stać. Basen został więc na zewnątrz.

Kiedy docieram na miejsce, James odsuwa się i obserwuje, jak zrzuca szlafrok. Potem wchodzi po schodkach do basenu, drżąc z zimna. Woda okazuje się chłodniejsza, niż oczekiwałam. Może już jej nie podgrzewają? Dom nie jest tak dobrze utrzymany jak kiedyś. Mimo to nie zatrzymuję się, tylko zanurzam, aż do piersi, po czym kładę się i płynę.

Pływam tam i z powrotem. Basen nie jest zbyt duży. Nie wiem, ile długości pokonuję. Otwieram oczy jedynie wtedy, gdy wynurzam się, by zaczerpnąć tchu. Nurkuję tak długo, jak tylko mogę, chlupot i ciężar wody rozpraszają moje myśli. Wymazują cały świat.

Może to małżeństwo przyniesie coś dobrego.

Możliwe, że uda mi się ocalić siostrę.

Nawet jeśli będę zmuszona przespać się z potworem, by to osiągnąć.

Jestem tak zajęta rozmyślaniami, że nie zauważam dwóch osób stojących obok Jamesa. Przepływam kolejne dwie długości basenu, nim słyszę kobiecy śmiech oraz Abła syczącego moje imię. Zatrzymuję się w końcu tylko dlatego, że brat łapie mnie za rękę i przytrzymuje. Abel twierdzi, że nie lubi pływać. Uważam, że po prostu nie umie. Podejrzewam, że boi się wody. Oczywiście nigdy tego nie przyzna, bo okazałby wtedy słabość.

Zamiast się odsunąć chwytam go za dłoń równie mocno, patrząc mu w oczy.

Utonie, jeśli go wciągnę? Uratowałam go? A może przytrzymała pod wodą? To wydaje się kuszące.

Ciągnę.

– Puść mnie – syczy, zerkając na kobietę stojącą tuż obok.

Podążam za jego spojrzeniem. Już rozumiem, dlaczego pozuje na twardziela. Nieznajoma jest piękna. Nigdy wcześniej jej nie widziałam, nie mam pojęcia, co to za jedna, ale robi wrażenie. Zdecydowanie nie należy do tej samej ligi co Abel. – Mercedes De La Rosa przyszła przygotować cię dla swojego brata – informuje.

Kobieta podchodzi i zatrzymuje się przy krawędzi basenu, podczas gdy ja wciąż próbuję przetrwać sposób, w jaki Abel to oznajmił.

Ostatecznie puszczam jego rękę. Brat wstaje, strzepuje wodę z marynarki i przeprosza kobietę. Wygląda niedorzecznie, podlizując się.

Pragnie jej. To oczywiste.

Równie jasne jest to, że ona nie pozwoli mi nawet polizać podeszwy swoich szpilek z wężowej skóry od Jimmy'ego Choo. Jej wzrok skupiony jest na mnie. Wpatruje się tak intensywnie, że z trudem podtrzymuję spojrzenie.

– Dzień dobry, Ivy – mówi wyniośle, uśmiechając się zimno. Od razu nabieram pewności, że się nie zaprzyjaźnimy.

10 - SANTIAGO

Katedra Świętej Trójcy w dzielnicy Garden w Nowym Orleanie jest położona zaledwie kilometr od siedziby IVI. Chociaż Socjeta ma swoją własną kaplicę, kościół ten, jak wiele innych w kraju i na świecie, pozostaje pod naszą kontrolą. Odbywają się w nim śluby i chrzty, bo jest na tyle duży, by pomieścić lokalnych członków organizacji. Tego wieczoru na ceremonii zgromadzi się w niej jedynie piętnastu najwyższych rangą członków oraz brat Ivy. Co do moich krewnych, będę jedynym obecnym De La Rosą.

Wybudowana w stylu gotyckim katedra góruje nad okolicą ze swoją wysoką wieżą oraz licznymi iglicami. Wnętrze jest wykonane z polerowanego drewna i bogato zdobione gobelinami oraz kolorowymi witrażami. Gdy do środka nie padają promienie słoneczne, panuje tam mrok, a dzisiejszego wieczoru jedynym źródłem światła będzie blask świec ustawionych wzdłuż prowadzącej do ołtarza nawy.

Wyznaczeni pracownicy kończą przygotowywać kościół na ceremonię, a ja znajduję sobie ustronne miejsce w małej kaplicy za chórem we wschodniej części. Przywykłem do przebywania sam na sam ze swymi myślami do tego stopnia, że ostatni tydzień całkowicie wytrącił mnie z równowagi.

Potrzebuję spokoju, który odnajduję w zaciszu konfesjonału przeznaczonego na specjalne okazje. Zamykam drzwi i zaciskam powieki, siadając w tym drewnianym sanktuarium. W środku unosi się zapach środka do czyszczenia drewna oraz kadzidła, który często towarzyszy moim wspomnieniom z dzieciństwa. Prawdą jest, że wychowywałem się głównie w katolickich szkołach, w domu spędzałem wyłącznie wakacje. Było tak do czasu, aż osiągnąłem wiek, który mój ojciec uznał za odpowiedni, aby ukształtować mnie na człowieka, jakim chciał, żebym został. Nie był zadowolony, gdy odkrył mój talent do matematyki. Uznał to za marnotrawstwo. Chociaż wysocy rangą członkowie IVI zgodnie orzekli, że dobrze rozwinięte umiejętności mogą okazać się przydatne, nigdy nie zapomnę rozczarowania widocznego w oczach ojca.

Od początku miał wysokie wymagania. Nie zachowywałem się jak reszta dzieci. Na próżno było szukać we mnie psotnej niewinności. Zawsze pozostawałem poważny i sumienny. Respektowałem wszystkie jego życzenia, spełniałem je rzetelnie. Zdaniem innych, w tym mojej matki, powinno go to zadowolić. A jednak ojciec doszukiwał się winy w dziwnej pustce widocznej w moich oczach, nawet jeśli sam jej wymagał. Kilka razy słyszałem, jak twierdził, że jestem oziębły, co jako jedyne sprawiało, że na jego twarzy pojawiał się chociaż przebłysk aprobaty. Jeśli kiedykolwiek przejawiałem choć cień emocji, okruczeństwa, szybko się go wyzbywałem i zapominałem, że istniał.

Ostatecznie, pomimo całej mojej nauki i wysiłków, by pokazać swoją wartość, opinia ojca na mój temat pozostała niezmienna. Może dlatego tak łatwo uległem fałszywym pochwałom Elia Morena. Podczas gdy ojciec ciągle okazywał mi swoje rozczarowanie, Eli nieustannie zachwycał się moją inteligencją. Nieraz powtarzał, że nigdy nie widział nikogo podobnego do mnie. Dniami, tygodniami, miesiącami wspólnie analizowaliśmy liczby. Stworzyliśmy w ten sposób więź mocniejszą niż stal. W tym samym czasie pozwoliłem, by lodowa powłoka wokół mnie nieco stopniała, pokazałem mu część siebie, która nie istniała w innych okolicznościach. Były chwile, kiedy się uśmiechałem, nawet śmiałem. Momenty te wydawały się tak obce, a jednocześnie przychodziły mi naturalnie.

Zacząłem dostrzegać w Eliu ojca i błąd ten kosztował mnie więcej, niż jestem w stanie wyrazić. Czuję się głupio, gdy myśl o jego zdradzie zakiełkowała w moim umyśle po tym, jak obudziłem się w szpitalu – okaleczony i zdeformowany. Jako jedyny członek rodziny przeżyłem eksplozję. Eli poprosił, bym udał się w wyznaczone miejsce wraz z ojcem i bratem. Tak łatwo zwiódł mnie prostą prośbą.

Niezliczoną ilość razy słyszałem zarówno od członków Socjety, jak i od ojca, że zaufanie to kapryśna bestia. Złożyliśmy przysięgę, że będziemy dbać o naszych braci z organizacji, ale nie oznaczało to, iż wśród nas nie było kłamców oraz zdrajców.

Kiedy się to zdarzało, konsekwencje zazwyczaj okazywały się druzgocące, a cena zawsze wysoka. Wpojono mi, by kwestionować motywy postępowania innych, co też zawsze robiłem. Eli zaślepił mnie fałszywym podziwem. Jego uznanie było balsamem na moje słabości, więc się mu poddałem.

Zawiodłem ojca, brata i wszystkich, którzy zginęli tamtej nocy. Okazja, by udowodnić tacie swoją wartość, przepadła, ale jedno mogę zrobić: wykonam wyrok na mężczyźnie, który posłał go do grobu.

Eli być może nigdy się nie obudzi, lecz żywy czy martwy pozna smak cierpienia, które sam wywołał. Poczuje siłę zemsty, gdy jego córka złoży mi dziś przysięgę oraz każdego dnia, kiedy dziewczyna pozostanie w moich szponach.

Nie znam prawdziwej przyjemności. Jej znaczenie jest mi zupełnie obce. Przypuszczam jedynie, że objawia się jako ciepło, które wypełnia w tej chwili moje zlodowaciałe serce na samą myśl, w jaki sposób Ivy zapłaci za grzechy ojca. Zostanie skazana na wieczną ciemność pod moimi rządami. Odda mi się, ale nigdy nie będzie kochana. A kiedy po dzisiejszej nocy spojrzę w lustro, poczuje, co to prawdziwy wstyd. Nie zgodzę się na nic innego.

W zaciemnionym konfesjonale przesuwam palcami po różańcu, który wkrótce zawiśnie na szyi mojej żony. Do ceremonii pozostało trzydzieści minut, a ja właśnie odebrałem wiadomość od Mercedes, która wróciła do domu po przygotowaniu Ivy. Informuje, że twarz mojej narzeczonej będzie idealnym płótnem dla ostrza noża.

Ogarnia mnie dziwna zazdrość na samą myśl o tym, jak niedaleko mojego zakładnika przebywała Mercedes. Odkąd lata temu poznałem Ivy w gabinecie jej ojca, z bliska widziałem ją tylko raz. Tej nocy, kiedy dałem dziewczynie pierścionek, było ciemno i nie dostrzegłem zbyt wielu detali. Chociaż godzinami przeglądałem zdjęcia z jej akt, to nie to samo, co oddychanie tym samym powietrzem.

W odpowiedzi nakazuję siostrze, by zabrała kilka rzeczy i została na noc poza domem. Potem chowam telefon do kieszeni, opieram głowę o drewnianą przegrodę, po czym zamykam oczy,

ale z błęgiego stanu wyrywa mnie rozmowa osób wchodzących do kaplicy.

– Daj mi pięć minut dla siebie. Proszę cię, Abel.

Rozpoznaję śpiewny głos Ivy, po którym rozlega się warknięcie jej brata.

– Będę cię obserwował – ostrzega. – Nawet nie myśl o jakichś głupotach.

Słyszę szelest materiału i lekkie kroki na kamiennej podłodze. Nie założyła szpilek, które jej kupiłem. Głupia, naiwna dziewczynka.

Przez kilka minut przysłuchuję się, jak krąży po kaplicy. Nie widzę jej, ale wyobrażam sobie, jak szuka dla siebie schronienia. Miejsca, w którym mogłaby się ukryć i nigdy nie wychodzić.

Kiedy drzwi z drugiej strony konfesjonału się otwierają, nabieram powietrza i wycofuję się w ciemny kąt, a Ivy wchodzi do środka. Klęka zaledwie kilka centymetrów ode mnie, dzieli nas jedynie cienka kratownica.

Jej zapach wypełnia konfesjonał, gdy wierci się i wzdycha, wzywając Boga w modlitwie. Pachnie czystością, czuję też lekką woń szamponu albo balsamu do ciała. To odświeżająca odmiana od cukierkowej słodyczy drogich perfum, których używają członkowie Socjety.

Przez kratownicę widzę fragmenty sukni, którą dla niej kupiłem. Czarna koronka otula jej ciało, jakby była dla niej stworzona. Palce aż świerzbią mnie, by poczuć jej skórę pod materiałem, złapać i ścisnąć, naznaczyć to nienaruszone piękno. Czując niedosyt, przyłapuję się na tym, że pochylam się, by zobaczyć więcej. Zatrzymuję się gwałtownie, odzyskując świadomość.

Ta kobieta stanowi prawdziwe niebezpieczeństwo.

To groźne pragnienie przepływające przez moje żyły jest mi nieznane i od razu staram się je usprawiedliwić. Cztery lata bez ciepła kobiecego ciała to dużo czasu. Naturalnym zdaje się, że pragnę posmakować tego, co do mnie należy. Ma to sens, poza tym chcę jej nie tylko posmakować. Pragnę ją całkowicie

pochłonąć. Nigdy nie pozna siły tego pożądania. Muszę trzymać je pod kontrolą.

Ivy nie jest świadoma mojej obecności, gdy skłania głowę i szepcze modlitwę. Wypowiada prośbę, której Bóg, bez względu na swoją potęgę, nie będzie mógł spełnić. Mogę sobie jedynie wyobrazić, co dziewczyna o mnie myśli.

Czy zastanawia się, jak to będzie poczuć na skórze mój dotyk? Nawiedzają ją wizje tego, jak rozłożę jej nogi i posiadę słodczy ciała?

Sądzę, że nie. Gdyby była mądra, nie zastanawiałaby się nawet, co taki potwór jak ja może jej zrobić. Najlepiej będzie, jeśli zmierzy się ze swoim przeznaczeniem, nie kalając go okropnościami, które podpowiada jej wyobraźnia. Doskonale zdaje sobie przecież sprawę, że zamartwianie się jej nie uratuje.

Wierzę, że pogodziła się już ze swoim przeznaczeniem. Patrzy pustymi oczami na drewniany panel. Jej wzrok jest tak nieruchomy i pozbawiony emocji, że czuję, jakbym spoglądał w lustro. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, Ivy bierze urywany wdech i podnosi do ust drżącą dłoń. Jej ramiona trzęsą się pod ciężarem nagłego wybuchu rozpacz, ale nie pozwala sobie uronić ani jednej łzy. Okazuje się silniejsza, niż zakładałem. Myślę, że jej cierpienie będzie mnie fascynować. Składam przysięgę, że nim dzisiejsza noc się skończy, Ivy zapłacze.

Mija kilka minut, które dziewczyna wykorzystuje, by podbudować swoją wiarę. Zastanawiam się, czy będzie wzywać Boga, gdy położę dziś na niej ręce. Nie nosi jeszcze mojego znaku, ale nic nie powstrzymuje mnie przed odsunięciem dzielącej nas przegrody i wepchnięciem fiuta do jej gardła. Dałbym Ivy przedsmak tego, co ją czeka.

Wbijam palce w drewnianą ławkę i zamykam oczy, wyobrażając to sobie, aż drewno skrzypi od siły mojej frustracji.

Kiedy spoglądam z powrotem za kratownicę, zauważam dzikie, przerażone, skierowanie wprost na mnie spojrzenie Ivy. Światło przesącza się przez wąskie szpary w drewnie po mojej stronie, więc pozostaję ukryty w cieniu. Nie sądzę, by mnie widziała, ale czuje moją obecność. Drapieżnika skrytego w mroku.

Przysuwa się do kratownicy, zapewne szukając księdza, za którego zostałem uznany, aż dech więźnie mi w gardle. Zanim ma szansę otworzyć przepierzenie, ostry głos Abła zakłóca ciszę. Mężczyzna uderza wściekle pięścią w drzwi po jej stronie, strasząc ją.

Chwila trwa zbyt krótko i zanim Ivy odkrywa moją obecność, Abel otwiera gwałtownie drzwi, po czym siłą wyciąga ją z konfesjonału.

11 - IVY

– Pięć minut – instruuje Abel i odwraca się, by wyjść z małej kaplicy połączonej z katedrą. Została wzniesiona wiek przed powstaniem świątyni i podczas budowy uwzględniono ich połączenie.

Wiele lat temu wraz z moją klasą przyjechałam tu pierwszą komunię. Patrząc na drogę prowadzącą do ołtarza, przypominam sobie, jak z dłońmi oplecionymi różańcem szłam wtedy w ślicznej białej sukience. Przed ceremonią przystąpiliśmy też do spowiedzi. Było nas ośmioro, pamiętam, że wierciłam się nerwowo w ławce, oczekując na swoją kolej.

Przypominam sobie również skrzypiące drzwi konfesjonału, jego zapach, gdy klęczałam na drewnianym klęczniku – dla grzeszników nie przewidziano żadnej poduszki – i wyznawałam swoje przewinienia. W ciemności widziałam skryty za kratownicą profil księdza. Nie miałam zbyt wiele do wyznania, więc zmyślałam. Sądziłam, że jeśli tego nie zrobię, uzna mnie za kłamczuchę. Po wszystkim dołączyłam do pozostałych przy ołtarzu i odmówiłam kilka zdrowasiek zadanych jako pokutę przez księdza, a nawet parę więcej, bo go oszukałam.

Przebywanie w tym miejscu przenosi mnie do przeszłości. Drzę i obejmuję się ramionami. Jest zimno, ale to nie z tego powodu się trzęsę. Chodzę boso po kaplicy, ryciny na grobowcach są tak stare, że odczuwam je jak rysy na zimnej posadzce.

Przyglądam się każdej z czternastu stacji drogi krzyżowej. Patrę na obraz przedstawiający ukrzyżowanie. Podchodzę do ołtarza i wpatrując się w niego, zastanawiam się, jak Bóg mógł do tego dopuścić. Dlaczego, jeśli naprawdę istnieje, pozwolił, żeby mnie to spotkało? A mojego ojca?

I Hazel. Uciekła kilka dni przed swoim ślubem.

Jak mógł pozwolić, by ją to spotkało? A może taki był Jego plan. Socjeta ma rację, a Bóg ich wspiera, chce jednej z siostr Moreno.

Przechodzę na tyły kaplicy, bawiąc się rąbkiem koronkowego welonu. Konfesjonał stoi w tym samym miejscu, a kiedy do

niego podchodzę, dotykam starego drewna. Żłobienia są zakurzone. Chyba już nikt z niego nie korzysta.

Otwieram drzwi i wchodzę do pomieszczenia, w którym byłam tylko raz. Jest mniejsze, niż zapamiętałam. Kratownica wydaje się inna, składa się z tysięcy krzyży. Zawsze zastanawiałam się, czy ksiądz wie, kto się przed nim spowiada. Czy zapamiętuje grzechy.

Klękam na klęczniku.

– Boże.

Ocieram twarz i odruchowo zasłaniam oko grzywką. Przypominam sobie minę Mercedes, gdy je zobaczyła. Jakby nigdy w życiu nie widziała czegoś równie okropnego. Suka.

Biorę głęboki wdech, po nim drugi. Zapach w konfesjonale jest inny, niż się spodziewałam. Czuję wodę kolońską, kadzidło i środek do czyszczenia drewna. Może się mylę i nadal ktoś tu przychodzi.

W końcu nabieram powietrza, po czym wypuszczam je, składając ręce w modlitwie.

– Jeśli tam jesteś... Jeśli naprawdę istniejesz... – Z gardła wyrывa mi się szloch, wnętrzem dłoni ocieram oczy, uważając, by nie rozmazać tuszu i eyelinera, które nałożyła mi Mercedes.

Chcę prosić Boga, by do tego nie dopuścił, ale to głupie. To i tak się stanie. Zamiast tego mam inną prośbę.

Schylam głowę.

– Nie pozwól, by okazał się potworem – szepczę.

Słyszę skrzypnięcie.

Sapię z zaskoczenia, otwieram oczy i mogłabym przysiąc, że dostrzegam ruch za kratownicą.

– Ojczy? – mówię, przybliżając się, gdy nie odpowiada. – Jest tam ktoś?

Słyszę, że otwierają się drzwi kaplicy, następnie rozlegają się kroki brata. To może być tylko on.

– Ivy – warczy, gdy nigdzie mnie nie dostrzega. – Do kurwy nędzy, gdzie jesteś?

Zerkam na drzwi konfesjonału, następnie na kratownicę, za którą powinien siedzieć ksiądz, i z powrotem, gdy brat otwiera

gwałtownie drzwiczki, aż trzęsą się na zawiasach. Potem Abel łapie mnie za ramię.

– To boli – jęczę.

– Dlaczego się chowasz? Myślisz, że jestem głupi i cię nie znajdę?

– Nie chowałam się, dupku!

– Chryste. Wyglądasz okropnie. – Wyciera mi tusz spod oczu, po czym oddycha głęboko. Zasłania moją twarz welonem. Wydaje się, że sam próbuje się pozbierać.

Już prawie czas.

12 - SANTIAGO

Ślub w Socjocie to zazwyczaj wielkie wydarzenie. Członkowie wyższej rangi organizują je według najwyższych standardów, a dla kobiet jest to niemal sportowa rywalizacja, by zaprezentować się lepiej od pozostałych. Zamawiają lodowe rzeźby, suknie od projektantów i spersonalizowaną biżuterię, bo są wystarczająco bogaci oraz potężni.

Na moim ślubie nie będzie takiego przepychu. Jedynymi obecnymi na ceremonii są mężczyźni wyznaczeni przez IVI jako świadkowie. Gdyby zależało to wyłącznie ode mnie, w kościele znaleźlibyśmy się tylko ja i Ivy oraz ksiądz, ale musimy podporządkować się zasadom, a to jedna z nich.

Przez moje ciało przepływa dziwne napięcie, kiedy przyglądam się odbiciu w lustrze. Skórzane buty są wypastowane. Szyty na miarę smoking jest idealnie dopasowany do białej koszuli pod nim. Pokryte tuszem ciało wystaje spod mankietów. Moją uwagę przykuwa jednak tatuaż na twarzy. Ivy prawdopodobnie wie o moich bliznach, ale nie widziała jeszcze wytatuowanej na nich połowy czaszki. Mogę sobie jedynie wyobrazić jej reakcję, gdy dojdzie do końca nawy. Co zrobi? Spróbuje uciec? Abel będzie zmuszony zaciągnąć ją z powrotem pod ołtarz i uciszyć rozpaczliwe szlochy, by wydusiła przysięgę?

Sama myśl wywołuje gorzki posmak w ustach.

Dawno temu kobiety z organizacji padały na kolana, by mnie poślubić. Teraz mam pewność, że panna młoda prędzej wołałaby nabić się na pał, niż mi oddać.

Uczucia Ivy nie mają jednak znaczenia. To jej przeznaczenie. Nie będę tolerował braku szacunku bez względu na to, jak wielkie obrzydzenie poczuje.

To samo dotyczy jej brata.

Kiedy o tym myślę, Abel akurat pojawia się w wejściu, prowadzony przez mojego ochroniarza.

– Wzywałś mnie? – pyta.

Potakuję, zapraszając go gestem do zakrystii. Goście mogą poczekać. Po tym, co przed chwilą zaszło, czuję nagłą

potrzebę, by najpierw rozprawić się z Ablem.

Jego wzrok przesuwają się po mojej sylwetce szybko i oceniająco. Sądzi, że jest sprytny. Ma pewność, że zwiódł mnie swoją pełną szacunku postawą.

Upijam łyk szkockiej, odstawiam szklanę na stół, po czym odwzajemniam jego spojrzenie.

– Czy nie wyraziłem się dostatecznie jasno, gdy tłumaczyłem ci, co sądzę o tym, że ktoś poza mną dotyka Ivy?

Przestępuje z nogi na nogę, jego twarz blednie w słabym świetle. Widzę, jak zastanawia się gorączkowo, skąd mogę wiedzieć, że przed chwilą złapał Ivy w kaplicy. Mógłbym mu powiedzieć, ale zniszczyłbym wrażenie, że mój wzrok sięga wszędzie, a chcę, żeby tak właśnie czuł.

– Chyba nie do końca rozumiem...

Zbliżam się do niego o dwa kroki, przybierając z pozoru spokojną minę. Nie spodziewa się więc mojej pięści, póki ta nie trafia go w brzuch. Abel przewraca się, kaszląc i rżąc, jakby w życiu nie przyjął ciosu. Jego ignorancja i słabość tylko napędzają moją furję. Uderzam jeszcze dwa razy, nim Moreno opada na kolana, zwijając się w pozycji embrionalnej i okazując skruchę.

– Myślałem, że chcesz, abym pokazał jej, gdzie jej miejsce – wydusza.

– To moja rola. – Przyciskam wypolerowany na błysk but do gardła Abła, a później zaczynam zwiększać nacisk, aż męczyzna spogląda na mnie z paniką.

Mój świadek, a zarazem bliski przyjaciel i jednocześnie Sędzia, obserwuje nas spod drzwi ze znudzoną miną. Nie ma osoby, która mogłaby mnie w tym momencie powstrzymać przed odebraniem Ablowi życia.

– Słuchaj uważnie. – Wbijam piętę w jego tchawicę tak mocno, że wytrzeszcza oczy. – Po tym, jak poprowadzisz Ivy do ołtarza i mi ją oddasz, nigdy więcej jej nie tkniesz.

– Nie tknę – rżęzi Abel, drapiąc paznokciami mój but i niszcząc perfekcyjnie wykonane, skórzane, włoskie obuwie. Za to przewinienie zabieram stopę z jego gardła i wciskam mu czubek buta do ust tak mocno, że słyszę, jak grzechoczą mu

zęby, gdy krztusi się i walczy o oddech. Kiedy jestem wystarczająco zadowolony, że zakosztował brudu, którym sam jest, rozsmarowuję mu wymieszaną z krwią ślinę na podbródku, po czym zostawiam leżącego na podłodze, gapiącego się na mnie z niedowierzaniem.

– Pieprzony Moreno – niemal wypluwam te słowa i podchodzę do alkoholu, który dopijam w dwóch łykach. – Zejdź mi z oczu. Natychmiast.

Abel podnosi się z trudem, unikając mojego wzroku, po czym kieruje się do drzwi z zaciśniętymi pięściami. Sędzia odsuwa się, a Moreno znika w korytarzu. Obracam się do lustra, by poprawić ubranie.

– Widzę, że nie wyszedłeś z wprawy – słyszę za plecami znajomy głos.

Odwracam się do mojego najstarszego przyjaciela. Jestem zaskoczony jego obecnością. Angelo Augustine to kolega z klasy z czasów szkoły katolickiej. Również należy do Sprawiedliwych Synów IVI pochodzących z Seattle. Od lat utrzymujemy bliski kontakt, ale nie widziałem go przynajmniej od sześciu. Listy i telefony były naszymi jedynymi kanałami komunikacji, biorąc pod uwagę, że odwiedzenie go w więzieniu mogłoby okazać się zbyt ryzykowne dla Socjety.

– Powinienem się spodziewać również oddziału SWAT jako świadków? – pytam oschle.

Parska śmiechem, jednak zaraz poważnieje.

– Zostałem wcześniej zwolniony.

– Jak?

Przechylam głowę, by się mu przyjrzeć. Nie zmienił się zbyt wiele od naszego ostatniego spotkania. Jest do mnie podobny. Ma ciemne włosy. Niebieskie oczy. Mógłby uchodzić za mojego brata i w przeszłości często tak było. Przed wybuchem.

– Zostawmy szczegóły na później. – Wchodzi do pomieszczenia. – Dziś twój dzień.

– Zostajesz tu? – dopytuję, nalewając mu szkockiej.

Kątem oka zauważam, jak Sędzia kiwa głową, pokazując, że da nam chwilę, nim znika w korytarzu. Nie spodziewałem się

gościa, jednak nie zamierzam go tu zostawić, nie poznawszy powodu nagłego powrotu.

Angelo bierze szklanę i obraca ją w dłoni, wdychając zapach alkoholu. To naturalny odruch u Sprawiedliwych Synów. Nigdy nie wiesz, czy nie dostałeś trucizny. Ale jego zachowanie przypisuję raczej wspomnieniom z przeszłości, a nie brakowi zaufania. Jeśli istnieje osoba, której Angelo może zaufać, to jestem nią ja.

– Chciałbym. – Upija łyk i zamyka oczy, rozkoszując się smakiem. – Nie mogę być jeszcze widziany z innymi członkami Socjety. Nie jest to odpowiedni czas, by ogłosić moje wyjście na wolność. Ale nie mogłem przepuścić takiej okazji, żeby cię zobaczyć.

Kiwam głową. Istnieje między nami więź, dzięki której porozumiewamy się bez słów. Angelo wie o zdradzie tyle co ja. Snuje własne plany. Chociaż bardzo chciałbym, aby towarzyszył mi dziś przy ołtarzu, nie poproszę o to, jeśli miałyby źle wpłynąć na jego zemstę. W pewien sposób zdrada, która go spotkała, była gorsza. Ja za zniszczenie życia mógłbym podziękować ojcu Ivy, Angela zdradził członek rodziny. Mężczyzna spędził ostatnie sześć lat zamknięty za kratami za przestępstwo, którego nie popełnił, i nie przyjął tego dobrze.

Dopija szkocką, po czym dolewa sobie alkoholu, wpatrując się w moją twarz. Angelo wie o tym, co się wydarzyło, ale osobiście nie widział skutków. Doceniam, że nie wzdrygnął się, gdy mnie zobaczył, co u większości osób jest naturalną reakcją.

– Ładny tatuaż – zauważa. – Pasuje ci.

– Ma swój cel. – Sięgam po chusteczkę, żeby zetrzeć krew Abla z buta.

– Naprawdę się na to zdecydowałeś. – Jego ton zdaje się neutralny, ale przyjaciel nie potrafi ukryć rezerwy w oczach.

Angelo zna moje plany co do rodziny Moreno. Kiedy dochodziłem do siebie, spędziliśmy wiele godzin, omawiając szczegóły szyfrem przez telefon. Podejrzewam, że się o mnie martwi, tyle że powinien mnie znać.

– Owszem – odpowiadam.

– A co, jeśli plan nie wypali? – Spogląda mi w oczy.

Wyrzucam chusteczkę i wycieram rękę.

– Co masz na myśli?

– Wieczność to dość długi czas, by się mścić. Sądziłem, że będziesz chciał to jak najszybciej zakończyć.

Przyglądam się mu.

– Wieczność potrwa tyle, ile będzie trzeba, by dała mi synów.

Angelo podnosi obrączkę Ivy i jej się przygląda. – Więc będziesz ją pieprzył tak długo, aż da ci

następców. Patrzył, jak nosi ich w sobie. Zajmuje się nimi, jak tylko potrafi matka. A później dręczył ją latami albo odbierzesz jej życie?

Jego głos jest niepewny, co mnie denerwuje.

– Wątpisz w moje zamiary?

– Nie w zamiary. – Odkłada obrączkę i zamyka pudełko. – Raczej w wynik końcowy.

– Nie pokładasz we mnie zbyt wielkiej wiary – mamroczę.

– Właściwie to ci zazdroścę.

Pustka w jego głosie mnie zaskakuje, ale wypowiedziane słowa sprawiają, że się krzywię.

– Czego mi zazdrościsz?

– Wszystko zawsze było dla ciebie jasne. Nie spotkałem nikogo innego, kto rozważałby każdą decyzję i egzekwował ją bez wahania czy żalu. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest żyć bez brzemienia niezdecydowania czy przytłaczających uczuć. Mrugam, marszcząc brwi. Opisuje mnie jako robota, choć nie powinienem się temu dziwić. Większość ludzi tak właśnie myśli. Członkowie IVI nazywają mnie ludzkim komputerem. Mój talent to obliczenia, a także projekcje i równania złożone. Potrafię je łatwo rozwiązać na papierze. Ludzki umysł i emocje nie leżą za to w kręgu zagadnień, które rozumiem. Jest zbyt wiele zmiennych, trudno o dobrą, szybką odpowiedź.

To nie tak, że jestem pozbawiony uczuć. Po prostu nauczyłem się, by ich nie odczuwać ani nie okazywać.

Angelo parska cichym śmiechem, jakby coś do niego dotarło.

– Pamiętasz, jak siostra Małgorzata oskarżała cię o bycie socjopatą?

– Tak, cóż... – Wzruszam ramionami. – Może miała rację.

Przyjaciół opiera się o stół i schyla głowę.

– To byłoby najprostsze wytłumaczenie, lecz wiem, że to nieprawda. Obawiam się, że nie do końca rozumiesz, w co się pakujesz.

– Będziesz kwestionował własne decyzje, gdy nadejdzie czas zemsty? – Piorunuję go wzrokiem.

– Nie. – Prostuje się i wkłada ręce do kieszeni.

Uznaję, że wyczerpaliśmy temat. Angelo jest innego zdania.

– Wiem, że pieprzyłeś kobiety, Santiago, ale życie z jedną to zupełnie inna sprawa. Obcowanie z nią na co dzień będzie nieuniknione. Więc, proszę cię, przyjmij moją radę. Jeśli jesteś zdecydowany to zrobić, nigdy nie zapominaj, kim ona jest. Nie bagatelizuj siły bliskości. Nawet kiedy będzie spała w twoim łóżku, wciąż pozostanie wrogiem.

Wyglądam marynarkę dłońmi i kiwam głową na zgodę.

– Nie masz się o co martwić. Ona nigdy nie będzie spała w moim łóżku.

13 - SANTIAGO

Angelo wychodzi tuż przede mną, a jego miejsce przy moim boku zajmuje Sędzia. Podchodzimy do ołtarza. Reszta świadków siedzi w ławach przed nami. Wnętrze katedry zostało lekko oświetlone i chociaż wolałbym nie stać tu przed wszystkimi, jest mi łatwiej dlatego, że widzą jedynie zarys mojej sylwetki. Po kilku minutach organista zaczyna grać pieśń wybraną na ceremonię, a Ivy staje w wejściu z Ablem przy boku. Patrę na niego wystarczająco długo, by zauważyć, jak zaciska szczękę, gdy napotyka mój wzrok, ale szybko przenoszę spojrzenie na pannę młodą. Na jej ciało otulone czarną koronką i trzymane w dłoniach róże. Jest niczym piękna zjawą, niemal spodziewam się, że zniknie jak duch i nikt jej więcej nie zobaczy.

Abel prowadzi dziewczynę do ołtarza. Nie musi jej ciągnąć siłą, ale wyraźnie narzuca tempo, mocno dociskając rękę Ivy do swojego ciała, czym gra mi na nerwach. Jego warga jest wyraźnie spuchnięta, ciemne siniaki formują się na szyi. Mimo tego wciąż chętnie oddaje mi siostrę.

Moje serce bije w takt muzyki. Nie oddycham, dopóki Ivy nie staje przede mną. Abel puszcza ją, przez co dziewczyna chwieje się lekko. Buzuje we mnie złość na samą myśl, co może być tego przyczyną. To z nerwów czy może piła?

Kiedy łapie równowagę, podnosi głowę, by na mnie spojrzeć, a wtedy z ust wyrywa jej się przerażone westchnienie. Światło świec, które oświetla wnętrze kościoła, podkreśla też moje zdeformowane oblicze. Spojrzenie Ivy niemal natychmiast wędruje do tatuażu czaszki, róże wypadają jej z rąk i rozsypują się u naszych stóp. Wygląda na wystraszoną, lekko zawstydzoną oraz chorobliwie zafascynowaną, gdy mi się przygląda.

Żałuję, że nie pokazałem jej się aż do teraz, bo bardziej niż czegokolwiek pragnąłem, byśmy byli w tej chwili sami. Tyle razy odgrywałem tę scenę w myślach. Wyobrażałem sobie, jak Ivy zareaguje, co zobaczę na jej twarzy. Strach. Złość.

Przerażenie. Niemal widziałem, jak ode mnie ucieka. Wolałaby rzucić się pod samochód, niż przez to przechodzić.

Nigdy nie sądziłem, że będzie na mnie spoglądać tak jak teraz. Że będzie mi się przyglądać. Uzna mnie za... intrygującego.

Nie wiem, jak długo stoimy w ten sposób. Nie zdaję sobie nawet sprawy, że sięgam po jej dłoń i przyciągam ją do siebie, dopóki nie wyczuwam pod kciukiem gwałtownie bijącego pulsu. Może dlatego Ivy się nie poruszyła. Teraz natomiast opuszcza spojrzenie na długie palce obejmujące jej nadgarstek. Bada je wzrokiem, jakby były bronią. Kusi mnie, żeby ją puścić, sprawdzić, czy spróbuje uciekać, ale odkrywam, że wcale tego nie chcę.

Nie ma teraz czasu na rozważania. Ostatnie nuty melodii wybrzmiewają, więc jesteśmy zmuszeni skupić się na księdzu, który nakazuje, byśmy usiedli na specjalnych krzesłach stojących na podeście, po czym rozpoczyna tradycyjną ceremonię.

Msza zaczyna się od hymnu, następne są czytania ze Starego i Nowego Testamentu. Kapłan wygłasza kazanie o małżeństwie, ewangelię i dodaje kilka refleksji na temat życia, ale niewiele do mnie dociera.

Później stajemy z Ivy przed ołtarzem i mamy podać sobie ręce. Dziewczyna wyciąga do mnie sztywno własne, a ja splatam nasze palce, zauważając, że jej dłonie zrobiły się chłodne. W dodatku pobladła, jakby w końcu dotarła do niej rzeczywistość. Z trudem przełyka ślinę i spogląda na mnie spod rzęs, przez co zauważam jej dziwne oko. Często stara się je ukryć za włosami. Ta skaza jest powodem, dla którego Ivy była dręczona jako dziecko, upokarzano ją w latach szkolnych, co zostało z nią do dziś. Gdy stanie się moją żoną, zrozumie, że nie wyrażam zgody, by ukrywała swoją inność ani przede mną, ani przed innymi. Ksiądz od razu przechodzi do przysięgi, zgodnie z moim życzeniem pomijając formalności dotyczące dobrowolnego zawarcia związku i obietnic wzajemnej miłości. Nie umyka mi zawstydzone spojrzenie, które kapłan posyła w moim kierunku, ale postanawiam skupić się na panie młodej zamiast na jego opinii na temat tego związku.

Razem z Ivy ogłaszamy zamiary względem siebie, następnie ja powtarzam świętą przysięgę, która zawiera jedyną obietnicę,

jakiej będę mógł dotrzymać: biorę ją za żonę. Będę jej wierny na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Intensywność tej deklaracji rozpala mój głos i spojrzenie, co stresuje Ivy, która kilkakrotnie opuszcza wzrok na podłogę, następnie znów unosi go na mnie.

Powtarza tę samą przysięgę ledwie słyszalnym szeptem, oddaje mi się z rezygnacją, która zarówno mnie frustruje, jak i fascynuje.

Ksiądz ogłasza nas mężem i żoną, po czym przechodzi do wymiany obrączek. Ivy otrzymuje swoją wraz z kolejną przysięgą składaną w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Gdy wsuwam pasującą do mojej obrączkę na jej drżący palec, na którym nosi pierścionek zaręczynowy z ciemnym diamentem, odczuwam chorą satysfakcję. Uczucie to narasta, gdy dziewczyna powtarza mój ruch.

Zgodnie z kolejnym życzeniem ksiądz nie prosi, bym pocałował pannę młodą, tylko ogłasza ją moją. Pocałunek zachowamy na bardziej prywatną chwilę, kiedy obrzydzenie Ivy nie będzie widoczne dla pozostałych braci.

Łączymy się w cichej modlitwie, następnie odwracamy się do świadków, by przekazać im znak pokoju, a później przyjmujemy komunię. Po ostatnim błogosławieństwie nabożeństwo wreszcie zostaje zakończone. Wszyscy mają się rozejść, bo z gośćmi spotkamy się w posiadłości.

Kiedy sięgam po rękę Ivy i dotykam jej skóry zimnymi palcami, czuję, jak dziewczyna drży. Patrzy przed siebie, ale nie sposób nie zauważyć, jak drobna wydaje się w moim uścisku. Idziemy nawą i wychodzimy z kościoła, gdzie kierowca czeka na nas w samochodzie. Czuję, jak niepewnie Ivy stawia kolejne kroki. Gdy wsiada do auta, zauważam, że wciąż jest boso.

Siadam obok żony, a Marco zamyka za mną drzwi. Przepierzenie oddzielające nas od fotela kierowcy jest podniesione, przez co pogrążamy się w grobowej ciszy.

Ivy składa ręce na kolanach, kiedy samochód rusza. Wydaje się zdenerwowana, jak powinna, jednak jej strach nie przynosi mi satysfakcji, na którą liczyłem.

– Gdzie są buty, które ci kupiłem? – pytam.

Dziewczyna zerka na mnie spod rzęs, po raz kolejny zawieszając wzrok na wzorze wytatuowanym na mojej twarzy. Obserwuję ją bacznie, szukając prawdziwych emocji, ale dostrzegam tylko ciekawość. Wprawia mnie to w zakłopotanie ponad miarę i irytuje bardziej, niż mógłbym się spodziewać. Powinna się mną brzydzić. Gardzić mną. Nienawidzić. Taka jest naturalna kolej rzeczy. – To byłeś ty, prawda? – rzuca cichutko. – W konfesjonale. Twoja woda po goleniu...

Napinam się na jej spostrzegawczość. Nie spodziewałem się, że będzie taka... wnikliwa. Powinna wiedzieć, że lepiej nie zadawać mi takich pytań.

– Wtedy, gdy błagałaś Boga, by nie pozwolił ci poślubić potwora? – pryham.

– Nie to miałam na myśli – Nabiera powietrza i kręci głową. – Przekręcasz moje słowa.

Odwracam się do okna, gotując się z irytacji. Niespodziewanie okazało się, że Ivy jest nieposłuszna. Ledwie została moją żoną, a już zdążyła rzucić mi wyzwanie, odmawiając założenia butów, które dla niej kupiłem. Przepytyując mnie, jakby miała do tego jakieś prawo. Żaden Moreno nie będzie się nigdy równał ze Sprawiedliwym Synem. Pewnie dziewczyna myśli, że jej się poszczęściło z tym małżeństwem. W końcu to właśnie tego pragnie jej rodzina. Awansu społecznego. Pieniądzy. Władzy. Związek ze mną zapewni jej to wszystko. Jestem pewny, że w głębi serca Ivy jest taka jak matka. Może i próbowała bawić się w inne życie, ale ostatecznie zgodziła się mnie poślubić. Wyszędłbym na idiotę, gdybym uwierzył, że nie miała ku temu własnych powodów, jakiegokolwiek by one nie były, przez co nigdy nie obdarzę jej zaufaniem.

Ulżyło mi, że przypomniała o naszych rolach. Moim zadaniem jest uświadomienie jej, że takie zachowanie nie będzie tolerowane i nie zamierzam z tym czekać. Może Ivy jest gotowa się do mnie przywiązać, ale wkrótce zrozumie, że jedynym błogosławieństwem, które otrzyma w tym małżeństwie, będą kary, jakie jej wymierzę.

Podróż nie trwa długo. Marco gasi silnik, a ja stukam w przepierzenie, dając mu znak, by nas zostawił. Tak też robi. Ulicę za szybą skrywa ciemność, na samochód pada jedynie nikłe światło. Ale i tak dostrzegam dreszcz, który przeszywa moją żonę, kiedy odwracam się i sięgam do bladej twarzy. Jestem zdeterminowany, żeby pokazać Ivy, gdzie jej miejsce, ale gdy próbuje ukryć przede mną to dziwne oko, zmieniam zamiary.

– Nie rób tego – ostrzegam, widząc, że próbuje poprawić włosy. – Chcę je widzieć.

Zastyga w bezruchu, gdy nasze spojrzenia się spotykają. Po raz pierwszy uświadamiam sobie, że Angelo mógł mieć rację. Trudno zachować groźną minę, kiedy widzę piękno Ivy. Przesuwając palce w dół, w miejsce, gdzie jej puls jest najsilniejszy, nie potrafię zdecydować, czy chcę ją pocałować, czy udusić.

– Nigdy nie chowaj przede mną swoich niedoskonałości – mówię. – Od teraz mogę się nimi cieszyć.

– Ale... Nienawidzę tego oka. – Jej głos drży.

Śmieję się bez humoru.

– Może mi się podoba.

Wydaje się zaskoczona tą odpowiedzią, podobnie jak ja. Zacieśniam uchwyt, ale szybko go poluzniam. Nie potrafię zrozumieć, co ta dziewczyna ze mną robi.

– Proszę – mówi, nadal trzymając dłoń przy włosach.

– Chyba wydaje ci się, że możesz robić, co chcesz – odpowiadam zimno. – Mam ci przypomnieć podstawowe zasady Socjety?

Reguły, których przysięgłaś przestrzegać?

Wciąga gwałtownie powietrze, nieświadomie zamykając się w sobie. Wyraźnie rozumie znaczenie moich słów.

– Nie potrzebuję przypomnienia – stwierdza łagodnie.

– Mimo to je dostaniesz.

Słyszę kroki osób przechodzących obok samochodu. Ceremonia naznaczenia wkrótce się rozpocznie. Ale muszę dotrzymać obietnicy, więc goście będą musieli poczekać.

Otwieram drzwi, gestem wskazując Ivy, żeby wysiadła. Wychodzi z samochodu i piszczy cicho, gdy przerzucam ją sobie przez ramię. Jej białe stopy wystają spomiędzy warstw materiału. Zauważam kilka ciekawskich spojrzeń skierowanych w naszą stronę, kiedy wchodzę do rezydencji i nie ruszam do czekającego na nas stołu z krzesłami. Moje kroki są pewne i szybkie, odbijają się echem w korytarzu prowadzącym do małej, prywatnej kaplicy przeznaczonej wyłącznie dla członków Socjety.

Drzwi zamykają się z trzaskiem, kiedy wchodzę do środka i zmierzam wprost do ołtarza, gdzie stawiam moją nieposłuszną żonę na nogach. Ciepłe czerwone światło przesącza się przez witraż, oświetlając jej twarz, gdy ośmiela się spojrzeć mi w oczy. Frustracja budzi we mnie mroczne pragnienia, przez co krew odpływa w kierunku fiuta, który twardnieje aż do bólu.

Myśl o ukaraniu Ivy nie daje mi spokoju, odkąd postanowiłem ją poślubić. Cierpliwość jest jedyną cnotą, którą rozwinąłem w sobie po wybuchu. Świadomość, że któregoś dnia każdy członek rodziny Moreno będzie cierpiał tak jak ja. Trudno mi więc przyznać, że w tej chwili bardziej niż czegokolwiek pragnę poczuć tę kobietę.

Jeden raz nie wystarczy, by dzisiejszej nocy zaspokoić swoje potrzeby. Zapach Ivy mnie odurza. Ciepło jej ciała kusi w nieprawdopodobnie dziwny sposób. Potrzebuję... czegoś od niej, ale nie wiem nawet czego.

Intensywność jej spojrzenia jest pogwałceniem wszelkich zasad, więc odwracam dziewczynę w swoich ramionach, aż sapie z zaskoczenia. Obejmuję ją w talii i popycham na drewniany ołtarz, a drugą rękę układam na delikatnej koronce osłaniającej plecy. Welon zakrywa wszystko, co pragnę widzieć, więc zrywam go z głowy Ivy i rzucam na posadzkę. Dziewczyna zastyga w bezruchu, gdy sunę palcami po czarnych satynowych guziczkach, podziwiając krzywiznę jej kręgosłupa oraz seksowne, opięte elegancką suknią ciało.

– Powinnaś wiedzieć, że jeśli ci coś daję, oczekuję, iż to włożysz – mówię ostro.

– Nie mogłam – szepcze.

Zabieram dłoń z jej pleców i chwytam materiał spływający na drewnianą podłogę. Podciągam go, odsłaniając nagie uda, przez co Ivy spina się pode mną.

– Co robisz? – Zerka przez ramię, ośmielając się spojrzeć mi w twarz.

– Karzę cię.

W chwili, w której te słowa opuszczają moje usta, dziewczyna próbuje się wyrwać, ale dociskam ją do ołtarza ręką ułożoną między łopatkami. Twarz Ivy znajduje się kilka centymetrów od zapalonych świec, pierś unosi się w gwałtownych oddechach, kiedy moja żona rozgląda się za jakimś wybawcą. Nikogo takiego nie znajdzie.

Podciągam materiał sukni aż do talii, odsłaniając idealnie zaokrąglone biodra i tyłek osłonięty strzępką czarnej koronki. Śledzę wzrokiem dziewicze części ciała, tłumiąc ból narastający mi w gardle. Zmuszam się, by przypomnieć sobie, dlaczego tu jesteśmy.

Sięgam po świecę, a oddech Ivy przyspiesza, gdy próbuje odsunąć głowę.

– Santiago.

Błaganie w jej głosie dociera do mnie z zaskakującą skutecznością. Zamieram z palcami zaciśniętymi na szklanym świeczniku. Mrugam, zszokowany własną reakcją, ale szybko się otrząsam, po czym przesuwam przedmiotem po drewnie, delektując się sposobem, w jakim ciało Ivy drży pod moją dłonią. Usatysfakcjonowany, że zbudowałem wystarczające napięcie, wsuwam palce pod delikatny materiał jej majteczek i rozrywam je. Powtarzam ruch po drugiej stronie, aż bielizna opada na podłogę, obnażając dziewczynę.

Zaciskam rękę na zgrabnym tyłku. Mógłbym posiąść ją już teraz, tyle że by mi to nie wystarczyło. Potrzebuję czasu, żeby zrobić z nią wszystko, czego pragnę.

Przesuwam dłoń między uda Ivy i zmuszam, by je rozchyliła. W końcu mam doskonały widok na różową, lśniąca w świetle świec cipkę. Niepodważalna oznaka jej podniecenia sprawia, że oddycham przez usta. Wiem, że reakcja ta musi być wynikiem strachu, ale pragnę dotknąć dziewczyny, poczuć to na własnej

skórze, i niemal poddaję się temu pragnieniu. Lecz najpierw muszę dotrzymać obietnicy.

Sunę świecznikiem w dół jej kręgosłupa, aż do lędźwi. Ciepło, które czuje na skórze, sprawia, że wygina się w łuk, nabiera z sykiem powietrza i zaczyna żarliwie błagać.

– Nie musisz tego robić, Santiago.

– Owszem, muszę.

Przytrzymuję ją w miejscu jedną ręką, a drugą przechylam świecznik. Pierwsza kropla wosku spada na tyłek, na co dziewczyna syczy. Patrzę z fascynacją, jak wosk spływa w dół uda, szybko zastygając. Żona próbuje się wyrwać, ale dociskam ją mocniej, ponownie przenosząc świecę nad jej skórę. Kolejna strużka wosku spływa po ciele, sprawiając, że pragnę powtarzać to całą noc.

Oddech Ivy stopniowo się wyrównuje, gdy wylewam następną kroplę. Dziewczyna przestaje ze mną walczyć w chwili, kiedy przesuwam wolną dłoń po jej plecach aż do szyi. Głaszczę ją ciepłymi palcami, zdobiąc dolną część jej ciała niczym płótno. Tyłek Ivy rumieni się, gdy powtarzam cały proces po raz kolejny i znowu, tworząc długie, wijące się aż po łydki ścieżki.

Dziewczyna jest posłuszna i nieruchoma, mocno wbija palce w drewno, a ja odstawiam świecznik, podziwiając swoje dzieło. Zdaję sobie sprawę, że musi ją piec, ale nie uroniła z tego powodu ani jednej łzy.

W końcu przesuwam ręką po jej pośladkach, strzepując zaschnięty wosk. Odslaniam znów w pełni jej cipkę, do której zaczyna docierać chłodne powietrze. Ivy wierci się wtedy w moim uścisku, nadal podniecona, zwłaszcza że przesuwam palcami po zebranej między jej nogami wilgoci.

– To musi być dziwne uczucie lubić taką karę – mamrocę.

Muskam opuszkami jej mokrą cipkę i drażnię łechtaczkę. Po kilku takich ruchach Ivy zaczyna się odprężać, jej ciało wiotczeje, powieki się zamykają. Nie wrywa się już, a przysuwa do moich dłoni. Dociskam do niej ciało, pieszcząc ją mocniej. Palce drugiej dłoni wplatam we włosy, aż zaciskam je w pięść i odciągam głowę dziewczyny do tyłu. Przysuwam usta

do smukłej szyi, wdychając zapach. Ivy przeszywa dreszcz, gdy przeciągam zębami wzdłuż jej ramienia, po czym wbijam je w skórę, naznaczając ją. Dziewczyna jęczy, bo dodatkowo dociskam twardego fiuta do miękkiej skóry tyłka i wsuwam palec w ciasne wnętrze.

– Nigdy nie zapominaj, do kogo to należy – warczę jej do ucha. Ivy piszczy, kiedy drażnię ją leniwie. To musi być dla niej udręka, którą i ja czuję. – Powiedz, do kogo.

Zacieśniam uchwyt na jej włosach, ignorując obcą szorstkość słyszalną w moim głosie.

– Do Santiaga – dyszy Ivy. – Santiaga De La Rosy.

Jęczę w jej słodką skórę, poruszając bezlitośnie palcami, którymi niemal posyłam ją na krawędź. Nie trzeba jej wiele. Już przygryza wargę, próbując powstrzymać kolejne dźwięki, które chcą wyrwać się z gardła. Jest tak bliska orgazmu, że może go prawie poczuć. Każdy mięsień w jej ciele tężeje. Jeszcze kilka ruchów i poczuje spełnienie.

Dlatego zatrzymuję się i odsuwam tuż przed tym, jak ma dojść, pozostawiając ją obolałą i opuchniętą. Udręka to jedyny prezent, na jaki Ivy zasługuje.

Dziewczyna otwiera oczy i zerka na mnie przez ramię. Wygląda przy tym na dezorientowaną, a jednocześnie sfrustrowaną własną reakcją. Skłamałbym, mówiąc, że sam nie czuję czegoś podobnego.

Zakrywam jej biodra materiałem sukni. Ivy podnosi się powoli, a ja przyciągam ją do siebie. Obejmuję palcami jej podbródek, nasze usta dzielą zaledwie centymetry.

– Zamknij oczy.

Spełnia polecenie, a ja przechylam głowę i łączę nasze wargi. Wbrew moim przypuszczeniom Ivy nie odsuwa się, gdy czuje moje usta na swoich. Pocałunek trwa zaledwie sekundę, ale wystarczy, by dowiedziała się, jakie to uczucie, zanim nauczy się mnie szczerze nienawidzić.

Unosi powieki i patrzy intensywnie na moją twarz, co wcale mi się nie podoba.

– A teraz podziękuj za to, że byłem taki łagodny – nakazuję.

– Dziękuję – odpowiada zgorzkniale.

Udręka w jej oczach wytrąca mnie z równowagi. Nie wiem dlaczego, ale gładzę jej policzek, okazując delikatność, na którą nie zasługuje. Przynajmniej na razie.

– Przygotuj się – dodaję. – Nadeszła pora, byś przyjęła znak mojego rodu.

14 - IVY

– Nadeszła pora, byś przyjęła znak mojego rodu. Stoję na zniszczonym welonie, gdy Santiago łapie mnie za ramię i prowadzi do wyjścia. Wpatruję się w jego plecy, potykając się, gdy podążam za nim. Wciąż czuję woń wody po goleniu o zapachu drewna i skóry. Zawsze będę ją z nim kojarzyć. Do końca życia będzie mi się przez nią kurczył żołądek.

Był tam. Siedział w konfesjonale jak spowiednik. Jeśli nie nienawidził mnie wcześniej, to z pewnością zaczął, słysząc moją modlitwę.

„Nie pozwól, by okazał się potworem”.

Nie chodziło mi o wygląd zewnętrzny, ale jak mam mu to wytłumaczyć?

Santiago spogląda przez ramię, a mnie przeszywa dreszcz. Może mimo wszystko jestem hipokrytką. Odwrócił się, pokazując stronę twarzy z uwiecznioną na niej czaszką. Na widok tatuażu tracę dech i nie mogę oderwać wzroku. Rysunek jest jednocześnie groteskowy i urzekający.

Przyglądając się uważniej, dostrzegam ukryte pod nim blizny. Chciałabym obejrzeć je z bliska, ale męczyzna mi na to nie pozwala. Ma też takie ślady na drugiej połowie twarzy, tej pięknej, lecz nie są tak straszne jak te, które widzę pod tuszem.

Czy zrobił tatuaż, żeby je zakryć? Dlaczego czaszka? Przez nią sprawia wrażenie, jakby był już martwy.

A może zrobił to ze wstydu?

Docieramy do drzwi. Santiago uśmiecha się, sięgając do klamki, i już wiem, że wstyd nie był powodem. To prowokacja. Wyzwanie.

„Spójrz na mnie, jeśli jesteś w stanie to znieść”.

Tatuaż to wielki środkowy palec skierowany do osoby, która ośmieli się na niego popatrzeć.

Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że chociaż wiem, iż powinien przerażać innych, w tym mnie, nie czuję strachu. Przynajmniej nie tylko strach. Mam świadomość, że gdybym po przebudzeniu w środku nocy zobaczyła wytatuowaną część

jego twarzy, tak by się stało. Byłabym przerażona. Lecz widzę coś więcej w jego oczach, gdy gotuje się ze złości. I nienawiści.

Dostrzegam ból.

– Pospiesz się – nakazuje, otwierając drzwi.

Znów zastanawiam się, dlaczego się ze mną ożenił. Dlaczego zostałam wybrana, skoro wyraźnie mnie nienawidzi. Z jakiego powodu postanowił związać się z osobą, której nie cierpi?

A może uznał, że nikt inny nie zechce go z powodu tych deformacji? Jest Sprawiedliwym Synem. Bez względu na wygląd, każdy ojciec oddałby mu córkę, gdyby tego zażądał.

Zażądał.

Właśnie to zrobił w moim przypadku. Zażądał mnie. I oto jestem. Poślubiona bestii.

Wchodzimy do ciemnego korytarza. Potykam się kolejny raz, próbując nadażyć za Santiagiem. Powietrze ochładza się, gdy wychodzimy na dziedziniec.

Siedziba Socjety w Nowym Orleanie mieści się w dzielnicy francuskiej. Główny budynek stanowi ogromna zabytkowa trzypiętrowa rezydencja z rozległym dziedzińcem, na którym stoi fontanna. Na przestrzeni lat posiadłość rozbudowywano, ale w przeszłości to właśnie fontanna musiała stanowić centralny punkt tego miejsca. Woda tryska z niej cicho, jednak dźwięk zagłusza melodia grająca w rozmieszczonych na terenie całej siedziby głośnikach. Muzyka jest mroczna, gotycka, nowoczesna. Rozpoznaję ją, ale nie mogę sobie przypomnieć wykonawcy. Jestem zbyt rozproszona.

Słyszę też głosy. Pomruk męskich rozmów. Stukot szklanek. W powietrzu unosi się zapach whisky oraz roztopionego wosku, który czułam również w kościele. Dzieje się tak dlatego, że miejsce oświetlone jest tysiącami świec. Jedyne elektryczne światło pada z antycznych latarni, które, ustawione wśród drzew i krzeseł, rzucają stłumiony ciepły poblask na okolicę. Mam świadomość, co zaraz nastąpi, choć cała ceremonia została owiana tajemnicą. Tylko rodziny założycielskie, a raczej ich męscy członkowie, są na nią zaproszeni, lecz w szkole od zawsze krążyły na ten temat plotki. Dziewczyny zarzekały się, że widziały znaki na ciałach swoich matek lub świeżo

poślubionych kobiet. Opowieści były wręcz groteskowe, uważałam je za przerysowane. Teraz, kiedy wyczuwam zapach palącego się drewna, wszystkie te historie wracają do mnie falą, przez co instynktownie się cofam.

Nie zrobiłby mi tego, prawda?

Santiago odwraca się, wyraźnie wkurzony. Stawiam kolejny krok w tył, rozważając próbę ucieczki, ale mężczyzna mnie zatrzymuje.

– Co się tu stanie? – Mój głos jest cichym szeptem. Boję się i nie potrafię tego ukryć.

Mąż podchodzi bliżej. Może po to, by lepiej mi się przyjrzeć w stłumionym świetle. Odsuwa mi włosy z twarzy, by znacząco spojrzeć w moje dziwne oko. Chyba jednak mamy ze sobą coś wspólnego. Ani ja go nie odrzucam, ani on mnie.

Zwilżam językiem wargi, wspominając pocałunek. Jego usta na moich. Jego smak. Koronka zaczyna drażnić twardniejące sutki, bo do sukienki nie dołączono stanika. Przy każdym ruchu czuję na skórze pozostałości po zastygłym na niej wosku. Oddycham głęboko, przypominając sobie wymierzoną mi karę.

I to podniecenie.

Przełykam ślinę, gęsia skórka pokrywa każdy centymetr ciała. Santiago zatrzymuje się przede mną, czubki jego butów dotykają moich palców. Muszę unieść głowę, by spojrzeć mu w oczy. Zastanawiam się, czy inni też to robią, a może raczej odwracają wzrok? Do czego przywykł?

– Stanie się to, że zrobisz, co każę – oświadcza.

– Będzie bolało? – pytam głupio.

Właśnie tego się obawiam. Nie faktu, że mnie naznaczy, to będę przeżywać później, ale jakiej metody użyje podczas całego procesu.

Przechyla głowę, nieznacznie unosząc kącik ust.

– Boisz się odrobiny bólu?

Znów wpatruję się w ukryte pod tuszem blizny i zastanawiam się, jak bardzo bolały.

– Więc? – nalega.

– Po prostu mi powiedz.

Uśmiecha się, przesuwając spojrzeniem po mojej twarzy, zatrzymując je na ustach, po czym wraca do oczu.

– Odpowiedź masz wypisaną na twarzy. Tak łatwo cię rozszyfrować. – Kręci głową, jakby rozczarowany, a chwilę później jego uśmiech znika. – Właściwie to lubię, gdy się boisz. Do twarzy ci ze strachem. – Kciukiem gładzi mój policzek. Oboje patrzymy na zebrany na nim czarny ślad. Tusz do rzęs. Pewnie wyglądam okropnie. – Lubię też twoje łyzy, wycisnę ich z ciebie więcej.

Kładzie dłoń na moim karku. Ciasny kok, w który Mercedes upięła mi włosy, zaczyna powodować ból głowy.

Sapię, kiedy Santiago przyciąga mnie do siebie, mocno zaciskając palce na skórze, jakby testował moją wytrzymałość. Znaczą kobiety. Przynajmniej tak głośno opowiadały w szkole. Wyobrażam sobie tatuaż z kodem kreskowym, który mężczyźni członkowie stowarzyszenia mogą skanować, żeby sprawdzić, kogo mogą dotknąć, a kogo nie.

Nienawidzę Socjety za całokształt, począwszy od tego, co zrobili mojej rodzinie, na wymaganiach względem kobiet kończąc. Na tym, czego wymagają ode mnie.

– Jesteś moja. Dziś przyjmiesz mój znak, aby wszyscy to wiedzieli – mówi Santiago.

Puszcza nagle mój kark, odwraca się i ciągnie mnie za rękę. Uderzam dużym palcem u nogi o kamień, potykam się i słyszę kobiece westchnienie. Kiedy spoglądam w kierunku, z którego dobiegł dźwięk, zauważam jakiś ruch, dociera do mnie szelest liści, a za rzeźbą przedstawiającą połowę ludzkiej twarzy dostrzegam kobietę. Jest młoda, chyba w moim wieku. Widzę ją tylko przez chwilę, ale gdy napotykam spojrzenie szeroko otwartych oczu, nieznajoma szybko przykłada palec do ust, ostrzegając, bym jej nie wydała.

Nie powinno jej tu być. Kobiety, jeśli znajdują się na terenie posiadłości, powinny pozostać w środku. Boi się, że komuś o niej powiem?

Santiago zatrzymuje się i zerka w tym samym kierunku. On również ją słyszał.

Już mam zamiar odejść od rzeźby, by odwrócić jego uwagę, gdy przyciąga mnie do siebie, aż wpadam na jego tors. Odbijam się od niego, przez co znów skupia się na mojej twarzy.

– Zawsze jesteś taka niezdarna?

– Ja...

– Przybyli państwo młodzi! – woła ktoś z dziedzińca. – Kazałeś na siebie długo czekać, Santiago.

Mężczyźni się śmieją, a ja obserwuję, jak mina mojego męża się zmienia, jakby się zaniepokoił. Zaciska jednak zęby, przymyka powieki i bierze powolny, głęboki wdech. Gdybym nie wiedziała lepiej, uznałabym, że się na coś przygotowuje. Ale wiem. Na co miałby się szykować facet jego pokroju? Jest tu królem.

Kiedy ponownie otwiera oczy, zioną pustką. Jakby nałożył kolejną maskę.

Stawiamy kilka kroków i wychodzimy na dziedziniec.

Sapię z zaskoczenia, gdy zauważam całe zgromadzenie. Pamiętam noc, kiedy Santiago po raz pierwszy zakradł się do mojej sypialni, by dać mi pierścionek. Przeraza mnie to, co widzę przed sobą. Wszyscy mężczyźni ubrani są w czarne szaty, mają założone kaptury, pod którymi błyszczą biało-czarne maski.

– Nie chcę – mówię głupio, brzmiąc jak dziecko.

Santiago parska śmiechem.

– Myślisz, że masz wybór?

Odwracam się do niego.

– Poza tym to nie nimi powinnaś się przejmować – dodaje.

Z trudem przełykam ślinę, a mój mąż spogląda na zebranych. Zaczynam rozumieć, skąd te wszystkie świece. Ludzie są ciekawi. Zastanawiam się, czy którykolwiek z nich widział Santiaga w całej okazałości. W końcu jest niezwykle ostrożny. Mam przecucie, że jego twarz poznali wyłącznie ci, którym na to pozwolił.

– Potrzebowałam chwili sam na sam z żoną – rzuca od niechcienia, na co odpowiadają mu, kiwając głowami i uśmiechając się pod nosem.

Santiago popycha mnie przed sobą, więc członkowie Socjety przenoszą uwagę na moją osobę. Próbuję się wycofać, ale wpadam na męża.

– Dokąd się wybierasz, słodka Ivy? Jeszcze nie zaczęliśmy – szepcze, obejmując mnie od tyłu.

Ujmuje mój podbródek i unosi go wysoko, zmuszając, żebym spojrzała na zgromadzenie. Mężczyzn jest ponad tuzin. Żadnych kobiet. Jak w kościele. Przynajmniej nie ma tu Abła, nie stanie się świadkiem kolejnego upokorzenia. A może jest wśród nich?

Nie, tylko najwyżsi rangą członkowie noszą te szaty. Nie pozwoliliby na to Ablowi, nawet jeśli zrobili wyjątek dla ojca. Santiago trzyma mnie, kiedy przemierzamy dziedziniec. Deszcz przestał padać, ale niebo jest zachmurzone. Kamienie są zimne i twarde pod bosymi stopami, do których przyklejają mi się ostatnie opadłe z drzew liście.

Znalazłam się w tym miejscu tylko raz. Ojciec zabrał mnie jako dziecko, gdy załatwiał jakieś interesy, ponieważ moja opiekunka zadzwoniła w ostatniej chwili z informacją, że nie może przyjść. Pamiętam, jaka byłam oczarowana. Teraz też jestem.

Dwie klatki schodowe prowadzą na wyższe piętra, na których wszystkie szklane drzwi i okna zasłonięto przed wzrokiem ciekawskich oczu. Pnąca się po murach zielona roślinność zwisa z balustrad, rozwijając się bujnie w wilgotnym klimacie Luizjany. Nawet powietrze w tym miejscu mówi o bogactwie. O władzy.

Mężczyźni milkną, gdy Santiago prowadzi mnie powoli. Już nie ciągnie. Ale nie idziemy w ich stronę – kierujemy się do bogato rzeźbionej drewnianej konstrukcji okrytej baldachimem, która wygląda, jakby przetrwała kilka wieków. Ozdobiono ją czerwonymi różami wplecionymi w pnący się ciemnozielony bluszcz. Podłogę również obsypano kwiatami. Jest ich tak dużo, że niemal czuję ich zapach.

Członkowie Socjety poważnieją, zajmują miejsca na krzesłach ustawionych przed tą prowizoryczną sceną, a ja dostrzegam, że obok drewnianej konstrukcji stoi stolik na złotych nóżkach.

Widzę też pasujące do niego krzesło, duże i złote. Wzór na tapicerce jest jednak zbyt wytarty, by udało się go odczytać.

Gdy zbliżamy się do tego miejsca, skupiam się na leżącym na stole sprzęcie. Niektórych jego części nie potrafię nazwać, ale pozostałe, takie jak skórzane pasy, sprawiają, że kurczy mi się żołądek. Potykam się, uderzając palcem o wystający kamień, a mój wzrok ląduje na rozsianych po całym dziedzińcu paleniskach, a następnie na tym znajdującym się najbliżej nas, w który wetknięty jest żelazny pręt.

Jestem przerażona.

Nie cofam się świadomie. Nie zdaję sobie sprawy, że to robię, dopóki Santiago nie łapie mnie obiema dłońmi za ramiona i odwraca do siebie.

– Żono – mówi, na co przenoszę spojrzenie z żelaza na niego.

– Nie możesz...

Pochyliła się do mnie i ociera policzkiem o mój, wywołując dreszcz.

– Mogę – szepcze mi do ucha.

Trwamy tak przez chwilę, po czym Santiago przesuwając językiem po mojej skórze, sprawiając, że drzę. Później mnie odsuwa, niemal podnosi i stawia pod baldachimem. Miażdży butami róże, których zapach w połączeniu z trzaskającym w oddali ogniem zaczyna przytłaczać wszystkie moje zmysły.

W kolejnej chwili obraca mnie przodem do mężczyzny i zatrzymuje się przede mną, po czym trzymając dłonie na moich ramionach, wydaje krótkie polecenie:

– Uklęknij.

Z trudem przełykam ślinę i spoglądam na niego. Za mężem dostrzegam twarze obserwujących nas ludzi. Są ciekawi, czy posłucham, czy się poddam. Ja zastanawiam się, co się stanie, jeśli tego nie zrobię.

– Proszę, nie... – zaczynam, ale słowa więzną mi w gardle.

„Proszę, nie rób mi krzywdy”. To bez sensu. Podoba mu się ranienie mnie. Czyż nie tego się dziś dowiedziałam?

Santiago zaciska palce na moich ramionach, aż spełniam polecenie. Koronka drapie gołe kolana, chroniąc je przed zimnymi kamieniami. Klęczę, wpatrując się w Santiaga. Mojego

męża. Czuję, jak pierwsza łza spływa mi po policzku. Tego chce? Nawet mnie jeszcze nie dotknął, a już przez niego płaczę.

Choć właśnie tego pragnął, nie pokazuje po sobie żadnego zadowolenia. Wyraz jego twarzy jest nieprzenikniony, gdy przechodzi za moje plecy i tam się zatrzymuje.

Nie ruszam się. Koncentruję się na tym, by nie patrzeć na ogień. Na stojący w płomieniach żelazny pręt. Moje serce bije szaleńczo, oblewa mnie zimny pot, a obraz przed oczami się rozmazuje. Nie jestem pewna, czy zniosę taki ból. Nie wiem, czy sobie poradzę.

Santiago wykręca mi ręce za plecami, czuję zimne skórzane kajdany zaciskające się najpierw na prawym, następnie na lewym nadgarstku. Jestem skuta.

I wciąż się nie ruszam.

Potem mąż robi to samo na wysokości ramion. To powoduje, że klęczę wyprostowana i wypinam pierś przed gapiącymi się mężczyznami. Przełykam ponownie z trudem ślinę, kiedy Santiago zacieśnia więzy, unieruchamiając mnie. „Wciąż mogę uciec”, myślę. Będę bardziej niezdarna niż zazwyczaj, ale ucieknę. Tyle że wiem, iż nie dotrę daleko.

Później Santiago owija mi coś zimnego dookoła szyi, przez co sapię z zaskoczenia. Chcę do tego sięgnąć, jednak nie mogę. Cokolwiek to jest, wydaje się cienkie i zapina się z cichym kliknięciem.

Czuję, gdzie stoi mój mąż, i słyszę, jak obchodzi mnie dookoła. Podnoszę na niego wzrok. Na obie części jego twarzy.

Obserwuje mnie przez dłuższą chwilę. Dopiero gdy opuszczam wzrok, kuca przede mną i chwyta w dłonie moje policzki. Jego dotyk jest delikatny. Santiago mi się przygląda. Na pewno zauważa kilka łez, które mi się wymknęły.

Chcę prosić, żeby mnie nie krzywdził. Pragnę błagać, by nie oznaczał. Lecz nie potrafię sformułować słów. Nie mogę wydać z siebie dźwięku.

Santiago wypuszcza coś z dłoni. Rzecz upada z łoskotem na kamień, więc na nią spoglądam. To długi, cienki łańcuch. Później mężczyzna podnosi mi głowę jeszcze wyżej i przypina ten łańcuch do obroży, którą przed chwilą umieścił na mojej

szy, po czym drugi koniec przekłada przez umocowaną w kamieniu obręcz. Wcześniej jej nie zauważyłam.

Znów przenoszę spojrzenie na ogień, tłumiąc przy tym wyrywające się z gardła łkanie.

Mąż ciągnie za łańcuch, zmuszając, bym pochyliła głowę. Wytrzymuję jego wzrok, gdy się do mnie pochyla i przyciska policzek do mojego. Szorstki zarost drażni mi skórę.

– Rusz się, a użyję żelaznego pręta, rozumiesz?

Drżę, cała się wręcz trzęsę. Dobrze, że jestem unieruchomiona, bo na pewno bym upadła.

– Rozumiesz mnie, Ivy?

Potakuję gwałtownie. Łzy płyną strumieniami po moich policzkach. Czuję lekką ulgę, ale kątem oka wciąż obserwuję żelazny pręt.

Santiago kiwa głową, po czym jeszcze bardziej skraca łańcuch, aż pochylam się na tyle głęboko, że jest zadowolony, i go zapina.

Jedna łza skapuje z mojego policzka na kamienną podłogę. Za nią kolejna.

Mężczyzna wstaje, a przestrzeń, którą przed chwilą zajmował, wydaje się pusta i zimna. Gdy przechodzi za mnie, uświadamiam sobie, że chcę tej bliskości. Chcę ciepła jego ciała, nawet jeśli to on będzie oprawcą. Ale za nim siedzi więcej żądnych krwi szakali.

Próbuję ruszyć rękami i głową, lecz nie mogę, nawet o centymetr, chyba że chcę oprzeć czoło o brudną podłogę. Unieruchomił mnie. Cokolwiek zechce ze mną zrobić, poddam się temu. Zadbaj o to.

Krzesło za mną skrzypi. Santiago stawia stopy po obu stronach moich bioder. Widzę jedynie czubki jego butów.

Sapię, czując, jak opuszkami palców gładzi mój kark. Więc plotki były prawdziwe. Teraz rozumiem, dlaczego jego siostra tak ciasno upięła mi włosy. Wiedziała? Czy sama podda się czemuś takiemu w przyszłości? A może już to zrobiła?

Wszystkie myśli znikają, gdy Santiago zaczyna mnie głaskać. Jest delikatny, jakby chciał zaznajomić się ze swoim płótnem. Nagle gwałtownie ściska naderwany rąbek sukienki i rozrywa

ją mocniej, sprawiając, że piszczę z zaskoczenia. Mężczyźni stanowiący naszą widownię wydają głośny pomruk aprobaty, kiedy Santiago obnaża moje plecy, a suknia zsuwa się na piersi, odsłaniając jeden sutek. Jestem mocno skulona, więc nie sędzę, że to widzą.

Zastanawiam się, jak musimy wyglądać. Będący w połowie potworem mąż i błagająca go, klęcząca przed nim żona w rozdartej sukni.

Rozmyślam również o tym, czy jest podniecony.

Zamykam oczy, czując coś zimnego i mokrego na karku. Wyczuwam zapach alkoholu. Santiago dezynfekuje skórę. To naprawdę się wydarzy. Zostanę oznaczona jak bydło.

Krzesło skrzypi, gdy przesuwa je do przodu po kamiennej posadzce i przyciska kolanami moje ramiona. Unieruchamia mnie jeszcze skuteczniej, nim słyszę brzęczenie maszynki i czuję pierwsze ukłucie igły.

Zrobi mi tatuaż.

Boli, aż się wzdrygam.

Nie wzrusza go to.

Mija jakieś pięć minut, nim mężczyźni tracą zainteresowanie. Niektórzy wstają, inni rozmawiają. Tylko kilku nadal patrzy. Zaciskam dłonie w pięści na plecach, gdy ból się wzmacnia. „Naznaczenie gorącym żelazem bolałoby o wiele bardziej”, tłumaczę sobie. Mogę to znieść.

Wiem, że wytatuuje mi symbol Socjety. Jestem jej własnością w takim samym stopniu jak jego. Obok wyrysuje swój znak. Uświadamiam sobie, że nie wiem, jak on wygląda. Nie żeby miało to jakieś znaczenie.

Skupiam się na brzęczeniu maszynki, czuję ciepło nóg Santiago, którymi ściska mi ramiona. Wie, że mnie w ten sposób pociesza? Na pewno robi to tylko po to, by utrzymać mnie w określonej pozycji.

Nie wiem, ile to trwa. Brzęczenie sprawia, że czuję się senna, ale ukłucia igły utrzymują w stanie świadomości. Przez cały ten czas Santiago pracuje w ciszy nad plecami. Czuję jego mocne uda zaciśnięte na moich bokach, ciepły oddech na karku, gdy

pochyla się nad swoim dziełem. Myślę o kaplicy, o tym, co się tam wydarzyło. Jak bezlitosny był wobec mnie.

Rozmyślałam o jego dłoniach błędzących po moim ciele, palcach poruszających się we mnie. O ustach na szyi. O zębach.

Żołądek mi się skręca.

Dziś mnie posiadzie. Nastąpi konsumpcja naszego małżeństwa. Po części jestem ciekawa. Chcę tego. Chociaż wiem, że będzie ostry, gdy znajdę się w jego łóżku.

Brzęczenie nagle cichnie. Boli mnie kark. Mija chwila, nim uświadamiam sobie, że skończył. Niemal wpadam w panikę na tę myśl.

Najpierw rozwiązuje więzy na nadgarstkach. Nie przedłuża tego, uwalniając także ramiona. Opieram dłonie na podłodze, głowę wciąż mam opuszczoną. Łańcuch na szyi nadal wymusza pochylenie. Spoglądam na pierścionki na palcach. Czarny i biały diament. Dziwne, lecz piękne. Kolejny symbol tego, że jestem własnością Santiaga.

– Skończone – ogłasza głębokim, niskim głosem, zwracając uwagę wszystkich zebranych.

Oddycham głęboko. Nie naznaczy mnie rozżarzoną żelazem. Uznaję się za szczęściarę, choć wiem, że nasza wspólna droga dopiero się rozpoczęła.

Kilku mężczyzn podchodzi obejrzeć jego dzieło, komplementują go. Nikt mnie nie dotyka, ale Santiago pozostaje blisko. Mam przeczucie, że żaden z nich nie ośmieliłby się narazić na jego gniew.

Wzdycham, czując dotyk męża. Moje mięśnie się napinają.

– Nie ruszaj się – nakazuje.

Zamieram. Nie spodziewałam się tego dotyku. Przynajmniej nie takiego lekkiego. Nagle uświadamiam sobie, co robi. Nakłada maść.

Przymykam powieki i uspokajam oddech, odprężając się odrobinę. Santiago jest ostrożny. Delikatny. Kiedy kończy, czuję, jak zakrywa czymś tatuaż. Otwieram oczy, besztając się w duchu, bo wiem, że nie jest taki ostrożny z mojego powodu. Zabezpiecza swoje dzieło. Nie chce, by wdało się zakażenie.

Santiago wstaje i okrąża mnie. Pozostaję w tej samej pozycji, z głową pochyloną przez łańcuch. Czuję ciepło na karku.

Ramiona bolą jak cholera. Mąż nie spieszy się, ktoś podaje mu drinka. To jeszcze bardziej upokarzające, gdy wszyscy członkowie Socjety zajmują się sobą. Ignorują mnie, pannę młodą w obroży, kłaniającą się im do stóp.

Mam to gdzieś. Niech ignorują. Niech o mnie zapomną.

To, co nastąpi później, będzie o wiele bardziej poniżające. Wiem przecież, że to dopiero początek.

Po raz kolejny zastanawiam się, dlaczego zostałam przez niego wybrana. Dlaczego mnie chciał.

Moje myśli zdają się przypomnieć mi, że ma coś jeszcze do zrobienia, bo po krótkiej chwili w końcu wraca i kuca, by odpiąć łańcuch, po czym się podnosi. Ma ponad metr osiemdziesiąt, więc góruje nade mną, ponieważ mierzę zaledwie metr sześćdziesiąt siedem. A kiedy klęczę, wydaje się olbrzymem.

Krzesła szurają, gdy mężczyźni zajmują miejsca, by obejrzyć kolejną scenę. Zastanawiam się, czy po powrocie do domów będą pieprzyć żony, wyobrażając sobie, jak poddają się mężowi.

Kiedy Santiago dotyka mojego podbródka, by go unieść, spoglądam na jego spowitą półcieniem sylwetkę. Co najdziwniejsze, czuję się z nim mocniej związana. Bardziej niż po ceremonii ślubnej. Nagle uświadamiam sobie, że dałam mu to, czego pragnął, gdy ociera mi kciukiem policzek. Kładzie dłoń na mojej głowie, po czym przesuwając palec na czoło, rysując symbol moimi łzami, jakby mnie błogosławił. Niczym jakiś bóg. Porusza bezgłośnie ustami, sądzę, że odmawia modlitwę. Po raz kolejny zastanawiam się, jak musimy razem wyglądać, kiedy tak klęczę u jego stóp, z jego znakiem na stałe zdobiącym mój kark.

Santiago zamyka oczy, pochyla czoło, po czym unosi powieki i patrzy w ciemność.

– Powiedz to – nakazuje, wciąż mnie trzymając.

Tę część znam. Słowa, które powinnam wypowiedzieć. Gesty, jakie mam wykonać. Dokładnie wiem, co muszę zrobić. Każda

córa Socjety wie, bo prędzej czy później będzie zmuszona poddać się komuś, niezależnie od swej rangi.

Zdaję sobie też sprawę, że nie mam innego wyjścia. Nigdy nie miałam. Nawet jeśli przez te sześć krótkich miesięcy wierzyłam, że udało mi się uciec i przejąć kontrolę nad własnym losem. Byłam naiwna.

Podtrzymuję spojrzenie męża dłużej, niż powinnam i niż jest do tego przyzwyczajony. Dostrzegam przebłysk gniewu. Dobrze. Myśli, że tak łatwo mnie złamie. Uważa, że jestem słaba. Sądzi, iż łyzy są oznaką kruchości. Widzę to. Ale jestem silniejsza, niż mu się zdaje. Prawie uciekłam. Przetrwam to. Muszę.

Wyzbywam się wszelkich emocji. Odgradzam się od nich, wmawiając sobie, że słowa, jakie wypowiem, nic nie znaczą. Nie są przysięgą, którą wybrałam.

– Dominus et Deuce.

Kiedy opuszczają usta, czuję, jakby mój los się przypieczętował. Po raz kolejny zastanawiam się, czy Bóg naprawdę jest po ich stronie.

„Dominus et Deuce”. Pan mój i Bóg mój.

Ujmuję rękę Santiaga – tę samą, którą mnie naznaczył – w obie dłonie i przyciskam do niej usta. Podnoszę na niego wzrok, przyglądając mu się spod rzęs.

Myślę o młodszej siostrze. O tym, co musiałam zrobić. Zostałam zmuszona zagrać w grę, której reguł nie znam. Gdyby udało mi się uciec, jak Hazel, co spotkałoby Evangeline? Nie porzucę jej, jak najstarsza siostra nas porzuciła.

Nadal przyciskam usta do chłodnej skóry, patrząc przy tym w oczy męża, a w mojej głowie rodzi się plan.

Gdy Santiago z trudem przełyka ślinę, obserwuję jego grdykę. Mężczyzna jest w szoku. Nie wiem, czy przez to, jak przed nim klęczałam, czy przez sam akt naznaczenia. Musiało to nim wstrząsnąć. Rozumiem. Niemniej jednak jest jak zaczarowany.

Wykorzystam to.

Podtrzymuję jego spojrzenie tak długo, jak tylko mogę, po czym dotykam czołem butów. Powinnam je pocałować, ale nie robię tego. Mężczyźni nie zobaczą. Jeśli mój mąż to zauważy, ukarze mnie. To taki mały bunt, jednak decyduję się na niego

dla siebie, nawet jeśli zdaję sobie sprawę, co mi za to grozi. Przynajmniej Santiago będzie wiedział, co myślę.

Po chwili mężczyzna łapie mnie za ramię i podciąga na nogi, a ja już wiem, że nie umknęło mu pogwałcenie zasad. Nie skupiam się jednak na tym, bo przez to, jak szybko zostaję podniesiona, wpadam na jego klatkę piersiową. Odsuwam się szybko, ale wtedy czuję, że suknia zjeżdża mi z biustu. Santiago od razu patrzy w dół, na moje obnażone piersi, po czym błyskawicznie je zakrywa. Jego spojrzenie jest mroczniejsze niż wcześniej.

Przez chwilę moja słabsza strona, ta strachliwa, żałuje, że nie pocałowałam jego buta.

Obserwuję, jak Santiago odzyskuje panowanie nad sobą i zaczynam myśleć, że właśnie to jego oblicze przeraża mnie bardziej niż jawna złość. Milczenie jest gorsze.

W jego wzroku dostrzegam teraz obietnicę.

„Później się z tobą rozprawię”.

– Zamknij oczy – mówi cicho. Nie szepcze, lecz jego ton jest niższy niż normalnie.

Spełniam polecenie. Czuję szarpnięcie i uderzenie o twardą klatkę piersiową. Wzdycham, gdy całuje mnie mocno. Kładę dłonie na jego torsie, a mąż wbija mi palce w zniszczoną fryzurę. Czując przy sobie jego twarde ciało, odchyłam się do tyłu, by przyjąć pocałunek. Przedsmak tego, co czeka mnie później.

15 - SANTIAGO

Rezydencja De La Rosów jest cicha i pogrążona w mroku, gdy Marco wysadza nas przed głównym wejściem. Żona przygląda się posiadłości z, jak mogę się tylko domyślać, mieszaniną obaw i ciekawości. Fasadę w stylu neogotyckim wykonano z kamienia, a rzeźbione wzmocnienia, palladiańskie okna, zdobione ściany oraz pnący się bluszcz składają się na budynek, który stanie się więzieniem Ivy.

Niemal zawsze obecna mgła otacza posiadłość, nadając okolicy aurę tajemniczości. Małe grupki przerażonych turystów często zaglądają przez bramę, podczas gdy przewodnik opowiada im szeptem plotki o zjawach, które się tu pojawiają. Jedynymi duchami, jakich powinna się obawiać Ivy, są te należące do mojego ojca i brata, które domagają się z za grobu krwi rodu Moreno.

Dziewczyna przełyka z trudem ślinę, przyciskając do siebie strzępy sukni i wbijając jednocześnie palce stóp w ziemię. To niewielkie oznaki buntu, które obserwuję z zainteresowaniem. Chociaż powietrze jest dziś ciężkie, widzę, jak Ivy przeszywa dreszcz. Na jej ciele pojawia się gęsia skórka.

Niektóre tradycje nie mają znaczenia dla Socjety, ale samolubna potrzeba skłania mnie do wzięcia żony w ramiona i przeniesienia jej przez trawnik. Wciąż nie włożyła butów, a chcę, by pozostała dla mnie nieskazitelna. Blizny, którymi ją naznaczę, zostały dobrze przemyślane. Byłbym głupi, gdybym pozwolił jej poranić stopy. Mamy dziś jeszcze sporo do zrobienia i nie chcę marnować czasu na oczyszczanie ran, którym można zapobiec.

Zerka na mnie zdeorientowana, wytrzeszczając oczy, gdy wnoszę ją po schodach oraz przez próg. Na jej twarzy pojawia się niepewność, kiedy ciężkie drzwi zatrząskują się za nami, zamykając dziewczynę z potworem, którym nie chciała, bym się okazał.

– Potrafię chodzić – mówi, chociaż w jej głosie wyraźnie brakuje woli walki.

Dzisiejsze wydarzenia ją wymęczyły, widać to po opadających powiekach. Jest trzecia nad ranem. Nie mam jednak wątpliwości, że się ożywi, gdy jej ciało zaleje mieszanina adrenaliny i kortyzolu. Strach potrafi pobudzić nawet tych stojących nad grobem.

Wchodzę po schodach na piętro, potem niosę Ivy korytarzem, czego zdaje się nie doceniać. Wyciąga się w moich ramionach, próbując przyjrzeć się otoczeniu. Bez żalu odbieram jej tę możliwość.

Docieram do pokoju gościnnego i w końcu stawiam dziewczynę na podłodze. Rozgląda się przez chwilę po sypialni, podziwia antyczne meble oraz ozdobne dywany w kolorze głębokiego fioletu oraz czerni. Wszystko skąpane jest w delikatnym świetle świec, co nie umyka uwadze Ivy, która zerka w stronę włącznika światła.

– To twój pokój? – pyta.

– Puść sukienkę – rozkazuję.

Spogląda na mnie, na jej twarzy ponownie maluje się wyraz buntu. Ten upór w niczym nie pomoże, ale Ivy nie wie, że z radością go przełamie.

Podchodzę do niej, po czym przesuwam opuszkami palców po jej gardle. Puls dziewczyny wyraźnie przyspiesza, a stres staje się doskonale widoczny. Sięgam do rozdartej sukni, którą do siebie przyciska, i wyrywam ją z drobnych dłoni. Pozostałe szwy puszczają, materiał pęka i opada w strzępach u stóp Ivy, która zakrywa piersi dłońmi, gdy mój mroczny śmiech rozbrzmiewa w pokoju.

– Nie pora teraz na skromność. – Pochylam się, by szepnąć jej do ucha: – Posiadę każdą częśćkę ciebie, droga żono.

Przeszywa ją dreszcz, gdy siłą odsuwam jej ręce i przyciskam je do boków. Dziewczyna stoi teraz przede mną całkowicie naga i cała moja. Piękna drżąca kobieca sylwetka z delikatnymi krągłościami, których pragnę dotykać.

Ale najpierw kontrola.

– Uklęknij.

Ivy waha się, zerkając na znajdujące się za mną drzwi.

Wsuwam palce w jej włosy i zaciskam je mocno, zmuszając dziewczynę, by się wygięła. W końcu nie ma innego wyjścia, jak ugiąć kolana, by spełnić żądanie. Wtedy ją puszczam. Klęczy teraz z twarzą znajdującą się zaledwie kilka centymetrów od mojego pulsującego fiuta. Sama też to dostrzega, bo jej wzrok pada na wyrzuszenie w spodniach. Ivy zwilża spierzchnięte wargi językiem, a jej zdenerwowanie uwidacznia się w rumieńcu ogarniającym całe ciało.

Wsuwam but między jej kolana, zmuszając, by je rozsunęła, aż dostrzegam jej wzgórek łonowy. Z kieszeni spodni wydaję różaniec, który nosiłem przez cały dzień. To ozdobny egzemplarz z białym krzyżem, wykonany ze sporych koralików z obsydianu i szungitu. Jest na tyle długi, że kiedy zakładam go żonie, zwisa pomiędzy piersiami. Mógłbym owinąć nim jej szyję dwukrotnie, a nadal zostałoby trochę luzu.

Ivy spogląda na niego, a ja zaciskam koraliki w garści. Zapewne rozumie znaczenie religii i kary. Są głęboko zakorzenione w naszej społeczności, ale nie mogła pojąć ich wagi jak ja. Chcę, aby różaniec zawsze ciążył na jej duszy. Żeby stał się brzemieniem, które będzie nosić niczym swoje grzechy. Pragnę, by stanowił trwałe przypomnienie tego, kim jest i do kogo należy.

– Nigdy go nie zdejmuj – mówię. – Rozumiesz?

Gdy nie odpowiada, zwiększam nacisk na gardło. Unosi wtedy dłonie do moich, w jej oczach rozbłyska panika.

– Rozumiem – wydusza. – Proszę.

Poluźnięm chwyt, moja dłoń bez zastanowienia ląduje na głowie dziewczyny. Pieszczę jej włosy, aż zamyka oczy. Nie zamierzałem jej uspokajać, ale właśnie to robię, choć nie rozumiem dlaczego. Jakim cudem Ivy udaje się odnaleźć pociechę w mojej obecności? Czy nie wie, jakiemu potworowi poświęciła swoje życie?

– Sprzeciwiłaś mi się. – Mój głos jest nienaturalnie szorstki. – Po raz kolejny.

Otwiera oczy. Nie potrzebuje wyjaśnień, wie, o czym mówię.

– To poniżające – odpyskuje.

– Zgodziłaś się na takie życie. Znałaś zasady, oddając się Socjocie.

– Jakbym miała inne wyjście – odpowiada drżącym głosem.

W kącikach oczu zbierają się łzy, które desperacko stara się powstrzymać.

– Zawsze jest wybór. – Unoszę jej podbródek, wpatrując się w zielone oczy. – Wciąż go masz. Możesz uciec w każdej chwili, ale powinnaś wiedzieć, że będzie to próżny wysiłek. Wytropię cię niczym pies myśliwski, zawsze cię znajdę i sprowadzę z powrotem. Mogę ci to przysiąc. A to tylko jedna z wielu obietnic. Chyba rozumiesz, że moja władza nad twoim życiem jest nieograniczona. Pojawią się większe bitwy, więc jaki jest sens wyklócać się o drobiazgi?

Jej ramiona trzęsą się, gdy syczy przez zaciśnięte zęby:

– Po wszystkim, co mi już zrobiłeś... Nie mogłam. Nie to.

– Sądzę, że niedługo sama się zdziwisz, jak daleko jesteś w stanie się posunąć, by mnie zadowolić. – Uśmiecham się do niej ozięble. – Ale na razie możesz odpokutować, odmawiając trzy zdrowaśki.

Wydaje się zaskoczona moją sugestią, a mimo tego się do niej stosuje. Składa ręce do modlitwy, obserwując z zaciekawieniem, jak oplatom je różańcem. Pochyliła przede mną głowę, wyraźnie recytując łacińskie słowa.

– Grzeczna dziewczynka – chwale, podchodząc bliżej.

Tak blisko, że ocieram się o jej policzek pulsującym fiutem wybrzuszającym materiał spodni. Ivy uchyla powieki, a wszystko inne znika, bo gdy spoglądam w jej dziwaczne oczy, czuję się zagubiony i oszołomiony. Chyba jest tego świadoma, bo robi gwałtowny wdech.

Nagle zrywam to dziwne połączenie między nami. Odwracam się i podchodzę do stolika nocnego, gdzie schowałem rzeczy potrzebne do dzisiejszego rytuału. Kiedy wracam z maską wykonaną dla Ivy na zamówienie, dziewczyna kręci lekko głową. Powinna wiedzieć, że jej błagania są bezsensowne.

Zakładam żonie na twarz ciężką srebrną maskę, przez którą nie może niczego dostrzec. Jej pierś unosi się i opada, sutki twardnieją, domagając się uwagi. Przez chwilę nie robię nic

poza podziwianiem jej piękna. Nie widzi mnie, a przecież czekałem całą noc, by poczuć zaspokojenie.

Ciało Ivy jest dokładnie takie, jak lubię. Gładka skóra. Idealnie pełne piersi. Zaokrąglone biodra. Nie ma niczego, czego wcześniej bym nie oglądał, a mimo to wydaje się bardziej kusząca niż jakakolwiek inna kobieta, którą miałem.

Może to dlatego, że wiem, iż będzie tylko moja.

Pochyliam się i pomagam jej wstać. Przywiera mi do ramienia, gdy prowadzę ją do łóżka. To dziwna oznaka zaufania, której zupełnie się nie spodziewałem, ale mnie tym rozbija.

Później ufność dziewczyny słabnie, kiedy unoszę jej ręce nad głowę, by przywiązać je liną do słupka przy łóżku.

– Santiago – mówi błagalnie Ivy.

Jej zabarwiony strachem głos sprawia, że twardnieję jak nigdy wcześniej. Potrzebuję chwili, więc zamykam oczy, by odzyskać kontrolę nad sytuacją, nim poddam się prymitywnym pragnieniom i zniszczę dziewczynę bez zawahania.

Kończę związywać nadgarstki, po czym odsuwam się, żeby podziwiać dzieło, jakim jest ciało mojej żony. Ivy wypycha biodra, jej ręce są wyciągnięte w górę. Zdenerwowanie dziewczyny działa jak afrodyzjak, czuję zapach gromadzącego się między jej udami podniecenia. Wydaje jej się, że wie, co zaraz nastąpi, mimo to niepewność wywołuje w niej dreszcz.

Kiedy przesuwam palcami po jej kręgosłupie, wygina się w moim kierunku niczym kot do głaszczącego go właściciela. Nie sędzę, by była świadoma tego, co robi. Wielka szkoda, że pragnie widzieć we mnie swego obrońcę, skoro mogę być jedynie oprawcą.

Docieram dłonią na biodro, ściskam je, na co Ivy wygina się mocniej i rozchyła kusząco uda. Pragnie czegoś, czego sama nawet nie rozumie.

Nie spiesząc się, zdejmuję marynarkę i kamizelkę, następnie powoli rozpinam koszulę. Chociaż dziewczyna mnie nie widzi, obraca głowę w moim kierunku. Oblicze bogato zdobionej maski skierowane jest na blizny na torsie, które odsłaniam, gdy odrzucam ubrania na podłogę. To denerwujące i całkowicie nielogiczne, ale czuję na sobie wzrok Ivy. Jakby posiadała

zdolność przenikania nim metalu. Jakby widziała, kim naprawdę jestem.

– Odwróć się – nakazuję.

Podskakuje, słysząc mój ostry ton, ale wykonuje rozkaz. Wtedy znowu kładę na niej dłonie. Tym razem jednak gładzę nimi całe ciało dziewczyny. Badam swój najbardziej interesujący nabytek. Ivy wydaje ciche jęki, kiedy obejmuję talię i przesuwam się na piersi. Jej sutki są tak twarde, że jęczy głośniej, gdy je pocieram. Mógłbym postawić wszystko, co mam na koncie, że jej cipka już jest dla mnie nabrzmiała.

– Podoba ci się?

Przysuwam wargi do ucha żony, skubię jego płatek, po czym przenoszę się na szyję. Próbuje protestować, ale słowa grzęzną jej w gardle, a później zmieniają się w pisk, kiedy uderzam ją jedną dłonią w pośladek tak mocno, że zostaje na nim ślad moich palców.

– Santi... – Imię zamiera na jej ustach, gdy ponownie wymierzam klapsa.

Próbuje się odsunąć, jednak łapię ją w pasie, zmuszając, by pozostała na miejscu i to wytrzymała.

Trzy. Cztery. Pięć. Uderzam ją sześć razy, aż jej skóra czerwieni się niczym wisienka. Ivy dyszy ciężko, wiercąc się w moim uścisku, gdy wsuwam palce pomiędzy jej uda. Czuję, jak ocieka z pragnienia.

– Proszę – zaczyna błagać, kiedy ją pieszczę. – Potrzebuję... Nie mogę...

Nie zamierzam dawać wrogowi tego, czego pragnie. Lecz głos Ivy brzmi tak słodko. Słysząc w nim wyraźne obrzydzenie wywołane wypowiedzianą prośbą. Mogę sobie śmiało tłumaczyć, że znienawidzi mnie jeszcze bardziej za to, że jestem w stanie ją w ten sposób kontrolować.

Wsuwam w nią opuszki dwóch palców, a kciukiem pocieram łechtaczkę. Dziewczyna nieświadomie rozszerza nogi, otwierając swe ciało, by mnie powitać. Tłumię jęk narastający w gardle, przygryzając jej ramię, a Ivy krzyczy, gdy w tym samym czasie doznaje spełnienia. Czuję wtedy ciepło rozlewające się na moje palce. Żoną wstrząsają spazmy rozkoszy, jej oddech

świszczy między zaciśniętymi zębami. Wciąż dochodzi do siebie po orgazmie, kiedy rozsmarowuję na jej ustach dowód tego, jak zdradziło ją własne ciało.

Szarpie się w moich ramionach, a ja wdycham jej zapach. Poluźniam uścisk w talii i wracam do gładzenia skóry dziewczyny w długich, powolnych pociągnięciach. Badam ją. Poznaje każdy szczegół nieznanego mi ciała. Piegi na ramionach. Dołeczek w dolnej części pleców. Sposób, w jaki to ciało szuka mojego dotyku. Chcę wszystko zapamiętać, zapisać niczym plik w komputerze. Nie rozumiem, dlaczego to robię, ale nie chcę też szukać powodów.

Nim mam okazję się nad tym zastanowić, zauważam siniaki na ramionach Ivy. Przyglądam im się, przyciskając opuszki palców do fioletowych śladów, a złość aż się we mnie gotuje.

– Kto ci to zrobił? – pytam.

Bierze głęboki wdech, ale nie odpowiada. Mam ochotę nią potrząsnąć. Przydusić ją. Wyrwać te słowa z jej ust. Przesuwam wzrokiem po reszcie ciała, badając każdy fragment w poszukiwaniu oznak niegodziwości, której do końca nie pojmuję.

Widzę kolejne ślady na udach, kolanie i łydce. Wiem, że powstały przez kogoś, bo czuję, jak dziewczyna tężeje w moich ramionach. Coś przede mną ukrywa, a na to nie pozwolę.

– Kto to zrobił? – powtarzam.

Kiedy nie odpowiada, ciągnę za wiszący na jej szyi różaniec, aż wbija się w skórę. Ivy szarpie liną, by znów się do mnie zbliżyć, walcząc z moją zaciskającą się pięścią.

– Kto, Ivy?

– Prawdopodobnie twój lekarz – prychna z takim jadem, że w szoku puszczam różaniec.

Koraliki opadają z powrotem na jej piersi i układają się między nimi.

– Lekarz – powtarzam, wracając myślami do przyniesionego przez Abła testu czystości.

– Ten koszmarny lekarzyna, do którego kazałeś mi jechać! – wyrzuca z siebie gorzkie słowa, czym mnie zaskakuje.

– Kto ci powiedział, że to ja cię do niego wysłałem?

Znów milknie, jej pierś unosi się gwałtownie ze złości. Ma w sobie ogień, którego się nie spodziewałem, ale mi się podoba. – Odpowiedz.

Wsuwam palce między jej uda, które próbuje zacisnąć. Uderzam ją w wewnętrzną część, odzyskując kontrolę. Odchyła głowę na moje ramię, gdy znów zaczynam się z nią droczyć.

– Santiago – szlocha. – Proszę.

Zaczynają ją boleć ręce. Ledwo trzyma się na nogach. Musi nauczyć się prawdziwej wytrwałości, bo będzie jej przy mnie potrzebować. Rozmowę na temat lekarza musimy odłożyć na później. Noc nam ucieka, a jeszcze nie naznaczyłem dziewczyny. Pokazuję jej, jak bardzo tego pragnę, rozpinając spodnie i uwalniając pulsującego kutasa.

Ivy zamiera w bezruchu, chociaż nadal pocieram wrażliwą łechtaczkę i dociskam się do niej. Kiedy czuje mojego twardego fiuta wbijającego się w skórę, obraca głowę, jakby chciała spojrzeć mi w twarz.

– Nie zmuszaj mnie, żebym znów cię ukarał – ostrzegam ostro. – Chyba że chcesz zakosztować mojej gwałtowności.

Odwraca się, a ja wsuwam kutasa między uda Ivy i dotykam jej wilgotnej cipki. Jest ciepła i miękka, nie wiem, czy będę potrafił nad sobą zapanować. Minęło dużo czasu, odkąd ostatni raz byłem z kobietą. Nie mogę myśleć o niczym innym. Ściskam biodra dziewczyny, przesuwam główką penisa po wejściu, aż w końcu w nią wchodzę. Ivy zaciska pięści, nogi jej drżą i muszę przytrzymać ją w talii, kiedy powoli wsuwam w nią samą główkę, po czym wycofuję się w powolnym rytmie. Nadal pocieram łechtaczkę, pieszcząc ją coraz mocniej. Czuję, jak dziewczyna się na mnie zaciska, ale to nie wystarczy. Muszę poczuć więcej.

Dlatego wbijam się w nią ostrym pchnięciem, przerywając jej dziewictwo. Wchodzę tak głęboko, jak tylko mogę. Ivy krzyczy z zaskoczenia i dochodzi, ponieważ moje palce znów doprowadzają ją do orgazmu gwałtownymi pieszczotami.

Zaciska się na mnie bez końca. Staram się powstrzymać dreszcz przyjemności, który narasta w moim wnętrzu, kiedy ciasna cipka Ivy niemal zgniata mi kutasa.

– Kurwa – syczę przez zęby, nie mogąc się dłużej hamować.

Zachowuję się bardziej jak zwierzę niż człowiek, gdy ustawiam ją w odpowiedniej pozycji, trzymając za tyłek, po czym cofam biodra i wchodzę w nią bez litości. Ivy jęczy, a kolumna aż trzeszczy, gdy sznur mocno się napina. Zamykam oczy, zatracam się, czując, jak ciepła jest w środku, i słuchając dźwięków, jakie wydaje jej ciało.

Nie powinno tak być. Gdzieś z tyłu głowy logika domaga się mojej uwagi. Ale zaszedłem za daleko, by dopuścić do siebie powody, dla których nie powinienem właśnie głaskać włosów Ivy ani całować kręgosłupa, kiedy pieprzę ją do nieprzytomności. Wygląda jak szmaciana lalka w moich ramionach. Jest taka mała. Tak łatwo przestawiać ją z miejsca na miejsce i wykorzystywać wedle mojego widzimisie. Nie wiem, jak to ma się udać. Nie mam pojęcia, w jaki sposób odzyskać kontrolę, ale w tej chwili myślę jedynie o tym, by zanurzyć się w niej po same jaja i wypełnić jej łono moim nasieniem.

Lina zaczyna ocierać chude nadgarstki, gdy Ivy się na niej wspiera. Nie może utrzymać głowy w górze, jednak ja nie potrafię przestać. Podtrzymuję ją jednym ramieniem, po czym ściągam sznur z kolumny łóżka. Dziewczyna nadal ma związane dłonie, kiedy kładę ją na brzuchu na materacu, a później wbijam się w nią głębiej i mocniej. Biorę ją bez opamiętania, aż nie mogę się już dłużej powstrzymać.

Zaciskam palce na jej biodrach, pewnie zostawiając na nich ślady, i eksploduję. Kutas pulsuje dziko, kiedy wlewam cztery lata frustracji w moją żonę.

„Moja żona”.

Uchylam powieki i spoglądam na nią. Jest zbyt zmęczona, by się ruszyć. Oddycha, jakby brakowało jej tlenu. Sam mam podobny problem.

Naprawdę to zrobiłem. Ożeniłem się z wrogiem, który wkrótce będzie nosić w sobie moje dziecko.

Świat się kołysze, więc opadam na pościel obok Ivy z pomrukiem satysfakcji wyrywającym się z gardła.

16 - IVY

Nie mogę unieść głowy. Maskę, którą Santiago mi założył, jest zbyt ciężka. Czuję, jak mężczyzna ze mnie wychodzi. Czuję jego... Nie, nasze uwolnienie. Ja też doszłam. Miałam orgazm. A teraz czuję, jak coś ze mnie wypływa.

Nogi zwisają mi poza krawędzią łóżka. Leżę z twarzą w pościeli, niezdolna się ruszyć. Z trudem oddycham.

Santiago nic nie mówi, ale słyszę, jak nabiera powietrza równie ciężko co ja. Jest wykończony. Przez to, że pozbawił mnie możliwości widzenia, pozostałe zmysły się wyostrzyły. Muszę się pozbierać i zachować czujność przy tym mężczyźnie.

Ten mężczyzna.

„To twój mąż”.

Jakbym nie wiedziała.

Wydaje mi się, że się ubiera. Słyszę suwak. Wciąż się nie ruszam. Mam otwarte oczy, ale widzę jedynie ciemność. Między nogami czuję pulsujący ból. Wziął mnie ostro.

„A ty doszłaś. Ostro”.

Podnosi mnie, przesuwa w górę materaca. Moja głowa opada bezwładnie, gdy próbuję utrzymać na niej tę ciężką maskę. Dotykam jej, jednak Santiago odsuwa mi ręce, rozwiązuje linę, uwalniając je, po czym układa ramiona przy moim ciele, wydając komendę:

– Nie.

– Proszę.

– Nie każ mi cię znów związać.

– Nie mogę oddychać – rzucam.

– Możesz. Rozluźnij się.

Wyciąga coś spod mojego ciała i rozsuwa mi szeroko nogi. Sapię, próbuję się odsunąć, ale mnie przytrzymuje i wyciera między udami.

– Zastanawiam się, czy Eli byłby zadowolony, gdyby zobaczył, ile krwi wycisnąłem z jego córeczki – mówi.

– Co? – pytam, nie do końca pewna, czy dobrze usłyszałam.

„Cieszy go widok mojej krwi?”

Myślę nad tym i dociera do mnie, że chciałby jej nawet więcej. Chciałby widzieć też moje łyzy, jestem tego pewna. Z radością bym mu je pokazała, gdyby tylko zdjął z mojej twarzy to cholerstwo.

– Zostań – rozkazuje, jakby wydawał komendę psu. Chyba skończył wycieranie.

Nie ruszam się, nie próbuję odsunąć. Gdy moje ciało się uspokaja, staję się świadoma każdej obolałej części. Słyszę, jak Santiago chodzi po pokoju, otwiera drzwi do łazienki, puszcza wodę. Wraca po chwili, obejmuje mnie i podnosi. Przytrzymuję się jego bicepsa, czując pod sobą silne dłonie. Moje czoło niemal opada na jego ramię.

– Nauczysz się ją nosić, klęcząc.

Zmusza mnie do klęknienia i pod kolanami czuję szorstki dywan. Siadam na piętach, jedną dłoń kładę na deskach, by się podtrzymać.

Czego on jeszcze chce?

– Zamknij oczy.

Spełniam polecenie. Nawet nie wiem czemu. Przecież mnie nie widzi. Ale jestem zmęczona. Tak bardzo wykończona. Dzisiejszy dzień i noc kompletnie mnie wyczerpały. Santiago ściąga mi maskę, a ja podnoszę dłoń do twarzy, by otrzeć policzki.

– Widziałam już twoją twarz – mówię, gdy wyczuwam, że się odsunął.

Otwieram oczy i go obserwuję. Ma na sobie rozpiętą koszulę. Marynarka leży przewieszona przez oparcie krzesła. Przyglądam się, jak odkłada zdobną maskę do szklanej gabloty niczym relikwię. Chwilę zajmuje mi dostrzeżenie, że mężczyzna obserwuje mnie w lustrze. Nasze spojrzenia się krzyżują, ale czarne ściany oświetla jedynie blask świec, więc jest zbyt ciemno, bym widziała go wyraźnie.

– I chciałabyś ujrzeć ją ponownie? – pyta. – Wątpię. Pochyl głowę i opuść wzrok. Natychmiast.

– Nie znasz mnie – odpowiadam, ale wypełniam rozkaz.

– Czyżby? – Podchodzi do drzwi. Obserwuję go spod rzęs. – To będzie twój pokój. Zostaniesz w nim, dopóki po ciebie nie

przyjdę.

– Kiedy to nastąpi? Gdy zachce ci się kolejnego ruchanka?

Łapie za klamkę. Widzę, że przechyliła głowę. Obraca się lekko, pokazując profil z tatuażem czaszki. Unoszę wzrok. Nie mogę patrzeć na cienie, które światło świec rzuca na jego twarz.

– Powinnaś być ostrożniejsza, Ivy.

– Bo co? Znow załóżysz mi maskę? Wytatuujesz mnie? Tym razem naznaczysz rozgrzanym żelazem? Sprawisz, że ponownie za ciebie wyjdę? Zabrałeś mi wszystko. Zrobiłeś wszystko.

– Dopiero zacząłem.

Prycham.

Puszczą klamkę i podchodzi tak blisko, że aż się cofam. Patrzenie, jak idzie do mnie z odsłoniętą twarzą, półczłowiek, półtrup, jest przerażające.

– Opuść wzrok. Nie będę powtarzał.

– Nie. – Serce łomocze mi w piersi, jakby chciało się z niej wyrwać, nim zostanie zaatakowana.

– Nie?

Kręcę głową. Santiago unosi brwi.

– Nie jestem pewny, czy to odwaga czy raczej głupota.

– Nie boję się twojej twarzy, jeśli o to ci chodzi.

Śmieje się gorzko.

– Sądzisz, że obawiam się, iż nie spodoba ci się moja twarz? – Kuca przede mną, a ja muszę wykorzystać całą silną wolę, by wytrzymać jego spojrzenie, ale chyba zauważa, że się odsuwam, bo zbliża się bardziej. – Chcesz mnie zobaczyć, Ivy?

Z trudem przełykam ślinę, przyglądając mu się. Próbuję się skupić na oczach, tylko na nich. Jestem przytłoczona i mrugam, odwracając głowę.

– Tak myślałem – mówi, po czym wstaje i ponownie przemierza pokój.

– To nie... Ja... – urywam, niepewna, co chcę powiedzieć.

Kiedyś był piękny. Widzę to. Teraz jest inny. Większość ludzi z tego szydzi, a Santiago przed tym ucieka.

– Zostaniesz w tym pokoju, dopóki po ciebie nie przyjdę. – Otwiera drzwi.

– Nie zostanę.

Zatrzymuje się.

– Nie? – pyta. – Stawiasz się? – Czekaj na odpowiedź, ale jej nie udzielam. – Spójrz na siebie. Wciąż przede mną klęczysz, masz na sobie mój znak, a moja sperma wypływa z twojej cipki. Myślę, że zrobisz dokładnie to, co każę. Lecz możesz próbować pokazać mi, że się mylę. Z radością cię ukarzę. – Wychodzi na korytarz.

– Dlaczego?! – wołam za nim. – Dlaczego wybrałaś właśnie mnie, skoro zżera cię nienawiść? – Znow muszę otrzeć oczy. Przystaje. Milczy przez długą chwilę, aż uświadamiam sobie, jaka cisza panuje w domu. Całkowity bezruch. Czy mieszka tu ktoś jeszcze?

Santiago przygląda mi się uważnie. Ma w tym wszystkim jakiś cel. Plan. Nie potrafię tego pojąć.

– Twoje łzy mnie nie wzruszają. Myślałem, że o tym wiesz – odzywa się w końcu.

– Powiedz mi chociaż dlaczego.

– Kochasz ojca?

– Co? – mamroczę.

– Kochasz go?

– Tak. Oczywiście – odpieram.

– A on kocha ciebie. – To nie jest pytanie.

– Ojciec nie ma z tym nic wspólnego.

– Nie?

Łzy zmieniają się w szloch, gdy wszystko staje się dla mnie zbyt trudne, za ciężkie, zupełnie jak różaniec na mojej szyi. Czuję, jakby Santiago wciąż zaciskał go w pięści.

– Chryste, ogarnij się – rzuca.

– Pieprz się – mówię, ale nie tak wyraźnie, jak bym tego chciała, ponieważ gardło ściska mi płacz. Przez chwilę myślę, że nie powinnam była tego mówić. Boję się, że tu wróci. Znow mnie ukarze. Nie sądzę, by moje ciało mogło znieść więcej. Nie dziś.

Santiago jednak nie wraca. Zamiast tego uśmiecha się lekko. Z jednej strony czaszka, z drugiej potwór. Czuję, jak opadają mi ramiona. Zwijam się w kłębek, wzdrygając się.

– Należysz do mnie – oznajmia.

– Nie.

Ma rację. W naszym świecie jestem jego własnością.

– Rozumiesz, co to dla ciebie oznacza? – pyta, jakbym nie zaprotestowała.

Nie odpowiadam. Nie wiem jak.

Kręci głową i prychna, jak gdyby był znudzony.

– Jesteś słaba, Ivy. Lepiej, żebyś się poprawiła, bo będziesz potrzebować całej swojej siły, by mnie przetrwać.

17 - IVY

– Panienko.

Jęczę, wybudzając się ze snu. Boli mnie każda cząstka ciała, a największy ból odczuwam między udami.

Ktoś odchrząkuje.

– Panienko.

Otwieram oczy. Powoli dostrzegam swoje otoczenie. Czarne ściany. Nie, nie są czarne. Są wyłożone ciemnym, rzeźbionym drewnem. Światło sączy się przez niewielkie kwadratowe okienko umieszczone wysoko.

– Panienko, wybacz, że cię budzę – słyszę.

Odwracam się do starszej kobiety ubranej w fartuszek, która stoi po drugiej stronie pokoju. W wejściu dostrzegam też drugą młodszą dziewczynę. Potem patrzę na łóżko. Zakrwawione prześcieradło zostało ściągnięte do połowy materaca. Zakrywam się grubym, ciężkim kocem i podnoszę nieco, krzywiąc. Wciąż jestem naga.

– Muszę zabrać tę pościel, panienko. Zmianienie jej zajmie nam dosłownie minutkę – mówi nieznajoma.

Odchrząkuję, przecieram twarz i rozglądam się za zegarem.

– Która godzina?

– Dziewiąta, panienko.

Spoglądam z powrotem na kobietę. Musi uważać mnie za idiotkę.

– Gdzie jest łazienka?

Wskazuje palcem. Zauważam, że druga dziewczyna udaje, iż mnie nie obserwuje.

– Potrzebuję chwili – rzucam z nadzieją, że zrozumieją aluzję i wyjdą, żebym mogła przemknąć do łazienki, nie świecąc przed nimi gołym tyłkiem.

– Dobrze, panienko – odpowiada starsza, odwracając się.

Gestem odsyła swoją pomocnicę. Kilka sekund zabiera mi podniesienie się, bo wciąż jestem okropnie zmęczona po wczorajszej nocy. Próbuję sobie przypomnieć ostatni raz, gdy coś jadłam, ale mi się nie udaje.

– Wszystko w porządku? – pyta kobieta.

Uśmiecham się, przytrzymując koc przy piersi. Zsuwam nogi z łóżka, lecz gdy próbuję wstać, pokój zaczyna wirować, a moje kolana się uginają. Wyciągam rękę, by złapać się stolika, ale zamiast tego strącam ciężką mosiężną lampę, uderzam w nią czołem i upadam na podłogę.

Kobieta sapie ze zdziwienia. Natychmiast do mnie podbiega.

Siadam, wciąż zakrywając się kocem, po czym opieram się o łóżko. Ciągłe czuję ból i otarcia między udami.

– W porządku. Nic mi nie jest. – Nie wspominałam, że często tak się dzieje. – Muszę tylko coś zjeść. Nic mi nie będzie. Pochyliła się nade mną ze zmartwieniem widocznym na twarzy. Kiwa głową, a później woła dziewczynę, którą przed chwilą odesłała na korytarz.

– Idź po tosty i sok. Przynieś je na górę – poleca.

– Ale pan powiedział... – zaczyna tamta.

– Ja będę się tym martwić. Rób, co mówię. Szybko. – Kobieta przechodzi do łazienki, skąd wraca ze szklanką wody.

Biorę ją od niej i upijam łyk.

– Dziękuję. – Dotykam dłonią czoła.

– Zraniłaś się.

Mam zakrwawione palce.

– To nic. To tylko draśnięcie. – Spoglądam na swoje nadgarstki w tej samej chwili co ona. Ciekawe, co o mnie myśli? Nowo poślubiona żona z otarciami od liny na nadgarstkach. Rzeczony liny leżą na podłodze pomiędzy nami. Prześcieradło jest zakrwawione.

Czuję, że się rumienię.

Kobieta odchrząkuje, pomaga mi usiąść na łóżku. Staram się ignorować rozmazaną na nim krew. Próbuję nie myśleć o tym, jak mój mąż użył tych prześcieradeł, by mnie wytrzeć.

Wraca dziewczyna. Słyszę, jak nadchodzi. Musi się spieszyć, bo zawartość tacy grzechocze głośno.

– Proszę bardzo – mówi starsza kobieta, zabierając jedzenie i stawiając je na stoliku nocnym.

Zerkam na przewróconą lampę, zauważając, że nie ma w niej żarówki. Rozglądam się po ciemnym pokoju i pozostałościach

po licznych świecach. Czy w całym domu używa się tylko ich? Przecież jest ogromny. Tylko tyle zdołałam wczoraj zauważyć.

Kobieta podaje mi szklankę soku pomarańczowego. Biorę ją z entuzjazmem i wypijam zawartość duszkiem.

– Już lepiej – zapewniam, czując, że podnosi mi się poziom cukru we krwi. – Dziękuję.

Dolewa mi napoju z małego dzbanka. Teraz popijam powoli, spoglądając na tost.

– Proszę coś zjeść. Zaczniemy sprzątanie od drugiego pokoju, a potem tu wrócimy.

– Ale proszę pani... – zaczyna ponownie dziewczyna.

– Cicho bądź – ucisza ją kobieta i przegania z pomieszczenia.

Gdy zamykają za sobą drzwi, odstawiam szklankę, biorę tost, po czym odgryzam kilka kęsów. Następnie wstaję z łóżka, sama zdejmuję pościel, zawstydzona tym, co widziały. Zawijam poszewki w koc, który zostawiam w nogach łóżka. Przechodzę naga do łazienki. Po wzięciu prysznicza poczuje się lepiej. I po ubraniu się. Później pomyślę, co dalej.

Najpierw jednak muszę obejrzeć tatuaż. Staję więc przed lustrem i spoglądam w swoje odbicie. Nie mam nowych siniaków. Nic świeżego poza tym rozcięciem na czole. Na szczęście jest małe i nie boli.

Zawsze tak z nim będzie? Jak na wojnie?

Zdejmuję różaniec, który odkładam na blat, następnie ochlapuję twarz wodą i ją wycieram. Wyciągam z włosów resztę spinek, uwalniając je z ciasnego węzła. Potem unoszę kosmyki i obracam się, by zobaczyć w lustrze plecy. Próbuję dostrzec tatuaż, lecz widzę jedynie zakrywającą go folię.

Przeglądam szuflady w poszukiwaniu jakiegoś lusterka, jednak nic nie znajduję. Będę musiała poprosić, żeby Santiago mi go pokazał. Nienawidzę tego, że zmusi mnie do błagania o każdą najmniejszą rzecz. Ale prawda jest taka, że będę musiała prosić o wszystko.

Kiedy wychodzę spod prysznicza, łóżko jest zasłane, brudna pościel zniknęła, a lampa ponownie stoi na swoim miejscu. W świecznikach umieszczono nowe świece, niektóre z nich się już palą.

Przechodzę do dużej garderoby. Jest po brzegi wypełniona ubraniami. Wszystkie są nowe i w odpowiednim rozmiarze, choć niekoniecznie w moim stylu. Wybieram najprostszy sweter oraz dżinsy. Wkładam je razem z wygodnymi, grubymi skarpetkami. Nie zawracam sobie głowy obuwem – w większości widzę tu szpilki, których nie zamierzam ruszać. Zakładam różaniec, chociaż to trochę trudne. Nagle przypominam sobie słowa Santiaga.

„Myślę, że zrobisz dokładnie to, co każe”.

Sięgam pod sweter, zdejmuję różaniec i odkładam na stolik przy łóżku. Mąż nie może poważnie oczekiwać, że będę nosić coś takiego przez cały dzień.

Chwilę później podchodzę do drzwi i naciskam na klamkę. Spodziewam się, że będą zamknięte, więc nie jestem zaskoczona, gdy okazuje się, że mam rację. Zgaduję, że Santiago nie chce ryzykować tym, że go nie posłucham i naprawdę wyjdę. Kręcę na to głową, po czym cofam się w głąb sypialni. Próbuję zignorować tę część mnie, która odczuwa ulgę, że chociaż jedna możliwość sprzeciwienia się mężowi została mi odebrana.

Kieruję spojrzenie na maskę, którą Santiago włożył do szklanej gabloty znajdującej się na postumencie. Podchodzę do niej i otwieram drzwi. Nie zostały zamknięte na klucz.

Maska jest zarazem brzydka i piękna. Wykonana z metalu. Gdy przyglądam się uważniej, zauważam wygrawerowane na niej czaszki, róże oraz litery składające się w inicjały Socjety – IVI. „V” jest nieco większe, a oba „I” oplatają czaszki i róże. De La Rosa. „Z róży”. To samo muszę mieć wytatuowane na plecach.

Wyciągam maskę, przypominając sobie, jak ciążyła mi na głowie. Ledwo dawałam radę ją utrzymać. Pewnie miało to jakiś związek z seksem. Z tym, jak mnie wziął. Na samo wspomnienie czuję trzepotanie w żołądku. Zastanawiam się, jak coś takiego może mnie podniecać. Ktoś taki jak on.

Ale podnieca. Nie zamierzam się okłamywać. Nie byłam wcześniej z mężczyzną, więc nie mam porównania, lecz wiem, że nigdy nie doszłam tak mocno jak wczoraj. Nawet czując ból

między udami, wciąż jestem pobudzona na samo wspomnienie. Jednak istnieje też druga strona medalu – on również był podniecony.

– Może nie jestem tutaj jedynym słabeuszem, Santiago – mamroczę.

Odkładam maskę z powrotem do gabloty i przesuвам palcami po cienkich łańcuszkach zakończonych krzyżykami, które z niej zwisają. Przypominam sobie zdrowaśki, które wyznaczył mi za karę.

– Świr – mówię w pustą przestrzeń pokoju, podchodząc do dwóch okien.

Nie mogę jednak otworzyć żadnego z nich, bo choć są duże, zostały zabite deskami, którymi wyłożone są też ściany sypialni. Muszę przysunąć krzesło i stanąć na nim, by móc w ogóle spojrzeć na zewnątrz. Zastanawiam się, czy Santiago specjalnie wybrał dla mnie ten pokój. Z pewnością tak. Pozbawi mnie nawet światła słonecznego?

Schodzę ostrożnie z krzesła, a potem przytrzymuję się oparcia, gdy czuję, że się chwieję. Ostatecznie przysiadam na nim. Byłby do tego zdolny. Uwięzi mnie w tej sypialni zupełnie jak w jakimś lochu.

Przecieram twarz dłońmi, po czym wstaję. Chodzę w kółko. Przyglądam się żłobieniom w drewnianych ścianach. Widzę czaszki i róże. Podobnie jak na kolumnach łóżka. Na tych, do których mnie przywiązał. Sypialnia staje się duszna.

Przejrzenie wszystkiego nie zajmuje mi zbyt wiele czasu. Po kilku minutach siadam i czekam.

Santiago nie pojawia się, gdy słońce zaczyna zachodzić. Nie ma go, kiedy zapalam świece. Nie przychodzi długo po tym, jak przebieram się w koszulę nocną, ani wtedy, kiedy burczy mi w brzuchu tak głośno, że można to pewnie usłyszeć z każdego zakamarka w domu.

Jestem wdzięczna, że ostatecznie udaje mi się zasnąć już po tym, gdy oczywistym staje się, że mężczyzna nie zamierza wrócić, nawet by mnie dziś nakarmić.

18 - SANTIAGO

Tuż po zmierzchu Mercedes wyrywa mnie z niespokojnego snu, machając mi filiżanką kawy pod nosem. Siedzi na moim łóżku w obcisłej czarnej sukience, w której przypomina wampirzycę. Wiedziałem, że nie będzie w stanie trzymać się z daleka.

– Co ty wyprawiasz? – Patrzę na nią złowieszczo.

– Opowiadaj.

W ciemnych, obrysowanych czarną kredką oczach kłębi się ciekawość, której siostra nie potrafi ukryć.

– Nie ma nic do opowiadania. – Zrzucam kołdrę, po czym siadam, wskazując jej gestem, by się odsunęła. – Przynajmniej nic, co powinnaś usłyszeć.

– Santiago. – Dąsa się. – Nie drocz się ze mną.

Posyłam jej ostre spojrzenie przez ramię, zauważając, że wpatruje się w tatuaż na moich plecach. Jeszcze go nie widziała. Nie mam w zwyczaju pokazywać wzorów zdobiących moje ciało innym, w szczególności siostrze. Widzę, że jest zaskoczona.

Tatuaż na twarzy wykonałem sam, podobnie te na rękach. Ale nie byłem w stanie wytatuować swoich pleców, bez względu na to, jak bardzo bym tego pragnął.

– Kto go zrobił? – pyta z ciekawością Mercedes, gdy narzucam na siebie koszulę, którą nosiłem ubiegłej nocy.

– Przyjaciół.

– Jest piękny – mruczy siostra.

– To środek do celu.

Moje tatuaże mają swoje przeznaczenie, którym nie jest odstraszenie kogokolwiek, jak sądzą niektórzy. Mogłem to robić sam na długo przed tym, nim na moim ciele pojawiła się choć jedna blizna. Po prostu nie lubię oglądać pozostałości po wybuchu, które zostały wryte na skórze, więc pokrycie ich tuszem stanowiło najlepszą alternatywę.

Wchodzę do garderoby po białą koszulę i czarne spodnie. Mercedes wkurza mnie dalej, dotykając rzeczy znajdujących się w pokoju, przesuwając palcami po kolumnach łóżka,

przyglądając się wszystkiemu uważnie. Szuka dowodu, że moja żona była tu zeszłej nocy. Siostra jest zdeterminowana, by wytknąć wszystkie słabe punkty w moim planie.

– Jest u siebie – informuję. – Od wczorajszej nocy.

– Wiem. – Mercedes uśmiecha się złośliwie.

Mrużę oczy.

– Kiedy wróciłaś do domu?

– Rano. – Wzrusza ramionami. – Prawdopodobnie krótko po tym, jak się położyłaś.

– Mam nadzieję, że nie muszę ci mówić, byś zostawiła ją w spokoju. – Mój głos jest ostry, co nie umyka uwadze siostry, która przygląda mi się badawczo.

– Oczywiście, braciszku. Nie ośmieliłabym się wtrącać.

Teraz to ona się ze mną droczy.

– Mam coś do zrobienia – mówię. – Jeśli zamierzasz węszyć w rezydencji, lepiej schodź mi z drogi. Znajdź sobie jakieś produktywnie zajęcie. Nie powinnaś siedzieć beczynn timer.

– Nie, nie możemy na to pozwolić – rzuca zgorzkniałym tonem. – Starszyźnie by się to nie podobało.

– Mercedes. – Zaciskam zęby.

Przewraca oczami.

– Pójdę do kaplicy. Pomodłę się o wybaczenie za moje liczne ciężkie grzechy.

– Podejrzewam, że potrwa to całą noc – odpowiadam oschle.

Parska śmiechem, po czym zostawia mnie, bym się wykąpał i ubrał. Jest już dość późno, a mam sporo do zrobienia. Od czasu wypadku nie mogę spać w nocy. Często krążę po korytarzach rezydencji albo pracuję, dopóki nie wzejdzie słońce i jestem tak wyczerpany, że udaje mi się zamknąć oczy, by odpocząć.

Zazwyczaj zaczynam dzień w gabinecie na dole. Moja pozycja w IVI opiera się na zarządzaniu funduszami. Kieruję płatnościami, inwestuję zyski, by pomnożyć nasze bogactwo, zarządzam akcjami oraz obligacjami, a także przelewam pieniądze na zagraniczne konta. Rodziny założycielskie Socjety mają bogatych przodków. Od zawsze posiadali pieniądze. Teraz są prawdziwymi bogami wśród zwykłych ludzi. Jest w tym moja niemała zasługa.

Odkąd zająłem miejsce Elia, znacznie podniosłem nasz status. Dobrze radzę sobie z cyferkami. Potrafię cały dzień analizować dane, rozpoznawać wzorce, przewidywać trendy, rozszyfrowywać to, czego inni nie potrafią. Nie mam podobnych zdolności, gdy chodzi o ludzi.

Ivy Moreno jest dla mnie równaniem abstrakcyjnym. Wydaje się, że brakuje zmiennej, która pozwoliłaby mi ją rozszyfrować. Miałem wiele wyobrażeń na temat tego, jaką dziewczyną się okaże, ale jak na razie obaliła wszystkie moje teorie. Odczuwam palącą potrzebę, by analizować ją, dopóki nie złamię jej szyfru i nie odkryję wszystkich zenujących sekretów.

To pragnienie mnie niepokoi. Mimo wszystko nie mogę się okłamywać, że nie istnieje. Zwłaszcza że kiedy wychodzę z sypialni, zapominam o gabinecie. Zamiast do niego kieruję się do jej pokoju. Praca będzie musiała poczekać, dopóki na nią nie spojrzę. Uznaję to za logiczne ustępstwo.

Przekręcam klucz. Drzwi skrzypią, gdy je otwieram. Wita mnie kilka gasnących płomieni świec, w sypialni panują cisza oraz spokój. Blask księżyca wpada przez okno, oświetlając nieruchome, leżące na wielkim łóżku ciało Ivy. Podchodzę bliżej, by się jej przyjrzeć. Zauważam ciemne włosy rozsypane na jedwabnej poduszce i to, że dziewczyna śpi zwinęta w kłębek. Nawet we śnie sprawia wrażenie udręczonej. Niezmiernie intryguje mnie, jakie są tego przyczyny. Oczywiście poza mną. Jestem pewien, że coś jeszcze nawiedza jej sny. Ale nie wiem, co to może być.

Siadam obok niej na materacu. Nie porusza się, nawet kiedy odsuwam jej kosmyk włosów z twarzy. Jest piękna. Muszę to przyznać. Na samo wspomnienie tego, jak zaciskała się na mnie ubiegłej nocy, czuję, że materiał spodni napina się w kroku. Jej ciało płonęło, chociaż ze wszystkich sił starała się temu oprzeć.

Pozostaje pytanie dlaczego. Dlaczego wyszła za mnie bez walki? Dlaczego oddała mi się tak ochoczo? Musi istnieć jakiś powód. Niewiedza będzie mnie zżerać od środka, jeśli go nie odkryję.

Ivy mamrocze coś przez sen, po czym przyciska palce do brzucha, jakby ją bolał. Marszczę brwi i nieświadomie

wyciągam rękę, by jej dotknąć. Zdaję sobie sprawę z tego, że to zrobiłem, dopiero kiedy kładę dłoń na jej dłoni.

Chłód mojej skóry straszy ją i budzi.

Dziewczyna z trudem łapie powietrze, otwierając oczy.

– Santiago – wypowiada moje imię niczym przekleństwo.

Siada, podciąga kolana do piersi, patrząc na mnie z niewinnością, którą staram się gardzić. Jednak gdy dostrzegam rozcięcie na jej czole, przepływają przeze mnie emocje, których nie potrafię nazwać.

– Co się stało? – Wyciągam rękę, ale Ivy schyla głowę.

Nie wzdryga się, kiedy dotykam palcami jej skóry. Nie zamyka oczu ani nie drży. Zamiast tego bierze płytki oddech, jakby się broniła. Przypuszczam, że zgrywa odważną. Próbuje udowodnić, że się nie boi. Jej milczenie gra mi na nerwach.

Desperackie pragnienie, by dowiedzieć się, kto ją skrzywdził, zżera mnie od środka.

– Ivy. – Mój ton jest ostry, przez co w końcu się wzdryga. – Powiedz mi.

– Nie udawaj, że cię to obchodzi. – Odsuwa się gwałtownie, patrząc na mnie oczami pełnymi łez. – Jakie to ma znaczenie? Jesteś największym hipokrytą, jakiego w życiu spotkałam. Głodzisz mnie cały dzień, po czym przychodzisz tu i zachowujesz się, jakbyś przejmował się małym zadrażnieniem.

Krzywię się.

– Głodzę cię?

Jej wargi drżą, gdy odwraca wzrok.

– Nienawidzisz mnie. Widzę to w twoich oczach. Nie wiem, dlaczego chcesz, abym tu była. Żeby mnie torturować? Więc dalej, pokaż, na co cię stać. Pokaż, jaki jesteś okropny.

Powinienem to zrobić. Ponieważ ma rację. Nienawidzę jej. Bardziej niż mógłbym przypuszczać, że mogę kogokolwiek nienawidzić. Mimo tego nie potrafię się zmusić, by jej to teraz udowodnić. Nie mogę pozwolić, żeby pyskowanie Ivy przeszło bez konsekwencji. Istnieje wiele sposobów, na które pokażę jej swoje okrucieństwo. Ale będzie nosić moje dziecko, więc jeśli myśli, że zamierzam ją głodzić, jest w błędzie.

– Powiedz, co dziś zjadłaś. – Ujmuję jej podbródek, zmuszając, aby na mnie spojrzała.

Przygląda mi się, jakbym się z nią droczył.

– Znasz odpowiedź na to pytanie.

– Powiedz – warczę.

Wierci się, desperacko próbując trzymać się swojego uporu, ale wpojono jej pewne wartości. Wie, że ma za zadanie zadowolić męża.

– Zjadłam tylko to, co mi przynieśli! – syczy. – Tost i sok pomarańczowy. Czy to ci odpowiada, panie ciemności?

Ściskam jej podbródek, aż się wzdryga. Gdy uświadamiam sobie, jak mocno ją trzymam, luzuję chwyt i zamykam oczy, próbując się pozbierać.

– Przynieśli ci dziś tylko jeden posiłek?

Milczy przez chwilę, nim odpowiada, tym razem łagodniej:

– Tak.

– To błąd – odpowiadam groźnie, po czym ją puszczam.

* * *

Moje ciężkie kroki budzą gospozię, zanim docieram do jej drzwi. Gramoli się z łóżka, zasłaniając kołdrą, gdy światło z korytarza oświetla wnętrze pokoju. Nigdy nie przychodziłem do tej części rezydencji, więc wie, że coś się stało.

– Panie De La Rosa – mówi zdenerwowana. – Wszystko w porządku?

– Nic nie jest w porządku.

Podchodzę do niej szybko, aż zatacza się do tyłu, niemal potykając o kołdrę, którą przyciska do siebie bladymi dłońmi. –

Chodzi o jedzenie, prawda? – Wzdryga się. – Och, proszę, okaż litość. Błagam cię.

– Litość? – wyrzucam z siebie to słowo z taką gwałtownością, że gospościa zaczyna się trząść. – Jaką litość powinienem okazać kobiecie, która nie potrafi wypełnić najprostszego zadania, jakim jest nakarmienie mojej cholernej żony! Łzy ciekną jej po policzkach, gdy drży mocniej, zaprzeczając wszystkiemu.

– Ale to przecież pański rozkaz! Wiem, że nakarmiłam ją wbrew pana woli, ale było jej słabo, po prostu nie mogłam... Biorę gwałtowny wdech, próbując się uspokoić.

– Panie, proszę – łka. – Nie chciałam się sprzeciwić.

Odwracam się od niej i przesuвам dłonią po twarzy. Nienawidzę, gdy mnie tak nazywa. Cholera. Znam ją od zawsze. Naprawdę nie chcę widzieć, jak płacze. Okazała mi dobroć, gdy wielu innych tego nie robiło. Opatrywała moje rany, karmiła i nigdy nie patrzyła na mnie jak na kogoś odrażającego, nawet w najgorszych czasach.

Przeczenie podpowiada mi, że to nie jej wina. Nie byłaby zdolna do takiej zdrady. Przez chwilę żałuję, że nie potrafię wyrazić swojej sympatii. Sytuacja bardzo się zmieniła, odkąd wróciłem ze szpitala. Moje nieprzewidywalne nastroje oraz surowe żądania sprawiły, że personel krząta się po domu niczym myszy kościelne, starając się pozostać niesłyszalnym i niewidocznym. Służący nie wiedzą, co sądzić o oziębłym samotniku, który tamtej nocy wyszedł z płomieni. Jestem pewny, że widzą we mnie wyłącznie potwora, którym teraz jestem.

– Powiedz mi, dlaczego moja żona dostała dziś tylko jeden posiłek. – Odwracam się powoli, obserwując, jak Antonia zasłania oczy kołdrą. Bierze drżący wdech, otrząsa się i kiwa głową.

– Panna Mercedes przyszła do mnie rano z instrukcjami – mówi łagodnie. – Powiedziała, że to pan je wydał. Zrobiłam, co mi kazano, proszę pana.

„Mercedes”.

Robi mi się ciemno przed oczami, gdy kiwam głową.

– Wyrażę się jasno, Antonio. Zdrowie mojej żony jest priorytetem, dopóki nie powiem inaczej. Oznacza to, że wszystkie polecenia dotyczące Ivy będą pochodziły bezpośrednio ode mnie. Będzie jeść, kiedy zgłódnieje, liczę, że zadbasz też o jej pozostałe potrzeby.

Ramiona gospośni opadają z wyraźną ulgą.

– Tak, panie.

Krzywię się, kręcąc głową.

– Od teraz mów do mnie po imieniu, na litość boską. Znasz mnie, odkąd nosiłem pieluchy.

Unosi brwi w zdumieniu.

– Ale co, jeśli pozostali usłyszą, że się tak do ciebie zwracam, panie? To niewłaściwe.

– Do diabła z tradycją. – Macham nonszalancko ręką. – Nie jestem moim ojcem. Możesz im powiedzieć, że masz na to moją zgodę. Nie chcę słyszeć ani słowa sprzeciwu w tym temacie.

– Tak, Santiago. – Na jej ustach pojawia się mały, delikatny uśmiech. – Czy mogę coś powiedzieć?

Przechylam głowę, by się jej przyjrzeć.

– Co takiego?

– Pani De La Rosa jest bardzo piękna. Dobrze wybrałeś.

Czuję, że kącki moich ust unoszą się lekko, nim potakuję szorstko.

– Dziękuję, Antonio. A teraz, proszę, idź do niej.

* * *

Pomimo zapewnień Mercedes, że znajdzie sobie jakieś pożyteczne zajęcie na wieczór, odnajduję ją przed komputerem w bibliotece, gdzie sprawdza możliwości swojej karty kredytowej, kupując markowe ubrania.

Kiedy słyszy kroki, niemal spada z krzesła, po czym pospiesznie wstaje, by mnie powitać. Widzi w moich oczach, że nie jestem zadowolony.

– Santiago – mówi błagalnie, gdy do niej podchodzę.

Owijam palce wokół jej szyi dostatecznie mocno, by zaczęła się dławić.

– Co ty, do cholery, myślisz, że robisz?

– Dbam o twoje interesy – wydusza. – Pozwalasz jej wejść sobie na głowę. Dajesz jej cały apartament. Suknię. Pierścionek. Tę rezydencję. Powinna siedzieć zamknięta w piwnicy, gdzie ogrzewały ją jedynie wstyd za jej rodzinę.

Odpycham siostrę z prychnięciem.

– Bardzo łatwo zapominasz, gdzie twoje miejsce.

– Moje miejsce jest u twego boku jako równej tobie. – Pociera gardło. – Jesteśmy De La Rosami. Nasza krew jest potężniejsza niż kogokolwiek innego. To dlatego przetrwałeś, Santi. By nas poprowadzić. Jestem tu, by ci pomóc.

– Jesteś tu, aby wchodzić mi w drogę.

Przemierzam pokój, czując rozdarcie. Może Mercedes ma rację. Pozwalam Ivy wchodzić sobie na głowę. Rozumiem, czemu siostra doszła do takiego wniosku – w końcu podarowałam żonie wiele wspaniałych rzeczy. Ale mam plan i wierzę, że nic go nie zakłóci. Moja siostra nie powinna podważać żadnej ze stosowanych przeze mnie metod. Muszę jej to dać jasno do zrozumienia. – Zdradź mnie raz jeszcze, a nie spodobają ci się konsekwencje – ostrzegam ostrym tonem. – Na razie, możesz przyjąć karę z godnością.

– Karę? – Przygląda mi się z niedowierzaniem.

Zabieram jej portfel od Gucciego oraz komórkę z biurka, po czym chowam je do kieszeni. Doskakuje do mnie z przerażeniem widocznym na twarzy.

– Nie! Nie możesz mi tego zrobić.

– Odzyskasz je, kiedy okażesz chęć poprawy. Może wyjdzie ci to na dobre.

Zaciska zęby. Widzę, że już planuje zemstę.

– Nie rób żadnych głupot, Mercedes – ostrzegam groźnie. – Nie spodobają ci się konsekwencje, jeśli nadal będziesz wystawiać moją cierpliwość na próbę.

19 - SANTIAGO

Gdy wracam do pokoju, Ivy właśnie kończy lekki posiłek, który przygotowała Antonia. Na stoliku palą się nowe świece, jest jaśniej niż wcześniej. Za to rana na czole dziewczyny wygląda gorzej. Nie podoba mi się, że tak mnie to niepokoi.

– Jak się skaleczyłaś. – Patrzę na nią. – Jak do tego doszło?

Wyciera palce w serwetkę, następnie odkłada ją na tacę. Opuszcza wzrok. Widzę, że nadal stara się zachować swoje sekrety. Nie pozwolę na to, powinna być już tego świadoma.

– Ivy. – Dbam, by w moim głosie dało się słyszeć ostrzeżenie, choć jednocześnie delikatnie gładzę właśnie jej kark palcami. – Potknęłam się i upadłam.

Niemal natychmiast łączę to z omdleniem, o którym wspomniała Antonia. Przypominam sobie również siniaki na jej ciele. Oraz niechęć, by o nich mówić. Obwiniła za nie lekarza, który jest następną sprawą, jaką muszę załatwić. Podejrzewam jednak, że chodzi tu o coś więcej.

– Dlaczego potknęłaś się i upadłaś?

Bawi się ręką czarnej jedwabnej koszulki nocnej, którą dla niej kupiłem.

– Bo tak czasami mam.

W przytłumionym świetle wygląda na jeszcze bardziej delikatną niż kiedykolwiek. Być może to dlatego unoszę jej podbródek, by zobaczyć malujące się na twarzy emocje i spróbować je zrozumieć.

– Nie możesz mieć przede mną żadnych sekretów. – Pieszczę jej skórę, aż zamyka oczy i drży lekko. – Dlatego dowiem się, o co chodzi. Możemy to zrobić w prosty lub trudny sposób. Wybór należy do ciebie.

– Mam uszkodzony błędnik – przyznaje niechętnie Ivy. – Czasem odczuwam zawroty głowy. Obraz rozmazuje mi się przed oczami albo tracę równowagę. To defekt, na który nie mam wpływu.

Uważnie analizuję jej słowa, skupiając się na określeniu „defekt”, którego użyła z wyraźną pogardą. Sądzi, że jest wadliwa. Najpierw oko, a teraz to. Wiedza na ten temat

przynosi dziwne poczucie satysfakcji. Fakt, że Ivy zdradziła mi tak intymny sekret, oraz świadomość, że się go wstydzi, są jak balsam na moje blizny. A nie powinny.

Zabieram dłoń, przez co na mnie zerka.

– Cóż, musimy więc bardziej na ciebie uważać – mówię złowrogo. – Nie spodziewałem się, że jesteś taka... krucha.

Jej spojrzenie się wyostrza. Zostawiam dziewczynę, by gotowała się we własnym gniewie, i przechodzę do łazienki po rzeczy, których potrzebuję. Gdy wracam, wciąż siedzi przy stoliku, patrząc na ręce ułożone na kolanach.

– Pora oczyścić tatuaż – informuję.

Ivy prostuje się, próbując znów na mnie spojrzeć, ale staję za nią i odsuwam ciemne włosy na jedno ramię. Przeszywa ją dreszcz, kiedy obracam jej głowę, zmuszając, żeby patrzyła przed siebie.

Powoli zdejmuję opatrunek. Używam chusteczki antybakteryjnej do przemycia tatuażu, walcząc z dziwnym pragnieniem, żeby dotknąć symbolu mojej władzy nad Ivy. To herb mojej rodziny. Czaszka w koronie i skrzyżowane piszczele otoczone różami oraz rewolwerami. Znak ten nie pozostawia wątpliwości, do kogo dziewczyna należy. Oglądanie go na jej ciele działa na mnie bardziej, niż sądziłem, że będzie.

Ivy robi wdech, gdy myję ją z delikatnością, której z pewnością po mnie nie oczekiwała. Niemal mówię jej, że nie robię tego ze względu na nią, a po to, by dobrze się zagoiło.

Kiedy kończę, nakładam balsam, wcierając go w skórę, aż dziewczyna pochyla głowę, jakby chciała pokazać, że odczuwa przyjemność, gdy dotyka jej potwór. Masuję ją dłużej niż to konieczne, następnie wycieram dłonie.

Mam dziś jeszcze coś do zrobienia, a czuję, jakbym już zostawał w tyle. Ale wypada mi to z głowy, gdy przesuwam dłonią w dół ramienia Ivy, aż docieram do koszuli nocnej i klatki piersiowej dziewczyny. Ivy zamyka oczy, przysuwając się bliżej. Nie ma pojęcia, jak na mnie działa, gdy tak się wtula. Również przymykam powieki, nienawidząc jej za to, że tak kusi. Nienawidząc jej za nazwisko. Za krew. Za słodycz, którą pragnę chłonąć, nawet jeśli mnie zatruwa.

Przesuwam wolną ręką po szyi Ivy, sięgając do różańca, ale go nie znajduję. Dziewczyna napina ramiona. W tym samym momencie spoglądamy sobie w oczy. Moje spojrzenie na pewno jest mroczne i wygłodniałe, w jej dostrzegam przerażenie.

– Santiago – szepcze.

Łapię ją za podbródek i zamykam jej usta. Przełyka głośno ślinę, a ja pochylam się do niej, nasze wargi dzielą milimetry.

– Zaczynam myśleć, że lubisz moje kary, droga żono.

20 - IVY

Bez wahania stawia mnie na nogi. Cała delikatność, którą okazywał mi przed chwilą, zniknęła, jakby nigdy jej nie było. Jakbym ją sobie wyobraziła.

– Santiago. – Trzyma moją rękę, wyginając ją pod dziwnym kątem, po czym zabiera różaniec ze stolika nocnego i wyprowadza mnie z pokoju. Jego kroki są ciężkie, podczas gdy moje cichutkie. – Krzywdzisz mnie.

– Mam w sobie sporo cierpliwości, ale ty nie potrafisz nawet wykonać prostego polecenia.

Spieszmy przez dom. Próbuję nadążyć za mężem, jednocześnie chłonąc otoczenie: zacienione korytarze, słabo oświetloną przestrzeń, bogato zdobione dywany i zasłony oraz misternie rzeźbione drewno. Dom wygląda jak wyjęty ze starych filmów o wampirach.

– Zwolnij – proszę, ślizgając się na schodach.

– Przyspiesz – odpowiada, łapiąc mnie, nim upadam.

Poza nami nikogo tu nie ma, przez co zastanawiam się, która godzina. Widzę jedynie, że na dworze jest ciemno, jeśli nie liczyć słabej poświaty dawanej przez księżyc.

– Dokąd idziemy? – pytam, gdy przechodzimy przez dużą kuchnię, również pogrążoną w mroku i wyglądającą na zabytkową, bo chyba tylko sprzęty pochodzą z obecnego wieku.

Santiago otwiera drzwi i już ma wyjść, gdy spogląda na moje bose stopy.

– Czy ty kiedykolwiek nosisz buty? – rzuca.

Nie czeka na odpowiedź, to było chyba zresztą pytanie retoryczne. W okamgnieniu mężczyzna przerzuca mnie przez ramię, aż cienka koszulka nocna podjeżdża mi na udach i chłodny wiatr owiewa moje gołe nogi.

Wiercę się w tym uścisku, rozglądając się dookoła. Dom jest jeszcze większy, niż zakładałam. Ma cztery piętra i wieżyczki, które chowają się w oparach mgły. Po ścianach budynku pnie się gęsty bluszcz. Środek muru zdobi duże łukowe okno witrażowe, które otaczają okiennice, tworząc ozdobny okrąg.

Nie, to nie okrąg.

Róża.

Okiennice układają się w płatki róży.

De La Rosa. „Z róży”.

W jednym z okien na piętrze pali się światło, ale to osobna część domu. Za żeliwną kratą dostrzegam ruch. Kobięcą sylwetkę. Gdy nieznajoma nas zauważa, odsuwa zasłonę i jawnie nam się przygląda.

W następnej chwili słyszę skrzypienie ciężkich drzwi, a gdy te się otwierają, czuję zapach, jaki zwykle unosi się w kościele. Obracam głowę, by rozejrzeć się po małej kaplicy, kiedy Santiago zamyka za nami i stawia mnie na podłodze. Przyglądam się ławkom, jest ich sześć, zostały ustawione po obu stronach nawy i wykonane z drewna. Klęczniki nie mają poduszek, w dwóch ławkach leżą zniszczone Biblie. Z tyłu w lewym rogu dostrzegam dużą, bogato zdobioną chrzcielnicę. Zrobiono ją z tego samego materiału co ołtarz. W drugim kącie znajduje się prosty konfesjonał. W miejscu drzwi wisi czerwona aksamitna zasłona, która daje spowiadającemu się poczucie prywatności.

Santiago kieruje się do ołtarza. Nie zatrzymuje się, by wykonać znak krzyża. Nie kiwa głową, jak uczyły nas zakonnice. Zastanawia mnie to. Czy jest wierzący? Fascynuje go religia, tak mi się wydaje. Choć w sumie sama nie wiem. Po tym, co zrobił wczoraj, jak pochylił mnie w kaplicy, świętym miejscu, jak lał mi na biodra воск z kościelnych świec... Pobożny człowiek na pewno nie zrobiłby czegoś takiego. No i jeszcze ten różaniec. Dlaczego dał mi go w noc poślubną? Czemu tak się rozżłościł, kiedy zauważył, że nie wisi na mojej szyi?

Mężczyzna nie unosi głowy przy ołtarzu, żeby spojrzeć na ukrzyżowanego Chrystusa. Zamiast tego bierze pudełko zapalek i zapala kilka świec. Zauważam, że nad tabernakulum świeci się czerwona lampka. Zastanawiam się, kto zarządza tym miejscem. Czy jest tu ksiądz czy tylko Santiago.

Myślę o kobiecie w oknie.

– Czy twoja siostra tu mieszka? To znaczy w rezydencji?

Kończy zapalać świece i zdmuchuje zapalę, a ja w tym czasie przyglądam się dwóm fotografiom ustawionym po obu

stronach ołtarza. Dziwne miejsce, by stawiać zdjęcia, ale to chyba jego ojciec i brat. Podchodzę bliżej, wydaje mi się, że mam rację. Przypominam sobie, że widziałam ich kilka razy, poza tym dostrzegam podobieństwo.

Kiedy z powrotem zerkam na Santiaga, odkrywam, że mi się przygląda, więc odwdzięczam się tym samym. Patrzę na jego blizny. Tatuaż na twarzy. Następnie znów zerkam na zdjęcia.

Wyszedł z tego wypadku naznaczony bliznami, ale żywy. Oni zginęli.

Zalewa mnie czułość, której nie potrafię opisać. Nie wiem, co to jest. Czemu ma znaczenie. Nie wiem, czy chodzi o wyraz jego oczu. Samotność, którą okrywa się niczym płaszczem. Nie, to jego druga skóra. Nikt nie może mu jej zdjąć. Stąd ta brutalność?

Wyjmuje różaniec z kieszeni, kładzie go na ołtarzu, następnie schyla się do ustawionej pod nim skrzyni.

– Rozbierz się, Ivy – mówi, nawet na mnie nie patrząc.

Moje serce gubi rytm.

– Co?

Zerka za siebie, nadal grzebiąc w skrzyni.

– Rozbierz się i uklęknij.

– Jesteśmy w kościele.

Przerywa, odwraca się do mnie i parska śmiechem, po czym kręci głową, wracając do swojego zajęcia.

– Rozbierz się i uklęknij. Nie powtórzę ponownie.

Zerkam na drzwi. Nikt tu chyba nie wejdzie. Potem odwracam się do ołtarza. Do Chrystusa. Jeśli nie liczyć ślubu, nie byłam w kościele, odkąd opuściłam dom. Mówiłam ojcu, że chodzę co tydzień, ale nie robiłam tego. Tak samo długo się nie spowiadałam. Czy ja w ogóle jeszcze wierzę w Boga? Sama nie wiem.

– Ivy.

Zdejmuję koszulę nocną, drżąc z zimna, po czym odkładam ją na oparcie najbliższej ławki. Santiago odwraca się w chwili, gdy zsuwam majteczki, które zostawiam na koszuli. Patrzę mu w oczy. Ciemnieją, kiedy pochłania mnie wzrokiem. Widzę w nich głód. Nienasycenie.

Moje ciało również je czuje. A może pamięta jego dotyk. Tamten orgazm, bo sutki mi twardnieją, a między udami zbiera się wilgoć.

Opadam na kolana, patrząc ponad Santiagiem na ołtarz. Na to, co na nim kładzie. Zaciska mi się żołądek. Znam tę niewinnie wyglądającą trzcinkę z lat spędzonych w szkole katolickiej. Drewnianą packę również, choć na szczęście nigdy jej nie poczułam. Ale trzcinka... Była ulubionym narzędziem tortur siostry Marii Antoniny.

Są tam też inne rzeczy. Krótki skórzany pasek. Kolejna gruba trzcinka. Więcej pacek. Nie wyglądają na nowe. Właściwie to wydają się często używane.

Z trudem przełykam ślinę, wracając spojrzeniem do męża.

Przygląda mi się uważnie przez długą minutę, panuje obejmująca cisza. Powietrze w tym pomieszczeniu wydaje się niezwykle gęste.

Jakby czytając mi w myślach, Santiago odwraca się z powrotem do swojej kolekcji, po czym wybiera długą, giętką trzcinkę, do tego łapie różaniec, a później do mnie podchodzi. Przechyla głowę, stukając końcówką trzcinki w moje splecione dłonie. Nawet nie zauważyłam, że złączyłam je jak do modlitwy.

– Nawyk – mówi.

Potakuję, chociaż to nie było pytanie.

Santiago zakłada mi różaniec na szyję. Koraliiki wydają się chłodne, każdy z nich trochę waży.

– Nie chodzisz do kościoła. Nie byłeś na mszy od ponad pół roku – rzuca.

– Skąd wiesz?

– Myślisz, że nie posłałem kogoś, kto by cię obserwował?

Krąży wokół mnie, a ja obracam głowę, raz w prawo, raz w lewo, by za nim nadążyć.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pytam.

– Ponieważ wiedziałem, że pewnego dnia będziesz moja. – Nadal chodzi w kółko.

– Skąd ta pewność?

– Zostawmy to na następny raz. – Znów przede mną staje. – Boli? Klęczenie tu?

Przytakuję.

– Podoba ci się to? – drąży.

Kręcę głową.

– Jesteś mokra?

Nie odpowiadam. Santiago uśmiecha się i znów zaczyna chodzić w kółko.

– Jeśli zamierzasz mnie ukarać, po prostu to zrób i miejmy to za sobą – mamroczę.

Słyszę świst, a chwilę później opieram się rękami o podłogę, kiedy podeszwy stóp zaczynają palić żywym ogniem. Łzy ciekną mi z oczu, przez moment nie mogę nabierać powietrza w płuca. Santiago kuca za mną. Wciąż walczę o oddech, gdy owija różaniec wokół pięści, a potem ciągnie moją głowę do tyłu, do swojego torsu.

– Nie ty wydajesz tu polecenia.

Ściskam jego przedramię, mój oddech jest urywany, klatka piersiowa unosi się gwałtownie i opada. Jeszcze chwilę temu uważałam go za łagodnego, delikatnego wręcz. Niemal. W końcu gdy dowiedział się, że nie jadłam, zasmucił się. Gdy opatrywał tatuaż, był bardzo ostrożny. Gdy wsunął dłoń pod moją koszulkę i pieścił pierś, nawet się do niego przysunęłam.

– Podobało ci się to? – pyta.

Kręcę głową.

– Nie.

Przesuwa dłoń, w której trzyma trzcinkę, między moje nogi, po czym przyciska ją mocno do ciała. Wyobrażam sobie, jak wyglądam – klęcząc przed ołtarzem, wygięta do tyłu, z rozłożonymi kolanami, całkowicie odsłonięta.

– Ale jesteś mokra.

Nie wiem, czy robi to specjalnie, jednak dotyka teraz końcówką trzcinki mojej cipki.

– Tu nie chodzi o twoją przyjemność, Ivy – ciągnie, wycierając mokrą dłoń o mój brzuch, gdy wstaje.

– Proszę, nie – mówię, nie potrafiąc się powstrzymać.

Sięgam, by zakryć tyłkiem stopy, ponieważ wciąż czuję pieczenie po uderzeniu. W szkole dostałam lanie tylko raz, ale w niczym nie przypominało to obecnej sytuacji.

– Tak lepiej, podoba mi się to „proszę” – stwierdza Santiago. – Złóż ręce do modlitwy i uklęknij.

– Proszę. – Wykręcam się, żeby na niego spojrzeć.

Unosi brwi, czekając, aż spełnię polecenie. Robię to, przygotowując się na kolejne uderzenie.

– Będziesz to jutro czuć przy każdym kroku – mówi.

Patrzę przed siebie na ołtarz, łzy zamazują mi obraz.

– Wiesz, czego oczekiwał ode mnie ojciec? – pyta, ponownie zaczynając krążyć.

Potrząsam głową, pociągając nosem. Nie jestem pewna, co jest gorsze – oczekiwanie na uderzenie czy sam cios trzcinką.

Santiago zatrzymuje się przede mną, przyglądając mi się, po czym wsuwa narzędzie tortur między moje nogi.

Zamieram.

– Więcej niż mogłem dać – oznajmia, zabierając ją. – Spędziłem niezliczone godziny na twoim miejscu i mogę cię zapewnić, że nie płakałem, gdy zostawiał ślady na moich plecach. Nawet nie pisnąłem, kiedy podeszwy stóp płonęły, a rany otwierały się przy każdym kroku.

Opada mi szczęka. Zerkam na stojące na ołtarzu zdjęcie surowego mężczyzny, przyglądam mu się uważnie. Próbuje sobie wyobrazić młodego Santiaga klęczącego w tym miejscu. Rozmyślam o moim ojcu, który nigdy nie podniósł na mnie ręki. Przypominam sobie kary matki – nieprzemyślane, zawsze impulsywne. Chwilowy, niekontrolowany wybuch gniewu niezadowolonej kobiety.

– Przykro mi – szepczę, kiedy znów przede mną staje. – Będę go nosić. Jak kazałeś.

Przechodzi za mnie.

– Proszę, nie – błagam.

Wykorzystuję całą siłę woli, by się nie poruszyć, klęczeć i się nie zakryć.

– Pochyl się i oprzyj ręce na podłodze – rozkazuje Santiago.

Zerkam za siebie, ale po chwili spełniam polecenie. Kładę dłonie na posadzce, odsłaniając się przed nim. Ból, który z pewnością nadejdzie, przyćmi upokorzenie.

Kiedy mężczyzna wsuwa mi trzcinkę między nogi, szlocham, jednak nie uderza. Klepie mnie tylko, żebym rozsunęła uda szerzej. – Tak, właśnie tak – mówi, kiedy znajduję się w takiej pozycji, jakiej oczekiwał. Jestem pewna, że wszystko dokładnie widzi. – Nie ruszaj się.

Słyszę, że odchodzi, więc zerkam do tyłu. Santiago zostawia trzcinkę w przejściu, a sam zajmuje miejsce w ławce. Siada i zaczyna mnie obserwować.

Zostajemy tak dłuższą chwilę, chociaż posadzka pod moimi dłońmi i kolanami jest zimna, a pot kapie mi z czoła, gdy czekam, aż Santiago wykona kolejny ruch. Przysięgam, że mija wieczność, nim to robi. Wstaje w końcu, a ja wzdycham z ulgą, gdy podchodzi do mnie bez trzcinki. Klęka za mną, po czym łapie za biodra jedną ręką, w czasie gdy drugą przesuwam w górę moich pleców. Następnie zaciska ją na karku, który wciąż boli od tatuażu. Mąż wplata mi palce we włosy, dotykając skóry głowy. Wiem, czego chce, więc opieram się na przedramionach i przykładam czoło do zimnego kamienia. Wtedy słyszę, że rozpina rozporek. Wbijam paznokcie w wąskie szczeliny między dużymi kamieniami, by się przygotować.

Później Santiago łapie mnie obiema dłońmi za biodra, rozszerza mi bardziej kolana i zaciska palce na skórze. Zamykam oczy, czując go przy swoim wejściu. Pragnę tego. Czuję, jak to pragnienie wylewa się na wewnętrzną stronę moich ud. Wiem, że on również je widzi i odczuwa. Kiedy we mnie wchodzi, robi to jednym ruchem. Nie potrafię powstrzymać jęku. Wykorzystuję całą swoją silną wolę, żeby trzymać czoło przy podłodze. Santiago wciąż trzyma moje biodra. Nie czuję jego dotyku tam, gdzie chcę tego najbardziej. Wiem, że to kara. Dzisiaj jedynie on zazna przyjemności. Wykorzysta mnie do własnej rozkoszy. A ja to zniosę.

Kiedy nasze oddechy stają się nierówne, a jego pchnięcia szaleńcze, czuję, jak fiut mu pulsuje. W następnej chwili zostaje pociągnięta za kark do góry, przez co zmieniają się doznania. Przydusza mnie teraz różańcem owiniętym wokół jednej pięści, a palce drugiej wciąż wbija mi w skórę. Znajdują się tak blisko lechtaczki, tak blisko epicentrum mojej rozkoszy... Gdy

dochodzi, obejmuje mnie i trzyma tak mocno, że przez chwilę nie mogę oddychać. Gorące nasienie wypełnia moje wnętrze. Wciąż nie jestem w stanie złapać tchu. Później Santiago puszcza różaniec i przestaje miażdżyć mi żebra. Przygryza mi ucho ostrymi zębami, mimo to nadal odczuwam pobudzenie. Nawet kiedy ze mnie wychodzi, a jego sperma spływa mi po udach, ciągle go pragnę.

Dlatego gdy wreszcie się odsuwa i przenosi dłoń na moją cipkę, po czym dociska kciuk do twardej łechtaczki, dochodzę. Ot tak, doznaję spełnienia. Szczytuję. Jego nasienie wycieka ze mnie i kapie na posadzkę kościoła. Orgazm trwa i trwa, kiedy dotyka mnie ręką, w której trzymał trzcinkę, i przypominam sobie, co powiedział mi wczorajszej nocy.

Należę do niego.

21 - SANTIAGO

Ivy milczy, idąc za mną korytarzem. Stąpa ostrożnie, odczuwając każdą cząstkę swojej kary, ale się nie skarży.

Kłębią się we mnie dziwne emocje. Jestem doskonale świadom bólu, który na pewno towarzyszy dziewczynie. Ile razy sam byłem na jej miejscu? Sądziłem, że obserwowanie, jak cierpi w sposób, który tak dobrze znałem, przyniesie mi satysfakcję. Lecz fakt, że się nie rozplakała, tylko wytrzymała w milczeniu, nie dał mi tego, na co liczyłem.

Chcę się w niej zanurzyć raz jeszcze i znowu. Poczuć jej ciepło, zaciskając się na mnie cipkę. Co chwilę wpadam na nowe sposoby, na jakie mogę ją wziąć. Wieczność nie wydaje się wystarczająco długa, by ich wszystkich spróbować. Kiedy jednak zamykam za nami drzwi jej sypialni, przypominam sobie, że nie zostanie tu tak długo.

Ivy zatrzymuje się na dywanie, obserwując mnie niepewnie, przez co wydaje się jeszcze drobniejsza niż w rzeczywistości. Giętka, mała lalka.

Zaciskam zęby, przyglądając się jej. Rozważam, ile potrwa, nim się złamie. Kiedy stanie się tak nieszczęśliwa przez to, że musi mnie oglądać każdego dnia oraz czuć mój dotyk na swoim ciele, że postanowi położyć temu kres?

A może to ja pierwszy się złamię i ją zabiję?

Może tak będzie łatwiej. Czyż nie powinienem zrobić tego już na początku? Mógłbym zacisnąć dłonie na jej gardle i zaciskać je, dopóki światło w oczach dziewczyny nie zgaśnie. Nie byłoby wtedy żadnych wątpliwości. Wszystko by się skoczyło. Ta dziwna, nowa udręka, którą czuję, umarłaby razem z moją żoną.

Nawet myśl o tym nie satysfakcjonuje mnie tak, jak powinna.

Przesuwam palcami po włosach, zaczesując je do tyłu. Cisza w pokoju trwa już zbyt długo, napięcie między mną i Ivy wyraźnie gęstnieje. Patrzy na mnie, jakby nie wiedziała już, czego się spodziewać.

– Usiądź. – Wskazuję na krzesło, które wcześniej zajmowała.

Spełnia polecenie. Różaniec wiszący na jej szyi wygląda jak piękna obroża. Jest ciężki i wiem, że to czuje. Chcę, żeby myślała o mnie przy każdym kroku. Pamiętała, jaką mam nad nią władzę.

Staję za nią i wyglądam jej włosy. Przeszywa ją dreszcz, ale nie próbuje na mnie spojrzeć, tylko patrzy przed siebie. Szybko pokazuje, że potrafi być posłuszna. Na stoliku wciąż leży apteczka, więc sięgam do niej i wydaję wodę utlenioną. Delikatnie naciskam podbródek Ivy, po czym unoszę jej głowę, by zobaczyć ranę na czole. Dziewczyna obserwuje mnie z zaciekawieniem, gdy oczyszczam zaschniętą krew. Uświadamiam sobie, że skupia wzrok na skrytych pod tuszem bliznach.

– Zamknij oczy – rozkazuję.

Waha się, lecz wzdycha i przymyka powieki. Oczyszczam jej ranę, następnie nakładam maść i naklejam opatrunek.

– Dlaczego obchodzi cię, czy wda się zakażenie? – pyta.

– Bo stracenie cię z tak błahego powodu byłoby zbyt proste.

Otwiera oczy i spogląda w moje.

– Nie sądzę, żebyś był tak okrutny, jak chcesz, by inni myśleli, że jesteś.

– Masz urojenia.

Puszczam ją, krzywiąc się, po czym odkładam opatrunki do apteczki.

– Skoro tak bardzo mnie nienawidzisz, dlaczego tu jestem? – dopytuje.

Zgniatam opakowanie po plastrze i wyrzucam je do śmieci.

– Doskonale wiesz dlaczego.

Patrzy na mnie, jakby próbowała rozszyfrować ukryte znaczenie moich słów. Jednocześnie sam staram się odgadnąć, na ile potrafi kłamać. Prawdę mówiąc, nie mam pewności, czy jest świadoma, co wydarzyło się kilka lat temu. Zastanawiałem się wiele razy, ile jej rodzina wie o Eliu i wybuchu. Ivy była blisko z ojcem, więc z pewnością w jakimś stopniu sobie ufali. Trudno stwierdzić, czy naprawdę jest tak naiwna, jak udaje. Tak czy inaczej, dopóki nie zyskam pewności, czy zdaje sobie z czegokolwiek sprawę, będę zakładał, że płynąca w niej

zdradziecka krew Morenów doskonale podpowiada dziewczynie, co robi w moim domu.

– Gdybym знаła powód, to po co bym pytała? – rzuca mi wyzwanie.

– Bo nazywasz się Moreno – pryham. – To z miejsca czyni cię zdrajcą.

– A ty jesteś De La Rosą. Przypuszczam więc, że to czyni cię dupkiem.

Przesuwam dłoń na jej szyję i wbijam palce w miejsce, gdzie wyczuwam puls, po czym zmuszam, by odchyliła głowę najdalej jak może. Chwyta mnie za rękę, próbując ją odciągnąć, walczy, żeby uwolnić się z mojego uścisku.

– Jesteś nienormalny – syczy. – Wiesz o tym? Po prostu mnie wypuść. Pozwól mi odejść, a więcej się nie zobaczymy!

– Mam cię uwolnić? – Śmieję się złowieszczo, pochylając się, by kolejne słowa wyszeptać w jej usta. – Jedyнным sposobem na wydostanie się z tego małżeństwa jest śmierć.

Jej ramiona sztywnieją, gdy wpatruje się we mnie z nieskrywaną nienawiścią.

– I co wtedy? Chcesz zobaczyć mnie martwą? To twoje największe pragnienie?

Odchylam jej głowę, przesuwając nosem po skroni. Wdycham upajający zapach i wyznaję prawdę:

– Nic nie przyniosłoby mi większej rozkoszy.

* * *

Mijają trzy dni. Ivy pozostaje zamknięta w pokoju, a ja jej nie odwiedzam. Zamiast tego proszę Antonię o raporty, co uważa za bardzo ciekawe. Zgodnie z poleceniem dostarcza mi szczegółów, informując o przyzwyczajeniach Ivy związanych z jedzeniem i snem. Mówi, że żona poprosiła o dostęp do basenu, czego odmawiam.

Wiem, że wkrótce będzie musiała wyjść. Oczekuje się od niej pewnych rzeczy. Powinna towarzyszyć mi w niektórych wydarzeniach. I brać udział na przykład w organizowanych przez inne żony spotkaniach dotyczących różnych przedsięwzięć. Kobiety na zmianę planują imprezy, obiady czy kolacje, sprawiając, że interesy Socjety idą sprawniej.

Zapewniają im odpowiednią oprawę. Członkowie stowarzyszenia będą liczyć, że Ivy się w to zaangażuje, chociaż nie tak bardzo jak pozostałe żony. W końcu wyszła za mąż za Sprawiedliwego Syna, co niesie za sobą spore oczekiwania. To, jak się ubiera, zachowuje i jak mówi, na pewno zostanie przeanalizowane przez odpowiednie osoby. A ponieważ nosi na sobie mój znak, nikt nie ośmieli się oceniać jej w miejscu, gdzie ja lub ona możemy to usłyszeć. Obowiązkiem Ivy jest wtopienie się w struktury naszej organizacji, by naprawdę stała się przedstawicielką elity Socjety.

Będzie potrzebowała zasad. Harmonogramu. Czegoś, co zajmie jej czas, dopóki nie zacznie rosnać w niej moje dziecko. Powiniennem nad tym pracować. Dniami i nocami, dopóki nie uczynię jej swoją w każdym znaczeniu tego słowa. Im dłużej pozostaje w domu, tym trudniej jest mi pamiętać o samokontroli.

Nie wiem, co próbuję udowodnić swoją nieobecnością. Robię to dla niej czy dla siebie?

Pogrążam się w pracy. Patrzę na rząd monitorów w gabinecie, analizuję dane i sprawdzam je pod każdym kątem. Mercedes często do mnie przychodzi, próbuje zamęczyć pytaniami.

Nie mogę spać. Zamiast tego wałęsam się nocami po korytarzach rezydencji, czasami zatrzymując się pod drzwiami Ivy. Kilka razy stałem tam, oparty o nie ręką, rozważając naszą ostatnią rozmowę. Dosadnie pokazałem jej, czego chcę, i myślę, że to pojęła.

Ucieknie, gdy tylko się odwrócę? Zostanie i będzie walczyć?

Naprawdę nie wiem.

Dziś w końcu się poddaję, łapiąc za klamkę jej drzwi. Gdy je otwieram, znajduję dziewczynę zwiniętą w kłębek w fotelu przy kominku. Czyta książkę. Kiedy słyszy, że wchodzę, podnosi wzrok i marszczy brwi. Jest blada, rozczochrana, na skórze odznaczają się jej cienie. Nie radzi sobie z niewolą.

Zdaje się, że od ostatniego razu, kiedy patrzyliśmy sobie w oczy, minęła cała wieczność. Czy ona też tak czuje?

Przygląda mi się, zamykając książkę na kolanach. Czeka, aż powiem, po co przyszedłem.

– Od jutra możesz poruszać się po domu. Trzymaj się jedynie z dala od pokojów służby, mojego gabinetu i sypialni.

Prostuje się lekko, ramiączko koszuli nocnej zsuwa się z jej ramienia.

– A basen?

– Basen jest niedostępny, dopóki nie zagoi się twój tatuaż. Przynajmniej przez dwa tygodnie.

Krzywi się, ale i tak przytakuje.

– Powinnaś się tu zadomowić. Niedługo inni będą oczekiwać naszej obecności na niektórych imprezach. Mercedes wyjaśni ci, czego się od ciebie wymaga. Omówicie wspólnie twój grafik, oprowadzi cię też po rezydencji.

Ivy mruży oczy.

– A jeśli odmówię?

– Wiesz, co się wtedy stanie. – Palce aż mnie świerzbią, by jej dotknąć, a fiut twardnieje na samą sugestię, że Ivy będzie się stawiać.

Ostrożnie rozważa moje słowa, nim z frustracją kręci głową.

– A co ze szkołą?

– Ta część twojego życia należy do przeszłości. Jesteś teraz moją żoną. Będiesz robić coś pożytecznego na rzecz Socjety.

– Co na przykład?

– Będiesz nosiła moje dzieci. Towarzyszyła mi, gdy będzie to wymagane. I, co najważniejsze, zadowalała mnie.

Na jej twarzy pojawia się przerażenie, które wybrzmiewa też w słowach:

– Dzieci?

– Nie mów mi, że nie brałaś tego pod uwagę – kpię.

– Przecież powiedziałaś, że chcesz mojej śmierci.

Te słowa brzmią gorzko.

– Na wszystko przyjdzie pora.

Milknie, co mi się nie podoba. Potrzebuję usłyszeć jej przemyślenia.

– Kiedy będę mogła spotkać się z siostrą? – pyta. – Z tatą? Chciałabym móc odwiedzać rodzinę.

– Jeśli w tym tygodniu będziesz się dobrze zachowywać, zasłużysz na takie przywileje.

Spina się, słysząc moją zawołaną groźbę, ale po chwili zastanowienia podejmuje decyzję, a w jej oczach pojawia się determinacja.

– Dobrze. Zrobię wszystko, co każesz, jeśli pozwolisz mi w tym tygodniu zobaczyć się z ojcem i Evangeline.

Drażni mnie, że chce odwiedzić tę szumowinę. Ale umowa to umowa. Skoro tego chce, będzie musiała zasłużyć.

– Chodź tutaj.

Powoli wstaje z fotela, nogi ma sztywne, gdy stawia pierwszy krok. Kręć głową, wskazując na podłogę.

– Na kolana.

Zaciska usta, waha się, rozważając, czy to jest tego warte. Następnie klęka i pełźnie do mnie na czworakach. Jej uległość jest tak kusząca, że z trudem zmuszam się, by poczekać, aż się zbliży. Dopiero wtedy wsuwam palce w ciemne włosy i unoszę jej głowę. Pocieram osłoniętą spodniami erekcją o policzek dziewczyny, na co zamyka oczy, wydając pełen udręki jęk. – Mam nadzieję, że ta wizyta będzie tego warta – mówię.

Opuszczam cienkie ramiączka jej koszuli nocnej, aż same zsuwają się z ramion, obnażając piersi. Nic nie sprawi mi większej przyjemności niż oglądanie, jak Ivy walczy z pragnieniem, by wziąć mojego kutasa do ust. Ale to będzie musiało poczekać do następnej okazji. Teraz natomiast rozpinam rozporek, uwalniając fiuta ze spodni. Przygląda się wytrzeszczonymi oczami, jak kołysze się przed jej twarzą.

– Pomasuj go – nakazuję, zaciskając palce na ciemnych włosach. – Pocieraj go, aż sperma zaleje ci piersi. Jeśli będę zadowolony, rozważę spełnienie twojej prośby.

Wyciąga dłoń i obejmuje kutasa. Zamykam oczy, odprężając się pod jej dotykiem. Powiedziałem, że będzie musiała zasłużyć, co właśnie robi. Każdym mocnym pociągnięciem pozyskuje kolejny kawałek mojego rozbitego oporu.

Zaspokaja mnie ręką, ściskając i ciągnąc, jak żadna wcześniej. Gdzieś z tyłu głowy mam świadomość, że kobiety już mi to robiły. Ale nie potrafię sobie przypomnieć innego razu, innej

twarży. Widzę tylko ją. Gdy eksploduję na jej piersi, a niepodważalny dowód mojego podniecenia spływa po nich, nasza umowa zostaje przypieczętowana. Ivy nie wydaje się jednak wystarczająco upokorzona, kiedy patrzy na mnie łagodnym, zamglonym spojrzeniem. Zanurzam więc palec w spermie pokrywającej jej dekolt i rozsmarowuję go na ustach dziewczyny, po czym zmuszam, by ją zlizła. Dopiero teraz jestem skłonny dać jej to, czego pragnie.

– Zaczniemy od jednej wizyty – informuję, chowając fiuta w spodniach. – Reszta będzie zależeć od twojego zachowania.

22 - IVY

Następnego ranka czekam już ubrana, gdy Antonia przynosi śniadanie. Jest jedyną osobą, która chroniła mnie przed utratą zmysłów. Wiem, ile czasu minęło, tylko dlatego, że rysuję kreski na kartce papieru. To głupie, ale fakt, że jestem tu zamknięta, nawet jeśli trwa to tylko kilka dni, odciska na mnie piętno.

Muszę popływać. Ruszyć się. Potrzebuję zobaczyć słońce. Otworzyć okno. Mały kwadracik, przez który do sypialni dociera światło, w niczym nie pomaga. Poza tym znów pada deszcz. Przysięgam, że przez przebywanie w tym domu czuję, jakby ciągle padało.

Ale Santiago powiedział, że dziś będę mogła odwiedzić tatę. Wierzę, że jest człowiekiem, który dotrzymuje słowa.

Zamykam buteleczkę balsamu, którym kazał mi smarować tatuaż, i wstaję, kiedy tylko otwierają się drzwi. Ból w stopach w końcu minął. To były tylko dwa uderzenia. Jak udało mu się znieść więcej? Mówił, że miał plecy pokryte bliznami. Rany na stopach otwierały się przy każdym kroku.

Boże. Ojciec karał go w taki sposób? Co za okropny człowiek. Mimo tego wciąż trzyma jego zdjęcie w kaplicy.

– Dzień dobry, moja droga – mówi wesoło Antonia, chociaż zauważam, że jest nieco zmartwiona.

Jak każdego ranka, gdy przychodzi do mojego pokoju, rozgląda się po nim, a później uważnie się we mnie wpatruje.

Zastanawiam się, czego szuka. Może stryczka. Po zaledwie trzech dniach jestem gotowa się powiesić, ale nie potrzebuję liny. Mam pewność, że mogłabym wykorzystać do tego różaniec, który noszę. Schowałam go pod sweter i zdejmuję wyłącznie pod prysznicem czy do łóżka.

Wiem, że gosposi nie podoba się zamykanie drzwi na klucz. Sama to przyznała. Ale tego chce pan.

„Pan”.

Przewracam oczami na to, jak go tytułują. Na jego arogancję.

– Dzień dobry, Antonio. Wiesz może, czy samochód jest gotowy, by zawieźć mnie do ojca? – pytam z niepokojem.

Nie jestem głodna, więc ignoruję tacę, którą przyniosła.

– Proszę się uspokoić. Jest jeszcze wcześnie.

– Która godzina? Wiedziałybym, gdybym miała zegar.

Lecz mąż na to nie pozwala.

– Panienska Mercedes zabierze cię do ojca, ale rzadko wstaje przed południem – informuje Antonia.

– Południem?

– Proszę usiąść i zjeść. Santiago chce mieć pewność, że jesz, ja również. Nie chcę, żebyś znów się przewróciła.

Siadam przygarbiona i opieram łokieć o stolik, gdy kobieta nalewa mi kawy ze srebrnego dzbanka.

– Powiem ci coś. Kiedy już zjesz, zabiorę cię na dół i oprowadzę. Nie widzę przeszkód, byś czekała na Mercedes na dole. Patrę na nią pełna nadziei i podekscytowana jak dziecko w Boże Narodzenie. To nieco śmieszne, więc próbuję nad sobą zapanować.

– Nie wpadniesz przez to w kłopoty? – upewniam się.

– To już moje zmartwienie.

– Gdzie on jest? – pytam, biorąc filiżankę.

Nie wiem, dlaczego o to pytam ani dlaczego zależy mi na odpowiedzi, ale jestem zaskoczona, że to nie on mnie dziś zawiezie do szpitala. Chyba jestem też nieco rozczarowana. Bo chociaż nie chcę tego przyznać i nigdy tego nie zrobię, mąż jest zagadką, która budzi ciekawość. Kiedy jest ze mną, wszystko wydaje się inne. Bardziej... znaczące. Nie wiem, jak to opisać. Chyba po prostu nigdy tyle nie czułam. Tak wielkiego oczekiwania, bólu, przyjemności, po prostu wszystkiego. To zarazem dezorientujące i wkurzające. Powinno być proste. Chciałabym go nienawidzić, jak on nienawidzi mnie.

Kręcę głową, by odpędzić myśli. Sam pomysł spędzenia czasu z Mercedes wywołuje niepokój. Nie lubię jej. Ani nie ufam. Antonia zaznacza swoją obecność, przesuwając tacę.

– Trzyma się swojego harmonogramu – mówi.

– Co to znaczy?

– Och, nic takiego, moja droga.

– Jest tu? To znaczy w domu?

– Zazwyczaj tak, chyba że zostaje wezwany w interesach.

Odchodzi, żeby pościelić łóżko, co już sama zrobiłam, ale wszystko poprawia. Muszę powiedzieć Santiagowi, że nie potrzebuję służącej, a szczególnie tak miłej starszej kobiety, by zasłać łóżko czy zrobić pranie. Właściwie jest to krępujące.

– Wróć po ciebie za dwadzieścia minut i zabiorę cię na dół. A teraz zjedz. Będzie przecież oczekiwał raportu – mamrocze ostatnie zdanie pod nosem, zamykając za sobą drzwi.

Chce raportu? O tym, co jem?

Dobra, czy to mnie w ogóle dziwi? Ma świra na punkcie kontroli.

Zjadam śniadanie – jajecznicę, bekon, świeże owoce oraz tosty, a także wypijam sok i kawę. Nie wiem, czy kiedykolwiek jadłam tak dobrze jak w ciągu ostatnich dni. Jestem pewna, że mama byłaby w szoku, słysząc, jaką ilość kalorii pochłaniam na sam pierwszy posiłek.

Myśl o mamie kieruje moją uwagę na Evangeline. Czy je odpowiednio? Powinnam bardziej nalegać, by się z nią zobaczyć? A może poproszę o spotkanie z nią zamiast z ojcem.

Muszę przestać. Wszystko po kolei. Dziś wyjdę z pokoju. Z domu. To już coś.

Kończę śniadanie, myję zęby i akurat zakładam buty – jedną z nowych par, bez obcasów, które zostały wczoraj dostarczone – gdy zauważam stojącą w progu Antonię.

Właśnie dlatego Santiago mnie dezorientuje. W jednej chwili mówi, że chce mojej śmierci. W kolejnej, dowiadując się o schorzeniu, kupuje mi buty bez obcasów, żebym nie skręciła karku na szpilkach.

Kręcę głową.

Nie. Nie robi tego wszystkiego z dobroci serca. Sam chce być moim oprawcą. Może nawet mnie zamordować. A nie uda mu się to, jeśli upadnę przez przypadek i się zabiję.

– Gotowa? – pyta Antonia, gestem wskazując korytarz.

Uśmiecham się, potakując, przez co czuję się głupio. Minęły trzy dni, a zachowuję się, jakbym była więziona od lat i właśnie nadszedł dzień wyjścia na wolność.

Ruszam za nią korytarzem, chłonąc wszystkie szczegóły – ciemne ściany, grube dywany, parę krętych schodów.

– Jak stary jest ten dom?– pytam.

– Rezydencja została wybudowana kilka wieków temu. Przez pierwszych De La Rosów, którzy sprowadzili się do Nowego Orleanu. Pochodzą z Hiszpanii, wiedziałaś o tym?

Zaprzeczam, oglądając wiszące na ścianach portrety, gdy docieramy do schodów.

– Cztery lata temu jego matka wróciła do Barcelony – dodaje gospoia.

– Matka Santiaga? – upewniam się, łapiąc za poręcz.

Przystaję, spoglądając w dół. Kręci mi się w głowie, więc szybko siadam na stopniu.

– Ivy?

Zaciskam powieki, unoszę je i skupiam wzrok na spokojnej twarzy Antonii.

– Wszystko w porządku. Po prostu nie ćwiczyłam, a przez to jest mi trudniej. A te schody... Kiedy spojrzałam w dół...

– Może to nie był najlepszy pomysł. Chyba powinnaś się położyć.

Kręcę głową i wstaję. Jest mi gorąco, lepię się od potu, nie mogę złapać równowagi, jak zawsze po takim epizodzie, ale nie chcę wracać do pokoju.

– Nic mi nie jest. Naprawdę.

Uśmiecham się tak szeroko, jak tylko mogę. Nie kłamię. Podobne przypadki nie trwają długo. Po prostu nie chcę znajdować się na szczycie schodów, gdy nadchodzą.

Antonia przygląda mi się uważnie przez dłuższą chwilę, następnie, prawdopodobnie wbrew własnemu osądowi, przytakuje, po czym ruszamy dalej.

– Mówiłaś, że mama Santiaga wyjechała cztery lata temu. Zgaduję, że po wypadku.

Stajemy na podeście na półpiętrze. Rozglądam się. Łuki sklepienie na suficie tworzą dość ciekawy widok, szczególnie w połączeniu z ciemnymi meblami oraz żelaznymi ramami okien. Korytarze rozgałęziają się na wszystkie strony. Jeden prowadzi prosto do okna, które widziałam tamtej nocy.

– Po wypadku, tak – odpowiada, ale to, w jaki sposób podkreśla słowo, sprawia, że zaczynam się zastanawiać, co ma

na myśli. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, ten wypadek ją również zabił. Zmarła niedługo po powrocie do Barcelony. Nie wątpię, że to z powodu żałoby. Boże, miej ją w swojej opiece.

Oficjalne raporty podały, że do wybuchu doprowadził wyciek gazu.

– Jednej nocy straciła męża i jednego z synów, a ten drugi, cóż, zupełnie się po tym zmienił.

– Masz na myśli jego wygląd?

Matka porzuciła go z powodu blizn?

– Nie, nie. Te blizny były oczywiście okropne, ale chodzi mi o wnętrze. Jego matka próbowała, ale było za ciężko. Widzisz... – Plotkujecie o moim bracie?

Odwracamy się zaskoczone, kiedy dostrzegamy Mercedes wychodzącą z jednego z ciemnych korytarzy. Wygląda olśniewająco, jak ostatnim razem, gdy ją widziałam. Ma na sobie obcisłą czerwoną sukienkę, która podkreśla jej ciemną karnację. Czarne włosy są gładko ułożone, a oczy zaznaczone kreską. Nosi wysokie szpilki, które nadają się raczej na wieczór, i więcej biżuterii niż posiadam ja, moja siostra oraz matka razem wzięte.

– Nie sądzę, by Santi był zadowolony, słysząc, że jego żona plotkuje o nim ze służbą. – Przenosi wzrok ze mnie na Antonię, która schyla głowę, wykręcając przy tym nerwowo palce. – Nie przypominam sobie, by pozwolił ci ją wypuścić.

– Dostałam zgodę, żeby wyjść dziś z pokoju – wtrącam, bo nie podoba mi się ton Mercedes.

Później jestem zła, że się odezwałam. Zabrzmiałam jak skarcone dziecko.

– Dał ci swoją zgodę, co? – Uśmiecha się, unosząc brwi.

Zaciskam dłonie w pięści, krew się we mnie gotuje.

– Nie ma powodu, by trzymać ją zamkniętą w pokoju – mówi Antonia.

Zastanawiam się, czy czuje mój gniew.

– To nie ty o tym decydujesz, czyż nie?

– Pani również nie, panienko. Pani brat wyraził się jasno, że to ja mam dbać o jego żonę.

Mercedes odwraca się do mnie z kwaśną miną.

– Hmm. Naprawdę? Cóż. Teraz ja ją przejmę, Antonio. Możesz wracać do kuchni.

– Dobrze, panienko – odpowiada spiętym głosem kobieta.

Jest mi jej żal, gdy zerka na mnie, kiwając głową w podziękowaniu, po czym oddała się w kierunku kuchni.

– Nie plotkowałyśmy – mówię, nie chcąc wpędzić gosposi w kłopoty.

– Jestem pewna, że nie. Zamierzasz wyjść w tym stroju?

Spoglądam na jasnoniebieski kaszmirowy sweter i džinsy. Mercedes to dręczycielka. Przypomina mi Marię Chambers. Bogaczka, której nigdy nie nauczono odróżniać dobra od zła. Nigdy jej niczego nie odmówiono.

– Tak, twój brat mi to kupił – odpowiadam spokojnie. – Jedziemy do szpitala, nie na pokaz mody. Zamierzasz wyjść w tym stroju? – przedrzeźniam ją.

Wykrzywia usta z niesmakiem, przechodząc obok mnie.

Idę za nią do, jak mi się wydaje, głównego salonu z ogromnymi oknami w kształcie rozet. Szpilki Mercedes stukają cicho, gdy przez niego przechodzi, lecz ja stoję w miejscu, wpatrując się w malowidło na suficie.

– Idziesz? – pyta dziewczyna.

Odwracam wzrok.

– Jest piękne.

Zerka w górę, wzrusza lekceważąco ramieniem i unosi brwi.

– Mam inne rzeczy do roboty poza niańczeniem cię.

– Sama mogę pojechać. Zrobię to z radością.

– Wtedy obie narazimy się na gniew Santiaga. – Obraca się na pięcie, po czym odchodzi.

Szybko podążam za nią przez dom i wychodzę na zewnątrz. Kierowca podejżdża rollsem. Uświadamiam sobie, że to James, który wioził nas ostatnio. Uznałam, że pracuje dla Abla, ale okazuje się, że to jednak Santiago mnie pilnował. Ma to sens.

Mężczyzna otwiera dla nas drzwi. Wsiadamy z Mercedes do samochodu. Patrę przez szybę jak dziecko, podziwiam ogromny dom i ciągnące się kilometrami ogrody.

– To labirynt? – pytam, zauważając wysoki żywopłot.

– Tak.

Gdy w końcu docieramy do żelaznej bramy, która się przed nami otwiera, obracam głowę tak długo, aż na horyzoncie dostrzegam tylko dwie wieże domu. Z nocy poślubnej pamiętam, że posiadłość nie znajduje się daleko od miasta, ale jest położona na uboczu, na dużej działce. Pokój, w którym byłam zamknięta, wydaje mi się teraz bardzo ciemny.

Kiedy siadam normalnie, dostrzegam na sobie wzrok Mercedes. Jej spojrzenie jest groźne, lecz jednocześnie ciekawskie. Nie w sposób mówiący, że chciałaby mnie poznać. Szuka słabości, które mogłaby wykorzystać. Jestem świadoma, jak muszę obok niej wyglądać – jak dziecko.

Odchrząkuję, przenosząc wzrok na mijane drzewa. Droga do szpitala potrwa jakieś pół godziny. Przewiduję, że będzie niezręcznie, ale Mercedes zajmuje się swoim telefonem, ignorując mnie.

James parkuje na wolnym miejscu, a ja zerkam na Mercedes, która rozmawia z kimś, przyglądając się paznokciom. Kierowca wysiada z samochodu i otwiera mi drzwi.

– Masz piętnaście minut – mówi dziewczyna, gdy zbieram się do wyjścia.

– Co?

– Nie wejdę do środka. To zbyt przygnębiające.

– Kwadrans? – powtarzam.

– Mamy mnóstwo roboty. Brat kazał mi przygotować cię na spotkanie z Socjetą. Musimy zająć się, cóż, wieloma rzeczami – stwierdza, patrząc na mnie z niesmakiem.

– Mówisz poważnie?

Uśmiecha się, na pokaz spoglądając na diamentowy zegarek.

– Lepiej się pospiesz.

23 - SANTIAGO

Lawson Montgomery pochyla się nad raportem finansowym leżącym na biurku, studiując go sokolim wzrokiem, z którego słynie. Był świadkiem na moim ślubie, ale jest też starym przyjacielem, jedyną osobą z oddziału w Nowym Orleanie, której bezgranicznie ufam.

Ludzie znają go jako Sędziego, głównie ze względu na jego pozycję w systemie sądowniczym Luizjany. Z oczywistych powodów stanowi cenny nabytek dla IVI, ale jest też jedną z nielicznych osób, z którymi mogę swobodnie rozmawiać.

– Wszystko wygląda w porządku. – Zamyka teczkę, wracając spojrzeniem do mnie. – Jak odnajdujesz się w tym nowym, szczęśliwym związku małżeńskim?

Uśmiecham się, słysząc sarkazm. Sędzia ma kąśliwe poczucie humoru.

– Tak dobrze, jak można to było przewidzieć.

– Liczę, że szybko i ostro wymierzysz sprawiedliwość.

Kiedy nie odpowiadam, unosi brew. Nalewam nam po szklaneczce szkockiej, przez chwilę wpatrując się w liczby zmniejszające się na monitorze za przyjacielem.

– Próbujesz mi powiedzieć, że jeszcze jej nie oznaczyłeś? – dopytuje.

– Zrobiłem to, o czym dobrze wiesz.

Przesuwam szklanką pod nosem, wdychając zapach ulubionego alkoholu.

– Ale nie zostawiłeś blizn – stwierdza.

Ta uwaga mnie denerwuje. Zwykle nie zdradzam swoich planów innym, ale Sędzia jest jednym z najsurowszych ludzi, jakich znam. Ma opinię srogiego, zarówno w sędziowskiej ławie, jak i Socjecie. Przynajmniej wtedy, gdy wymaga tego sytuacja. Jest zagorzałym zwolennikiem starej zasady „oko za oko”. Kiedy pewnej nocy – pijany – wyznałem mu swoje zamiary względem Ivy, to on zasugerował coś oczywistego.

Jaka kara byłaby najgorsza dla rodziny odpowiedzialnej za oszpecenie mnie i zamordowanie moich najbliższych? „Blizny –

stwierdził prosto. – Pozostaw na nich blizny, jeśli postanowisz zachować ich przy życiu”.

Wtedy wydawało się to proste. Jasne, że Ivy powinna nosić blizny pasujące do moich. Permanentne przypomnienie grzechów ojca, które widziałyby przy każdym zerknięciu w lustro. Miesiącami fantazjowałem o sposobach, na jakie mógłbym je jej zadać. Przypalić ją. Okaleczyć. Wyciąć moje imię na skórze szyi. Może nawet wytatuować czaszkę na połowie jej twarzy, by pasowała do mojej. Taki wygląd z pewnością wywołałby traumę do końca życia. Lecz teraz dziewczyna jest tutaj, w moim domu, a ja nie postępuję zgodnie z planem. Nie zbliżyłem się nawet, by wprowadzić jego szczegóły w życie, i nie mam najmniejszej ochoty przyznać, że waham się z powodów, których do końca nie rozumiem.

– Ma ładną twarz. – Sędzia obraca szklanką, po czym upija łyk. – Szkoda byłoby to zepsuć.

Coś w jego tonie i drgnięciu brwi podpowiada, że bawi go oznaka mojej słabości.

– Waham się tylko dlatego, że jest piękna.

Te słowa nie przekonują nawet mnie. Jestem pewien, że z czasem będę w stanie wypełnić obietnicę, którą sobie złożyłem. Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, zrealizuję plan.

– Bez względu na to, czy ma już blizny, zapewniam cię, że będzie cierpieć – dodaję.

– Jestem pewien, że już cierpi – odpowiada. – Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Słowa te zawisają nad nami, gdy w ciszy dopijamy alkohol. Muszę zapytać o coś przyjaciela, co jest głównym celem naszego spotkania. Byłoby dobrze, gdybym zrobił to przed ślubem, ale zajmowałem się wtedy Ablem.

– Jakież wieści o jej ojcu? – rzuca Sędzia, nim się odzywam.

– Nie. Przynajmniej nic nowego. Moi ludzie wciąż badają sprawę, ale nie pojawiły się żadne nowe informacje. Na początku miesiąca mam spotkanie z Trybunałem, by omówić postępy w śledztwie.

Sędzia milczy zamyślony, po czym patrzy mi w oczy z przenikliwością, która przypomina, jak potężnym jest

przeciwnikiem dla ludzi słabszych ode mnie.

– Przeszło ci przez myśl, że może nie być więcej informacji? Co wtedy?

– Rozważałem to. – Wzruszam ramionami. – Jednak nie przyjmuję tego do wiadomości.

– Ale to możliwe. Matka natura ma w nosie fakt, że nie akceptuje się zesłanej przez nią burzy.

Na tym etapie ignorowanie jego oczywistych stwierdzeń wydaje się jedynym rozwiązaniem. Nie mogę zaakceptować, że nie znajdę stuprocentowego potwierdzenia winy Elia. Rozważyłem tę sprawę pod każdym kątem. Przeczucie podpowiada mi, że wszystko jest oczywiste. Mężczyzna ponosi winę za to, co się stało, i nie uwierzę, że nie, dopóki nie dostanę niepodważalnych dowodów. – Jest jeszcze jeden powód, dla którego cię tu wezwałem – mówię. – Poza filozoficznymi rozważaniami dotyczącymi mojej zemsty.

– Domyśliłem się. – Sędzia parska śmiechem.

– Mam do ciebie prośbę. – Odchrząkuję, czując się dziwnie niezręcznie. – Chciałbym powołać się na święty pakt. Jeśli coś mi się stanie, chciałbym, abys przejął pieczę nad moją żoną.

– Wierzę, że nic ci się nie stanie – odpowiada cicho Sędzia. – Ale przyjmuję twoją wolę.

Napięcie częściowo mnie opuszcza. Sięgam do szuflady po kolejną teczkę, po czym mu ją podsuwam.

– Zapisałem wszystkie życzenia dotyczące tego, co ma się stać z Ivy i jej rodziną.

Kiwa głową, przenosząc spojrzenie na wiszący na ścianie portret mojej siostry.

– Moje obowiązki się mnożą. Najpierw Mercedes, teraz twoja żona – odpowiada.

W jego oczach pojawia się przebłysk emocji, których nie rozpoznaję, gdy wpatruje się w portret.

– Biorąc pod uwagę twoje poświęcenie, sądzę, że powinienem powierzyć ci również większość moich finansów za to, że zgodziłeś zająć się Mercedes, gdy zniknę – żartuję.

– Nie ma takiej potrzeby. – Uśmiecha się. – Ujarzmienie takiej dzikuski będzie prawdziwą przyjemnością.

Unoszę brwi, słysząc jego insynuację. Dziwne, że wyraził się o Mercedes w taki sposób. Zawsze był dla niej oziębły. Pełen szacunku, ale i chłodu.

– To mogłoby cię wykończyć – zapewniam go. – Jest trudna nawet w swoim najlepszym wydaniu. Obawiam się, że zbyt ją rozpieściłem, i nie jestem pewien, czy da się to naprawić.

– Wszystko da się cofnąć, jeśli jest się wystarczająco stanowczym – oświadcza sucho Sędzia. – Jak dobrze wiesz, to moja specjalność. W podobnych przypadkach często zdarza się, że interweniuje osoba trzecia. Jesteś jej bratem, więc masz do niej słabość, czego nie można powiedzieć o mnie. Żadna rodzinna czułość nie splamiłaby mojego czarnego serca.

Rozważam jego słowa, przyznając słuszność argumentom. Mercedes stoi na ścieżce do samozagłady już od dłuższego czasu. Opiekując się Ivy i pracując dla Socjety, nie poświęcam zbyt dużo czasu, by utrzymać ją w ryzach. Będę pamiętał o pomysle przyjaciela, jeśli siostra nie przestanie stwarzać problemów.

– A tak w ogóle co u tej diablicy? – pyta Sędzia. – Nadal ugania się za Van der Smitem?

– Van der Smitem? – śmieję się. – Nie wiedziałem, że jesteś tak dobrze poinformowany na temat życia miłosnego Mercedes. – To powszechnie znany fakt. – Lekceważąco macha ręką. – Wszyscy w IVI wiedzą, że odrzucił wspaniałą Mercedes De La Rosę dla innej kobiety. Plotka głosi, że poczuła się wzgardzona.

– Tak, przypuszczam, że tak było. – Marszczę brwi. – Ale Mercedes zdaje się do nikogo nie przywiązywać. Sądzę, że raczej jej duma została zraniona.

Sędzia kiwa głową, jakby to wyjaśnienie go zadowalało.

– Zakładam, że wróciła do rezydencji.

– Na razie – przyznaję. – Dostała zadanie, by wprowadzić Ivy w rolę żony z wyższych sfer. Przypuszczam, że zajmie ją to na jakiś czas.

– Cóż, to już coś – zgadza się przyjaciel. – Bezczytność jest dziełem szatana.

– Tak mówią.

Rozlega się pukanie do drzwi, a gdy te się otwierają, w gabinecie pojawia się Mercedes we własnej osobie. Zatrzymuje się w pół kroku, kiedy dostrzega siedzącego naprzeciwko mnie Sędziego.

– Nie wiedziałam, że masz towarzystwo. – Krzyżuje ręce na piersi, zerkając na mężczyznę z zaciekawieniem. – Sędzio, jak zawsze miło cię widzieć.

– Skoro tak mówisz.

Przyjaciół wita ją skinieniem głowy. Nie umyka mi, że przygląda jej się dłużej, niżby wypadało.

– Jak tam w fascynującym świecie systemu sądownictwa? – pyta Mercedes. – Skazałeś jakichś niewinnych biedaków na karę śmierci podczas lunchu?

– Tylko tych, którzy zasłużyli – odpowiada przyjaciel. – Jak tam życie rozpuszczonej księżniczki? Zostawiłaś w domu towarowym nieco próżności dla pozostałych bywalców?

W oczach siostry pojawia się gniew. Mercedes rozchyła czerwone usta, chyba po raz pierwszy w życiu nie mogąc wypowiedzieć słowa. Odgarnia z twarzy kosmyk ciemnych włosów, próbując dojść do siebie, ale postanawiam ją uratować przed tą dziwną wymianą zdań.

– Czego chcesz, Mercedes?

– Przywiozłam twoją żonę – mówi z jadem w głosie. – Oczywiście nie spadł jej nawet włos z głowy. Przyszłam, żeby zdać ci raport.

Sędzia uśmiecha się, widząc jej wyraźną irytację, po czym wstaje i zabiera teczkę z biurka.

– Będę się już zbierał.

* * *

Po zdaniu mi pełnego sprawozdania siostra wychodzi z gabinetu z poleceniem, by znalazła sobie coś pożytecznego do roboty. Nie mogłem nie zauważyć, że przez cały czas wydawała się zagubiona i zirytowana przebiegiem dnia. Nie jestem pewien, czy to z powodu Ivy czy kąśliwych, aczkolwiek trafnych uwag Sędziego.

Mimo wszystko odsuwam od siebie te myśli, kończąc pracę, po czym udaję się na poszukiwanie Antonii. Odnajduję ją w

bibliotece, gdzie wyciera półki. Przeraza się niemal na śmierć, gdy odwraca się i zauważa mnie w wejściu.

– Och! – wykrzykuje. – Nie słyszałam cię, panie... To znaczy Santiago.

Mam wrażenie, że jest nie w sosie, trochę zmęczona. Zastanawiam się, jak długo uda mi się ją zatrzymać w pracy. Chociaż miała mnóstwo sposobności, żeby odejść, czego powinna chcieć, wydaje się zdeterminowana, by pozostać w rezydencji, dopóki nie wyzionie ducha. Jestem zbyt dumny, aby przyznać, że czuję z tego powodu wdzięczność, ponieważ bez niej dom nie byłby taki sam.

– Mogę ci w czymś pomóc? – pyta.

Waham się, niepewny, jak przedstawić swoją propozycję. Kobieta czeka cierpliwie, jej spojrzenie utrzymuje się na mojej twarzy, nie okazuje przy tym niesmaku.

– Jak się dziś miewa pani De La Rosa? – pytam.

– Dobrze – odpowiada z odrobiną zaskoczenia. – Ostatnim razem, gdy ją widziałam, czytała. Zasugerowałam jej drzemkę, bo wydawała się zmęczona. Ale poza tym...

– Chciałbym, abyś jej przekazała, że zje dziś ze mną kolację.

Cień uśmiechu rozjaśnia twarz Antonii.

– Och, oczywiście. Chciałbyś czegoś specjalnego? Mogę zmienić menu.

– Nie, cokolwiek zaplanowałaś, będzie w porządku – mówię sztywno. – Dziękuję, Antonio. Proszę, przekaz mojej żonie, by dołączyła do mnie w jadalni o dziewiętnastej trzydzieści.

– Z przyjemnością. – Kiwa głową.

Po załatwieniu sprawy opuszczam posiadłość. Nie mam w zwyczaju wychodzić przed zmrokiem, ale pewna sytuacja wymaga mojej uwagi. Powinienem się tym zająć już dawno temu.

Srebrny aston martin DB11 AMR coupe szybko przemierza zatłoczone ulice, gdy kieruję się do dzielnicy Lakewood. O tej porze dnia korki bywają koszarne, dlatego też Marco zaproponował, że mnie zawiezie, ale prowadzenie samochodu sprawia, że się uspokajam. Mężczyzna siedzi więc teraz w fotelu pasażera, milcząc całą drogę, dopóki nie parkuję przed

wybudowaną w stylu kolonialnym rezydencją przy Garden Lane.

– Będę panu towarzyszył. – Odpina pas, nie akceptując możliwości odmowy.

Marco jest moim osobistym ochroniarzem, traktuje swoją rolę niezwykle poważnie, jakby była jedynym celem w jego życiu. Został mi przydzielony przez IVI, ponieważ, jak wszyscy Sprawiedliwi Synowie, potrzebuję ochrony, ale jego oddanie i poświęcenie są niepodważalne. Jest ze mną od czasów nastoletnich, niejednokrotnie ubolewał, że nie było go przy mnie, gdy doszło do eksplozji. Kazałem mu czekać na zewnątrz, co też zrobił. To on wbiegł do budynku i wyciągnął z niego na wpół martwe ciało, gdy próbowałem wyczołgać się z rumowiska. Gdyby nie on, wątpię, bym tu dzisiaj był.

– Dziękuję, Marco. – Otwieram drzwi i wysiadam, po czym wchodzę szybko na werandę.

Marco trzyma się z tyłu, obserwując ulicę w poszukiwaniu zagrożenia. Dzwonię do drzwi i czekam. Chwilę później gospodarza doktora Chambersa wita mnie sztywnym uśmiechem.

– Dzień dobry. – Ledwo udaje jej się wypowiedzieć te słowa, nim opuszcza wzrok. – Proszę wejść. Zawołam pana doktora. Wchodzimy za nią do środka. Zostawia nas w salonie, odchodząc najszybciej, jak się da. Chambers pojawia się dopiero po kilku minutach. Spogląda na mnie z niepewną miną.

– Santiago. – Kłania się. – Nie spodziewałem się ciebie.

– Zabawne, biorąc pod uwagę, że unikasz moich telefonów.

Patrzę na niego spod byka.

– Skądże. – Zbývá tę sugestię, jakby uznał ją za niedorzeczną.

– Byłem bardzo zajęty. Właściwie dopiero wróciłem z konferencji poza miastem. Obawiam się, że nie miałem czasu odczytać wiadomości.

– Nie miałeś czasu, jak teraz. – Wpatruję się w niego z niedowierzaniem. Przesłupuje z nogi na nogę, zerkając na stojącego za mną Marca, po czym patrzy z powrotem na mnie. – Podać ci coś do picia?

– Nie.

Siada naprzeciwko mnie, wyraźnie zdeprymowany niezapowiedzianą wizytą.

– W czym mogę ci pomóc?

– Możesz mi pomóc, wyjaśniając, jak doszło do tego, że moja żona znalazła się w twoim gabinecie.

Pot oblewa mu czoło, następnie skapuje na brew.

– Chodzi o test czystości?

– A była jeszcze jakaś inna okazja, o której powinienem wiedzieć? – odpowiadam beznamiętnie.

– Odniosłem wrażenie, że to ty go zleciłeś – oświadcza.

– I uznałeś, że rozsądnie będzie spełnić taką prośbę, nie konsultując jej bezpośrednio ze mną?

– Tego typu żądanie stawiane przez pana młodego nie jest czymś nadzwyczajnym – broni się. – Z pewnością masz świadomość, że w Socjecie to powszechna procedura. Mężczyźni, którzy się żenią, często chcą podobnej gwarancji. Często proszą też o to same panny młode, które w subtelny sposób chcą rozwiązać wszelkie wątpliwości.

– Może inni mężczyźni przyjęliby takie wytłumaczenie, ale nie ja. Pozwól, że wyrażę się jasno, Chambers. Nie powinienem dotykać mojej żony bez wyraźnej zgody. Nie sądzę, że wymaga to jakichkolwiek przemyśleń. Właściwie to powinienem mieć pewność, że moje zdanie w tym temacie jest oczywiste. Zastanawiam się więc, co tobą kierowało.

– Nie zrobiłem tego w złej wierze. – Ciągnie się za kołnierzyk, pot spływa mu teraz po szyi. – Mogę cię o tym zapewnić. Jeśli kwestionujesz moją etykę zawodową...

– Kwestionuję twoją lojalność. – Mrużę oczy. – Jesteś chyba świadom, że mogę cofnąć ci licencję na wykonywanie zawodu. Wystarczy jedno słowo z moich ust, a zostaniesz odesłany albo wycisną z ciebie ostatnią kroplę krwi. Dlaczego więc tak ryzykowałeś?

– Nie wiem, co według ciebie wydarzyło się podczas tego badania, ale...

– Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć. Skąd na ciele mojej żony wzięły się siniaki? To twoja robota czy kogoś innego? Spogląda na telefon, jakby istniał ktoś, do kogo mógłby

zadzwoić, by uratował go od tej rozmowy. Doskonale jednak wie, że nikogo takiego nie ma. W hierarchii Socjety Chambers jest niewiele wart. Nie należy do Sprawiedliwych Synów, nigdy nie będzie należał.

– Wybacz mi, Santiago – odpowiada szorstko. – Jeśli twoja żona czuje, że została w jakikolwiek sposób skrzywdzona, proszę, przekaz jej moje najszczerze przeprosiny. Nie było to moim zamiarem. Wykonywałem tylko swoją pracę. To wszystko.

Coś w jego nerwowym, świdrującym spojrzeniu sprawia, że wydaje mi się, iż było wręcz odwrotnie. Zawsze się tak przy mnie zachowywał, więc trudno mieć pewność. Jeśli Ivy nie opowie mi ze szczegółami o tamtych zdarzeniach, nie będę mógł nic zrobić.

– Nie powinienem więc niczego więcej wiedzieć? Nie chcesz nic dodać?

Wyciera dłonie o spodnie, kręcąc żarliwie głową.

– Nie, nic więcej sobie nie przypominam.

– Dobrze. – Wstaję z krzesła, patrząc na niego z góry, jak na szumowinę, którą jest. – Od tej pory nie istniejesz dla mojej żony. Nie chcę, byś na nią patrzył. Odzywał się do niej. Ani wypowiadał jej imienia. Rozumiemy się?

– Tak, oczywiście. – Kiwa głową. – Cokolwiek sobie życzysz.

Kieruję się do drzwi, ale przypomina mi się coś jeszcze.

– Chcę wszystkie zapiski z jej karty pacjenta. Wyślij mi je. Natychmiast.

24 - IVY

Głośno burczy mi w brzuchu, gdy schodzę do jadalni o umówionej godzinie. Czuję, jakbym została tutaj wezwana, i przypominam sobie rozmowę z Mercedes o tym, że mąż dał mi pozwolenie na opuszczanie z pokoju. Łaskawca. Złoszczę się na samą myśl. Dręczyło mnie to przez cały dzień, a piętnastominutowa wizyta u ojca nie była wywiązaniem się z umowy ze strony Santiaga.

Gruby dywan tłumi moje kroki niemal całkowicie. Jestem raczej cicha, gdy na nic nie wpadam, a w tej rezydencji próbuję być ostrożniejsza niż normalnie. Panujący tu spokój wydaje się nienaturalny. W domu rodzinnym czy moim mieszkaniu nigdy nie było aż tak cicho. Zawsze dało się słyszeć jakiś szmer, z czego nie zdawałam sobie sprawy, dopóki nie doświadczyłam tego całkowitego braku dźwięków.

Korytarz oświetlony jest przez wiszące nad głową starogotyckie, wypełnione świecami żyrandole. Przystaję na chwilę, by się im przyjrzeć. Ciekawi mnie, kto musi je czyścić i kto wymienia świece w tuzinach wiszących w całej rezydencji lamp. Służba pewnie zajmuje się tym codziennie.

Ruszam dalej. Mijam jedno z dużych okien o żelaznych ramach. Przepuszcza światło księżycy, które mieni się pięknym, niesamowitym srebrem. Cień nakłada się tu na cień. Zastanawiam się, czy znalazłabym jakiegoś ducha, gdybym powąłęsała się po wnętrzu. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

Wchodzę do salonu, w którym okna mają kształt rozet. Malowidło na suficie zdaje się dość mroczne. Zadzieram głowę i obracam się, by dokładnie mu się przyjrzeć. Wygląda spektakularnie, podobnie jak cała posiadłość, wszystkie jej łuki i zakamarki. Przesuwam palcami po zamkniętym wieku pianina. Zastanawiam się, czy ktokolwiek na nim gra. Żałuję, że ja nie potrafię, ale nie mam do tego talentu.

W kolejnej chwili słyszę bicie zegara. Musi być dziewiętnasta trzydzieści. Wychodzę więc z salonu w poszukiwaniu jadalni. Odnajduję ją wyłącznie dzięki temu, że dobiega z niej muzyka. Cicha i mroczna, doskonale pasuje do tego miejsca. Podążając

za dźwiękiem, rozmyślam nad tym, czy pokoje w rezydencji ułożone są dookoła dużego holu. Zastanawiam się, czy gdybym zobaczyła dom z lotu ptaka, miałby on kształt róży.

Delikatnie dotykam karku. Dziś widziałam swój tatuaż. Spodziewałam się, że właśnie on będzie miał kształt róży, lecz nie. A przynajmniej nie tylko. Pierwszą uwagę przyciąga czaszka, dopiero potem kwiaty. Na końcu za to dostrzegłam skrzyżowane pistolety.

Przemoc, śmierć i piękno w jednym.

Zatrzymuję się w progu do jadalni. Santiago stoi przy oknie, ze szklanką alkoholu w dłoni, zwrócony plecami do wejścia. Zastanawiam się, co zaprzęta jego myśli. Patrzę na niego przez chwilę, bo mąż naprawdę mnie ciekawi. Nie spodziewałam się tego. W dodatku z miejsca, gdzie się znajduję, wydaje się piękny. Nie, on jest piękny, nawet z tatuażem czaszki na twarzy. Chodzi chyba o ten ból, który widzę nawet wtedy, gdy Santiago zachowuje się okrutnie. A może zwłaszcza wtedy. Zatracam się w nim.

Lecz to nie cierpienie przyciąga mnie do niego w tym momencie, a coś pierwotnego. Jego wzrost. Szerokie ramiona. Marynarka, która opina się na mięśniach. To, jak jest zbudowany.

Robi mi się gorąco, kiedy przypominam sobie, jak obejmowałam biceps męża i czułam jego siłę. Jest o wiele silniejszy niż ja. I większy.

Po wejściu do jadalni dostaję zawrotów głowy. Pomijam stopień, a kiedy się potykam, łapię za kredens, żeby nie upaść, tyle że przez to coś zrzucam. Rzecz uderza z hukiem o podłogę, a Santiago wzdryga się z zaskoczeniem. Odwraca się do mnie, marszcząc brwi i krzywiąc się, gdy dochodzi do siebie.

– Przepraszam – mówię z zażenowaniem.

Mrugam szybko, przytrzymując się szafki, żeby odzyskać równowagę, po czym pospiesznie podnoszę srebrny, antyczny świecznik. Dobrze, że się nie zniszczył.

Santiago odstawia szklankę na stół i podchodzi. Łapie mnie pod ramię, drugą ręką chwytając kandelabr. Odstawia go na kredens, po czym uważnie mi się przygląda.

– Nic ci nie jest?

Kręcę głową, próbując się skupić.

– Wszystko w porządku.

– Powinienem owinąć wszystkie meble kocami? – pyta.

Wydaje mi się, że próbuje zażartować. Ciekawe, czy widzi moje zakłopotanie, bo czuję, że się rumienię.

– To tylko... Potknęłam się.

„Po części dlatego, że się na ciebie gapiłam. Wspominałam twoje ręce. Twój dotyk”.

Ale tego mu nie mówię.

– Antonia wspominała, że wcześniej nie czułaś się dobrze.

– Nic mi nie jest. – Odsuwam się.

Ta część mężczyzny, która zdaje się okazywać mi troskę, wytrąca mnie z rytmu, a nie mogę sobie na to pozwolić. Nie powinnam mu wierzyć. Nie znajdę w nim pocieszyciela.

– Straciłaś równowagę na szczycie schodów, Ivy – stwierdza.

– Nie straciłam. Musiałam tylko na chwilę usiąść. Nie powtórzyło się to przez cały dzień.

„Prawie”.

Santiago obserwuje mnie, jakby nie do końca w to wierzył.

– To dlatego pytałam o basen. Pływam każdego dnia. A raczej pływałam. To pomaga. Gdy tylko znów będę mogła to robić, wszystko będzie dobrze – zapewniam.

Po tych słowach jednak moja irytacja powraca, więc dodaję:

– Santi.

Mąż cofa się o krok z uśmiechem. W końcu oboje stąpamy po gruncie, który znamy. Znów się rumienię, a na czoło wstępuje mi pot. Wcześniej, gdy Mercedes użyła tego zdrobnienia, coś zakłuło mnie w piersi. Nie zwróciłam na to uwagi, ale teraz, gdy sama nazwałam w ten sposób męża, uświadamiam sobie, co to było.

Zazdrość.

Bo jestem idiotką.

Szybko odwracam wzrok, ponieważ Santiago przygląda mi się z zuchwałym uśmiechem.

– Mercedes się rządzi? – pyta.

Odchrząkuję, zmuszając się, by na niego spojrzeć.

– Po prostu uznałam za zabawne, że ma dla ciebie przyzwisko. No bo w końcu ty to ty.

Pochmurnieje.

Mrugam, próbując uspokoić oddech. Nie słyszy, jak szybko bije mi serce. Muszę się odprężyć. Tyle że Santiago wciąż na mnie patrzy. Mam na sobie długą do kolan, dopasowaną, dzianinową sukienkę, której guziczki są rozpięte bardziej, niż jestem przyzwyczajona. Nie żeby mój dekolt był wart pokazywania, ale szybko poprawiam sukienkę, kiedy dostrzegam, że mężczyzna zatrzymał na nim wzrok. A może patrzy na różaniec?

Moje włosy przycięto, choć zaledwie o kilka centymetrów. Wystylizowano je, co, muszę przyznać, dobrze wygląda, bo zazwyczaj nie zawracam sobie nawet głowy suszeniem kosmyków. Jestem pomalowana, co również zdarza się rzadko. Na pewno nie zamierzałam nakładać makijażu dla niego. Zrobiono mi manicure i pedicure, a także, ku mojemu niezadowoleniu, zostałam wydepilowana woskiem w miejscach, w których nie wiedziałam, że można go użyć. To sprawka Mercedes. A może on o to poprosił?

– Pięknie wyglądasz – stwierdza, obchodząc mnie dookoła. Przesuwa palcami po moich włosach, nie sprawiając przy tym bólu. – Ale ty zawsze jesteś piękna.

Burczy mi głośno w brzuchu, przez co znów się rumienię, automatycznie kładąc na nim dłoń. Santiago staje przede mną i przez moment zastanawiam się, czy miał na myśli to, co powiedział. Czy naprawdę chciał mnie skomplementować.

– Głodna?

Przytakuję.

– Proszę, powiedz, że moja siostra cię nakarmiła – dodaje z nadzieją w głosie.

– Jeśli przez nakarmienie masz na myśli kilka liści i kawałek kartonu udający pierś z kurczaka, to tak, zrobiła to. Jest naprawdę okropna. To znaczy sprawia, że przy niej ty wydajesz się prawie miły.

Santiago zaczyna się śmiać, następnie układa dłoń u dołu moich pleców i prowadzi mnie do stołu nakrytego dla dwóch

osób. Przynajmniej jego siostra nie będzie z nami jadła.

Mąż odsuwa mi krzesło, więc zajmuję je i rozkładam serwetkę na kolanach. Santiago w tym czasie siada u szczytu stołu, a obsługa, jakby tylko na to czekała i się nam przyglądała, przechodzi przez ukryte w ścianie drzwi, które od dawna musiały służyć personelowi.

Milczymy, gdy podają nam dania, które Antonia opisuje. Jest ich tyle, że moglibyśmy wykarmić tuzin osób, ale ja pewnie zjem za dwoje, więc nie narzekam.

– Dziękuję, Antonio. Przeszłaś samą siebie – mówi Santiago.

– Dziękuję, pa... Proszę pana.

Kelner otwiera butelkę wina, które Santiago próbuje. Później służba wychodzi, a mąż nakłada mi jedzenie na talerz. Nie pyta, czego chcę, tylko wybiera sporą porcję mięsa, dodaje ziemniaki i warzywa oraz chleb i masło.

– Czy to nie pretensjonalne, że muszą nazywać cię panem?

Nie spieszy się z odpowiedzią, starannie rozkładając serwetkę na kolanach.

– Ciesz się, że nie wymagam tego od ciebie.

– W życiu bym cię tak nie nazwała.

– Chcesz się przekonać?

Kiedy się nie odzywam, unosi brwi, czekając, aż przytaknę lub zaprzeczę.

– Nie! – rzucam.

– Więc naucz się, kiedy powinnaś milczeć, kochanie.

Zaciskam zęby tak mocno, że jestem pewna, iż któryś z nich się ukruszy.

W końcu Santiago ponownie skupia się na butelce wina i dolewa go sobie do kieliszka. Zauważam wtedy pierścień na jego palcu. Rozpoznaję go. Widziałam sygnet już wcześniej, jednak z niczym mi się nie kojarzył. Teraz, kiedy obejrzałam też znak na moim karku, uświadamiam sobie, że to herb rodzinny.

– Wszyscy je nosicie? – pytam, przypominając sobie, że widziałam podobny na palcu Holtona, ale u doktora już nie.

Santiago również spogląda na swój pierścień i potakuje.

– Rodziny Sprawiedliwych. Tylko mężczyźni.

– Oczywiście. Nawet do głowy mi nie przyszło, że kobiety mogłyby dostąpić takiego zaszczytu. – Wyraźnie akcentuję „zaszczyt”.

Jestem pewna, że słyszy sarkazm w moim głosie, ale nie czekam na odpowiedź. Sięgam po kieliszek, który został napełniony wcześniej, i upijam łyk napoju, po czym unoszę brwi.

– Sok?

Kiwa głową, odstawiając swoje wino.

– Nie jestem dzieckiem, wiesz o tym? – dorzucam.

Nie żebym dużo piła. Osłabia to moją i tak kiepską równowagę, ale chciałabym mieć wybór.

– Możliwe, że nosisz moje dziecko. Nie możesz pić alkoholu, Ivy – stwierdza Santiago.

– Twoje dziecko? Nie sądzę, żebyś był aż tak płodny. – Krzywi się, a ja czuję, że zaraz powie coś wrednego, więc szybko kontynuuję: – Poza tym jestem dorosła. Mogę o sobie decydować i gdybym była w ciąży, a nie jestem, to oczywiście bym nie piła.

– To jedna z moich reguł. Żadnego alkoholu. Kropka. Bez dyskusji. – Łapie nóż i widelec, po czym zaczyna kroić mięso, jakby nasza rozmowa była całkowicie normalna.

Kręcę głową, ale odpuszczam. Chętnie wypiłabym chociaż odrobinę alkoholu, tylko dla zasady. Nabijam jednak na widelec kawałek kurczaka i wkładam go do ust. Smakuje jeszcze lepiej niż pachnie.

Przez chwilę jemy w milczeniu. Obserwuję Santiaga, zastanawiając się, czy czuje się niekomfortowo z powodu tej ciszy.

Zakładam, że nie.

– Pozwoliła mi zostać u taty tylko piętnaście minut – wyduszam w końcu.

Mężczyzna na moment przerywa posiłek. Nie potrafię rozszyfrować jego miny.

– To twoja sprawka? – ciągnę. – Bo spędzenie całego dnia w spa z Mercedes nie było warte tych piętnastu minut. Chcę go znów zobaczyć. Dłużej. I siostrę również.

Uśmiecha się, po czym kręci głową, ponownie skupiając się na swoim talerzu.

– Mówię poważnie. To nie było fair i doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

Odkłada sztućce, po czym ociera usta serwetką.

– Gdybym nie wiedział lepiej, pomyślałbym, że specjalnie próbujesz mnie sprowokować – rzuca.

– Nieprawda. Ja tylko chcę zobaczyć tatę. Mieliśmy umowę.

– Odrobina szacunku mogłaby mnie bardziej przekonać. Wiem, że jesteś młoda, a twoje wychowanie pozostawia wiele do życzenia, ale myślałem, że rozumiałaś chociaż tyle.

– Chcesz, żebym poprosiła o pozwolenie? O to chodzi? Podnieca cię to? – pytam.

– To pierwsze.

– Pierwsze co?

– Ostrzeżenie. Ale jestem łaskawy. Zostały ci jeszcze dwa, więc uważaj.

Już otwieram usta, żeby wyjaśnić mu, gdzie może sobie wsadzić te ostrzeżenia, ale po namyśle wkładam do nich ziemniaka, by dać sobie chwilę na zastanowienie. Wiem, dokąd zaprowadzą mnie ostrzeżenia numer dwa i trzy.

– Mercedes mówiła ci o balu maskowym IVI? – pyta mąż.

– Wspomniała coś o przygotowaniu mnie na imprezę, ale nie wdawała się w szczegóły. Nie miałam też okazji zapytać, bo bez przerwy przypominała mi, jaką szczęściarą jestem, ponieważ to mnie zaszczyciłeś swoją uwagą. Powinnam być wdzięczna, że noszę twoje nazwisko. A moim obowiązkiem jako żony jest poddanie się tobie i Socjecie. I tak w kółko.

– Cóż, jest skrupulatna, a wręcz dramatyczna – stwierdza.

– Mogę do niej chociaż zadzwonić?

– Do mojej siostry? – Udaje zdezorientowanego.

– Do mojej.

– Osobiście zabiorę cię zarówno do siostry, jak i do ojca, ale po gali.

Jestem zaskoczona.

– Naprawdę?

– Jeśli będziesz się zachowywać – dodaje.

Przygryzam dolną wargę.

– Na dłużej niż piętnaście minut.

Potakuje.

– Kiedy to się stanie? – dopytuję.

– Pojutrze wieczorem.

– Obiecujesz, że to będzie normalna wizyta? Bez żadnych podstępów? Żadnych głupich wymówek?

– Nie jesteś zbyt ufna, co?

– Dostałam nauczkę – odpieram.

Wracam do jedzenia, czując, że odniosłam drobne, ale jednak zwycięstwo.

– Jesteś blisko z siostrą?

Kiwam głową.

– Byłam blisko z obiema, zanim Hazel odeszła.

– Pamiętam. Masz z nią jakiś kontakt?

Podnoszę na niego wzrok i przyglądam się jego twarzy skąpanej w blasku świateł. Wiele bym oddała, by zobaczyć go w pełnym świetle.

– Jeśli powiem, że tak, zgłosisz to Socjocie?

Wiem, co się stanie, jeśli ją znajdą. Zostanie publicznie ukarana za odwrócenie się od stowarzyszenia. Za to, że odeszła od Sprawiedliwych Synów.

– Masz, Ivy? – powtarza.

– Nie, Santiago, nie mam. Ale gdyby tak było, nie powiedziałabym ci.

– Twój ojciec jej nie szuka.

– Co?

– Nigdy tego nie robił.

Jestem kompletnie zaskoczona. Na pewno dostrzega to na mojej twarzy, chociaż wygląda, jakby próbował zdecydować, czy kłamię, czy może coś wiem. Niczego mi jednak nie tłumaczy. Jak zwykle.

– Wiem bardzo dużo.

– To nie ma sensu. Oczywiście, że jej szuka. Zniknęła po tym, jak... – milknę.

Czy Santiago przyjaźnił się z mężczyzną, za którego miała wyjść za mąż? Są przecież jak bracia, prawda? Sprawiedliwi

Synowie. Wspierają się.

Hazel uciekła kilka dni przed ślubem. Rozpłynęła się w powietrzu. Nie zostawiła listu, niczego. Rozumiem, że nie napisała do rodziców, bo to oni na nią naciskali, ale mnie też niczego nie wyjaśniła. Zawsze zastanawiałam się, czy nie mogła tego zrobić, bo nie wierzę, że odeszłaby bez słowa.

– Nie przestaną jej szukać. Ale pewnie o tym wiesz – przestrzega mnie mąż.

Wiem. Socjeta nie pozwala, by ci, którzy zboczyli z wyznaczonej im przez nią ścieżki, pozostali bezkarni. Jeśli w ogóle pozwolą im odejść.

Szczególnie kobietom.

A zwłaszcza tak nisko urodzonym jak my.

– Znajdą ją. W swoim czasie – dodaje.

Drzę na samą myśl, upuszczając sztucę na talerz. Straciłam apetyt.

– Minęło sześć lat. Nie mogą... już jej skrzywdzić – mówię. Santiago milczy. – Mogą?

– Oni? Masz na myśli nas?

Przyglądam mu się. Próbuje mnie nastraszyć? A może odgadnąć, czy naprawdę nie mam żadnych informacji o miejscu pobytu Hazel? Nie mam i po raz pierwszy od sześciu lat się z tego cieszę, bo odnoszę wrażenie, że mój mąż potrafi wyczuwać kłamstwa.

– Zbladłaś. – Odsuwa krzesło, wstaje i podchodzi do mnie, po czym wyciąga dłoń.

Patrzę na nią, następnie na niego.

– Chodź, Ivy. Położę cię do łóżka.

25 - IVY

Zabawne, że pytał wcześniej, czy specjalnie próbuję go sprowokować, kiedy robi mi dokładnie to samo.

Wczorajszego wieczoru, po kolacji, położył mnie do łóżka dokładnie tak, jak powiedział. Nasmarował mój tatuaż maścią, po czym zostałam ubrana w seksowną jedwabną koszulkę. A potem utulił jak cholerne dziecko, doskonale wiedząc, że się wkurzę. Nie dotknął mnie poza nałożeniem maści. Kiedy zobaczyłam koszulkę nocną, którą wybrał, założyłam, że do czegoś dojdzie, a fakt, że się tym przejęłam, złości mnie jeszcze bardziej.

Santiago ma świra na punkcie kontroli. Wiem o tym. A ja jestem kolejną rzeczą, którą może i będzie kontrolował, co z pewnością obejmuje również decyzje, czy zaznam przyjemności. Jestem też pewna, że mój opór sprawia, iż jest o wiele bardziej zdeterminowany.

Nie widziałam Santiaga przez cały dzień, jeśli nie liczyć krótkiej chwili, gdy obserwowałam przez okno kilka godzin temu, jak wsiada do srebrnego sportowego samochodu i odjeżdża. Chciałabym wiedzieć, dokąd się wybrał i z kim spotkał. Czy poszedł na elegancką kolację, a może imprezuje na mieście, podczas gdy ja siedzę tu całą noc, samotna i opuszczona? Mercedes również zniknęła. Słyszałam, jak mówiła Antonii, że nie wróci dziś do domu. To akurat dobra wiadomość.

Dzięki temu mam szansę lepiej poznać posiadłość. Może uda mi się zajrzeć do zakazanych pomieszczeń. Bo znalazłam coś, czego chyba nie powinnam.

Antonia życzy mi dobrej nocy, mówiąc, że idzie do łóżka, po czym wychodzi z sypialni. Jest już dwudziesta druga, ale od długiego czasu chciałam się stąd wyrwać.

Czekam kilka minut, a później wstaję. Wsuwam ciężki różaniec pod czarną koszulkę. Kamienie, z których został wykonany, są chłodne, więc wkładam jeszcze sweter. Nie chciałabym, żeby jakiś pracownik zobaczył ten niecodzienny wisior na mojej szyi. Potwierdziłoby to tylko, jaką władzę

Santiago ma nade mną. Już wystarczająco upokarzające jest poddawanie się mu na co dzień. Gdyby wszyscy wiedzieli o tym czymś... Cóż, tego chyba nie zniosę.

W ciągu dnia szukałam w domu telefonu, ale wydaje się, że żadnego tu nie ma. Nieposiadanie telefonu stacjonarnego nie jest jednak niczym niezwykłym. Znalazłam za to basen i musiałam powstrzymać się ze wszystkich sił, by do niego nie wskoczyć. Jest piękny. Dwa razy większy od tego w domu rodziców, znajduje się w pomieszczeniu z dwukondygnacyjnymi szklanymi sufitami i ścianami, a wyłożony jest turkusowo-złotymi płytkami.

Popływałabym, jeżeli miałabym pewność, że nie zostanę przyłapaną. Chociaż trudno mi to przyznać, boję się, co Santiago mógłby zrobić, gdyby mnie nakrył. Mam przeczucie, że nawet jeśli nikt by mu tego nie doniósł, on wyczułby zapach chloru, pomimo że wyszorowałabym skórę do czerwoności.

Nadal jestem zdenerwowana przez wczorajszą rozmowę o Hazel. A ten komentarz, że tata nawet jej nie szuka... Czy to prawda? Czemu? Może chroni ją w ten sposób przed Socjetą?

Zastanawiam się, czy Santiago próbuje ją znaleźć na własną rękę. Czy obchodzi go to na tyle, by sprowadzić ją z powrotem i ukarać. Tylko dlaczego? Kiedyś był dla mojego ojca niczym syn. Zachodzę w głowę, czy zdaje sobie z tego sprawę. Z pewnością nie zrobiłby niczego, co sprawiłoby tacie ból. Prawda?

Wychodzę na korytarz i odwracam się do schodów prowadzących na pierwsze piętro, do doskonale wyposażonej biblioteki, która przypadkowo znajduje się tuż obok jego gabinetu. Wiem o tym wyłącznie dlatego, że byłam w niej, gdy Antonia tłumaczyła jednej z pokojówek, że nie powinna przebywać w tej części domu i sprzątać.

Przechodzę do podwójnych drzwi, które prowadzą do biblioteki. Czuję, że mój puls przyspiesza, ciągle oglądam się przez ramię, ale jest cicho.

Nie robię niczego złego. Jeszcze.

Jeśli ktoś zapyta, idę po książkę. Dostałam pozwolenie, by tu przychodzić.

Wchodzę do środka. Wiszący w pomieszczeniu żyrandol zapewnia trochę więcej światła niż te w salonie czy jadalni, a lampki do czytania zostały ostawione przy każdym wygodnym fotelu, których stoi tu z tuzin – niektóre w parach, inne pojedynczo. W tym miejscu spędzam większość popołudni. Ostatnio ucięłam sobie nawet drzemkę w jednym z foteli. Nie zrobiłam tego specjalnie, po prostu odpłynęłam.

Biorę jedną ze świec umieszczonych w świecznikach i kieruję się w najciemniejszy kąt pomieszczenia. Trochę tu strasznie, ale nie bardziej niż w mojej sypialni, więc odrzucam obawy, idąc do ukrytych drzwi podobnych do tych w jadalni.

Podnoszę świecę, by lepiej widzieć ich zarys, ale oto są. Przez to, że pokojówka gwizdała podczas sprzątania, obudziłam się wtedy z nieplanowanej drzemki i je dostrzegłam. Nie zastanawiałam się, dokąd prowadzą, dopóki Antonia nie wspomniała, że dziewczyna nie powinna wchodzić do gabinetu pana.

Przewracam kolejny raz oczami na myśl, że każe nazywać się „panem”.

Pretensjonalny dupek.

Szukam czegoś, co mogłoby być klamką, ale nie znajduję. Odstawiam świecę na półkę, badam drewno dłonią, a po chwili, gdy naciskam w odpowiednim miejscu, czuję, jak sprężyna ustępuje i drzwi się uchylają.

Uśmiecham się zwycięsko. Zerkam przez ramię, by upewnić się, że wciąż jestem sama, po czym wchodzę do gabinetu Santiaga. Przystaję niemal od razu i rozglądam się po pomieszczeniu. Światło mojej świecy jest słabsze niż migocząca zieleń sześciu monitorów powieszonych na ścianie naprzeciwko biurka. Stanowią tu jedyny nowoczesny element. Gabinet okazuje się duży, na jego środku ustawiono ogromne antyczne biurko, przed którym widzę pojedyncze krzesło. Skórzana kanapa w kolorze koniaku zajmuje sporo miejsca po prawej stronie. Podobnie jak w mojej sypialni ściany wyłożono panelami z ciemnego drewna, a wzdłuż jednej z nich dostrzegam szeroki regał z oprawionymi w skórę książkami.

Przed nim postawiono dwa, wyglądające na dość wygodne, krzesła oraz stolik.

Podchodzę właśnie do regału. Po drodze zatrzymuję się przy każdym skrzypnięciu podłogi, bez powodzenia próbując zignorować unoszący się w powietrzu zapach wody po goleniu. Jest delikatny. Wyczuwam go tak samo, jak czułam na skórze Santiaga oraz w konfesjonale w dzień naszego ślubu. Należy do niego, przez co nigdy go nie zapomnę. Moje ciało reaguje na tę woń instynktownie – żołądek się zaciska, a serce bije szaleńczo.

Nie wiem, co jest takiego w mężczyźnie, którego znak noszę na skórze. Którego obrączka otacza mój palec, a różaniec ciąży na szyi, jednak jestem wysoce świadoma jego przeszłości i teraźniejszości.

Gdy podchodzę do biblioteczki, zauważam szklanę z resztką bursztynowego napoju stojącą obok książki na stoliku. Książka jest otwarta, leży grzbietem do góry.

Siadając na krześle, dostrzegam na podłodze ołówkę. Podnoszę go bez chwili namysłu i odkładam na blat.

Santiago musiał siedzieć w tym miejscu, popijając alkohol.

Odstawiam świecę i sięgam po szklanę, której zawartość wącham. Szkocka. Tata trzymał ją w domu dla gości. Przysuwam naczynie do ust, nie do końca pewna, dlaczego to robię. Nie myślę o tym, a gdybym to robiła, nie znalazłabym sensownego wytłumaczenia dla mojego zachowania. Przechyliłam szkło i dopijam ostatni łyk trunku.

Alkohol pali mnie w gardło, więc zamykam oczy, odchylając głowę na oparcie. Czuję wtedy zapach skóry połączony z wonią szkockiej i mężczyzny. Nie uchylając powiek, biorę głęboki wdech, świadoma dreszczu, który przebiega mi po plecach. Wiem, że to nie z powodu whisky. Nie zadziałałaby tak szybko.

Otwieram oczy i odstawiam szklanę, następnie opuszkami palców dotykam grzbietu książki. Nie ma tytułu. Skóra wygląda na starą, taka sama wydaje się w dotyku. Egzemplarz jest gruby, prawdopodobnie nie powinien leżeć otwarty w ten sposób.

Zniszczy mu to grzbiet.

Podnoszę go i odwracam, zerkając na kartki. Nie ma na nich żadnych słów. Jest za to rysunek, który zajmuje całą stronę.

Czaszka.

Przewracam kartkę i znajduję biało-czarny szkic. Przedstawia kobietę. Jest piękna. Starsza, ma ciemne włosy i smutne oczy. Część jej twarzy zasłania welon. Przyglądam się jej. Sposób, w jaki zdaje się na mnie spoglądać, okazuje się tak intrygujący, że nie mogę oderwać wzroku.

Jestem tak pochłonięta szkicem, że nie zdaję sobie sprawy, iż zostałam przyłapana, dopóki nie słyszę szczęku klucza przekręcanego w zamku. Podrywam się na nogi, uderzając kolanem o stół i zrzucając przy tym świecę. Sapię z zaskoczenia, obserwując, jak wosk kapie na dywan, po czym unoszę wzrok, by zobaczyć, kto mnie nakrył. Wiem, że może to być tylko jedna osoba, i się nie mylę, bo po chwili ląduje na mnie groźne spojrzenie ciemnych oczu Santiaga.

26 - SANTIAGO

Moje spojrzenie skupia się na szkicowniku. Jest otwarty na stronie, na której narysowałem mamę w dniu pogrzebu. Nie mogłem na niego pójść, bo byłem w szpitalu, ale Mercedes zadbała, by go dla mnie nagrano. Obejrzałem film kilka razy. Niedający o sobie zapomnieć widok załamanej matki wyrył mi się w pamięci. To wspomnienie, którego nie zamierzałem nikomu pokazywać. A już na pewno nie pieprzonej Moreno.

Wzbiera we mnie ogień, gdy podchodzę do Ivy. Cała się trzęsie, kurcząc w sobie, gdy próbuje się wycofać. Ale nie ma dokąd. Nie zdaje sobie z tego jeszcze sprawy? Nigdy mi nie ucieknie.

Zaciskam zimne palce na jej podbródku, zmuszając, by na mnie spojrzała.

– Co ty wyprawiasz?

– J-ja... J-ja... – jąka się, próbując pokręcić głową.

Szeroko otwarte oczy, w których przebłyskuje przerażenie, wpatrują się we mnie, a zapach szkockiej w oddechu dziewczyny tylko podsyca mój gniew.

– Grzebiesz w moich rzeczach. Pijesz mój alkohol. Są jeszcze jakieś grzechy, które powinnaś wyznać dziś wieczorem?

– Santi, proszę.

– Nie nazywaj mnie tak. – Wbijam palce w jej skórę, a Ivy wzdryga się na groźbę słyszalną w moim głosie.

Nie wiem, co sądzi, że robi, ale już ją przejrzałem. Próbuje sprawić, bym zapomniał, kim jestem. Kim sama jest. Jakby miała prawo dotykać moich rzeczy, oglądać moje najmroczniejsze wspomnienia. Czerpie przyjemność z tego, że rozsiewa swój zapach w korytarzach rezydencji, czym przypomina mi, że pod własny dach wpuściłem wroga. Nawet teraz, znajdując się w moich szponach, patrzy na mnie z tak fałszywą niewinnością, że gra mi na nerwach. Stara się sprawić, że nie będę pamiętał, dlaczego tu jest. Jak gdyby trzepocząc rzęsami i mówiąc tak słodko, potrafiła wymazać z mojego umysłu to, że w jej żyłach płynie krew zdrajcy. Nigdy o tym nie zapomnę.

– Myślisz, że nie wiem, co próbujesz zrobić? – warczę.

Mruga, jest wyraźnie zdezorientowana. A może to ja jestem trochę pijany. Moja wizyta u Sędziego przeciągnęła się dłużej, niż planowałem, a szkocka lała się strumieniami przez większość spotkania. Może to dlatego słowa wypływają ze mnie tak nieskrępowanie.

– Wiem, kim jesteś. – Wpatruję się w dziwne oczy Ivy, zmuszając ją, by zobaczyła potwora, którym jestem. – Pieprzoną kusicielką próbującą uwieść mnie tym słodkim głosikiem oraz niewinnymi oczkami. I cholerną kłamczuchą.

– Nie, nie jestem. – Jej warga drży.

– Zamknij oczy – nakazuję.

Nie słucha. Unosi ręce, by chwycić moją dłoń, i przytula się do mnie, błagając:

– Proszę, nie złość się.

– Wyraz „złość” nawet odrobinę nie opisuje stanu, w jakim się teraz znajduję. – Odwracam ją w swoich ramionach, aż zaczyna się wyrывać, po czym odchylam jej głowę i gryzę w szyję. – Jestem twoim najgorszym koszmarem, droga żono. Najwyższa pora, byś to zrozumiała.

Bierze gwałtowny wdech. Na jej skórze pojawiają się czerwone ślady. Szarpnię za ubranie, zdzieram z niej sweter i próbuję unieść koszulę nocną, ale jedwab ciągle zsuwa się z powrotem. Ciągnę Ivy do biurka, układam na nim, po czym otwieram górną szufladę w poszukiwaniu nożyczek.

– Nie! – woła.

Popycham głowę dziewczyny na blat, przyciskam do niego jej policzek jedną ręką, w czasie gdy drugą tnę. Robię to niechlujnie, bo Ivy wije się pode mną, ale w końcu koszulka nocna oraz majtki wiszą w strzępach. Ich pozostałości spadają na podłogę.

W gabinecie słysząc jedynie nasze ciężkie oddechy, gdy wyciągam z szuflady linijkę, którą po chwili przeciągam po nagich pośladkach żony. Wykręca się, próbując zobaczyć, co robię, więc zarzucam jej włosy na twarz.

– Straciłaś przywilej patrzenia – warczę.

Linijka uderza o tyłek ze świstem, który rozbrzmiewa w pomieszczeniu, ale szybko zostaje pochłonięty przez krzyk Ivy.

– Santiago!

– To za węszenie tam, gdzie nie powinnaś.

Pac!

Do moich uszu dobiega kolejny krzyk.

– To za picie alkoholu, choć dobrze wiesz, że cię zapłodnię.

Pac!

Tym razem jej usta opuszcza jęk, a łzy skapują na biurko.

– A to za bycie pieprzoną Moreno.

– Przestań!

Wierci się, skręcając tułów na tyle, by wbić mi paznokcie w rękę. Stękam, czując pieczenie w miejscu, za które złapała. Moja chwilowa słabość dodaje jej odwagi, której potrzebuje, by kopnąć mnie bosą stopą w goleń.

– Kurwa! – syczę przez zęby, kolejny raz trafiając linijką w pośladki dziewczyny. – Poddasz mi się.

– Nigdy! – wyje.

Uderzam bez przerwy, aż zaczyna mnie boleć dłoń. Ivy walczy zaciekle, desperacko próbując się uwolnić. Ale nie jest w stanie dorównać mi ani rozmiarem, ani siłą. W końcu linijka pęka pod wpływem mojej wściekłości.

Goście spływają po ślicznej twarzy, gdy odrzucam bezużyteczny już przedmiot na bok i patrzę na żonę, oddychając ciężko. Chcę ją złamać, lecz nie daję rady. Chociaż płacze z twarzą przy biurku, nie patrząc mi w oczy, widzę, że jest uparta i zamierza się przeciwstawić bez względu na wszystko. Jakby była w stanie wygrać.

Podsycą to mój gniew oraz potrzebę, by wydobyć z Ivy coś, czego nie potrafię nazwać. Sam nie wiem, czego chcę, gdy gładzę dłońmi czerwone ślady. Wyglądają uroczo na jej skórze. Właściwie mogę śmiało powiedzieć, że nigdy nie stworzyłem czegoś równie pięknego. Jednak Ivy przestaje już podświadomie szukać mojego dotyku. Nie ugina się pod ciężarem, ale też nie walczy. Jest po prostu... nieobecna. Skupia pusty wzrok na ścianie. Nigdy wcześniej nie wyglądała na tak hardą.

Odczuwam nagłą, palącą potrzebę, by ją dotknąć. Pobudzić do życia. Tyle że to się nie uda.

– Błagaj o wybaczenie – żądam.

Milczy. Zaciskam dłoń na jej pośladku, powtarzając polecenie. Groźby w moim głosie nie da się z niczym pomylić. Ponownie nie uzyskuję żadnej odpowiedzi. Zauważam, że milczenie dziewczyny denerwuje mnie bardziej niż cokolwiek innego, co tylko potęguje frustrację.

Okazuje się, że byłem zbyt łagodny dla żony, przez co żyje w przekonaniu, że może ignorować moje rozkazy. Zapomniała o swoim celu. O powodzie, dla którego tu jest. Ale po dzisiejszym wieczorze będzie o nim pamiętać.

Nie protestuje, gdy przerzucam ją sobie przez ramię i niosę korytarzem do jej pokoju. Myśli, że już po wszystkim. Że kara się skończyła. Słyszę to po sposobie, w jaki uspokaja oddech, gdy przekraczamy próg. Lecz kiedy zamiast na łóżko opuszczam ją na dywan, jej mięśnie ponownie się spinają.

Wyciągam potrzebne rzeczy z małej komody, którą tu wstawiłem. Gdy wracam z linami i klękam obok Ivy, powraca do swojego ulubionego zajęcia i próbuje mi się opierać. Nie udaje jej się. Po chwili jest już zawiązana od nadgarstków aż po kostki. Kiedy z nią kończę, ma na twarzy maskę, a na szyi obrozę z łańcuchem, którą nosiła podczas ceremonii. Zostawiam ją, by modliła się w ciszy o zbawienie, natomiast sam idę po płaszcz oraz swoją maskę.

Dziesięć minut później siedzimy na tylnej kanapie rolls-royce'a prowadzonego przez Marca. Szybko docieramy do siedziby IVI. Zdejmuję wtedy więzy z nadgarstków i kostek dziewczyny, po czym owijam ją kocem i wyciągam z samochodu. Kilku mężczyzn zebrało się dziś w ogrodzie, więc na pewno nas dostrzegają. Wiedzą jednak, dokąd zmierzam, więc nie próbują mi się przyglądać.

Twarze moja i Ivy są skryte pod maskami. Kiedy wchodzę do słabo oświetlonego korytarza prowadzącego do jaskini rozkoszy, wtapiamy się w tłum. Strażnik otwiera przed nami ciężkie drzwi. Ivy zwalnia z wahaniem, gdy docierają do niej dźwięki pochodzące z otoczenia. Trzask biczy. Brzęk łańcuchów.

Pochrząkiwania. KobiECE jęki i cicha, mroczna muzyka, która wypełnia przestrzeń.

– Santiago? – Ivy odwraca się i wtula we mnie, jakbym mógł ją ochronić, choć jestem mężczyzną, który ją zniszczy. Powinna uciekać.

Nie potrafię jej rozszyfrować, ale wydaje mi się, że to jakaś sztuczka. Ignoruję więc prośbę, ciągnę dziewczynę dalej, chociaż teraz chwyta się mojego płaszcza. Mijamy osoby odgrywające sceny obrazujące seksualną deprawację w najlepszym wydaniu. Męskie postękiwanie dominującego, który dzieli się swoją uległą z innym członkiem stowarzyszenia, wywołuje gęsią skórkę na ciele Ivy. Kiedy dziewczyna całkowicie zamiera, moja frustracja zwycięża.

Zrywam z niej koc i odrzucam go. Popycham ją na kolana. Chwytam za łańcuch przyczepiony do jej obroży. Jedyнным znakiem zdradzającym tożsamość mojej żony jest tatuaż, ale w tej chwili zasłaniają go włosy.

Czuję skupione na niej spojrzenia innych mężczyzn, jednak potrzeba dominacji wygrywa ze wszystkim.

– Pełznij – warczę.

Ivy trzęsie się, gdy zaczyna pełznąć na czworakach, z trudem utrzymując ciężką maskę na twarzy. Kilka razy musi się zatrzymać i opuścić głowę, ale się nie poddaje. Nie przyzna się do porażki. Może to właśnie ten upór tak mnie pociąga. Moja żona chce wierzyć, że jest wojowniczką. Zamierza znieść każdą karę, którą na nią nałożę. Ale nie widziała najgorszej wersji mnie. Jeszcze.

Po dotarciu do wolnego stanowiska zmuszam ją, by ułożyła się na wąskiej, krótkiej ławie. Posłusznie przyciska brzuch i piersi do poduszki leżącej na skórzanym obiciu, a ja przywiązuję jej nadgarstki i kostki do metalowych uchwytów wystających z podłogi. Nogi ma szeroko rozsunięte, dzięki czemu mogę bez przeszkód rozkoszować się widokiem jej tyłka i cipki lśniącej od wilgoci. Ciężka maska sprawia, że Ivy najchętniej zwiesiłaby głowę. Z trudem utrzymuje ją w górze, lecz się nie poddaje. Walczy ze swoją słabością.

– Witaj, panie – słyszę kobiecy szept za plecami. – Widzę, że masz już towarzyszkę na wieczór. A może chciałbyś drugą? Skupiam spojrzenie na Ivy, która odwraca głowę w moją stronę. Może to tylko wyobraźnia, lecz odnoszę wrażenie, że dziewczyna spina się jeszcze bardziej niż chwilę temu. Zamiera, uważnie nasłuchując odpowiedzi.

Uśmiecham się złowieszczo. Nie spoglądam nawet na kurtyzanę, która za mną stoi. Stowarzyszenie wynajmuje je, by zapewniały nam rozrywkę, więc kobieta po prostu wykonuje swoją pracę. Ale Ivy o tym nie wie.

– Co masz do zaoferowania? – pytam.

Kobieta obchodzi mnie powoli, po czym klęka przede mną i pochyla głowę.

– Cokolwiek cię zadowoli, Dominus et Deuce.

Przelotnie zerkam na jej nagie ciało. IVI stawia wysokie wymagania zatrudnianym kobietom. Muszą być oszałamiające. Piękne. Najładniejsze, jakie możemy spotkać. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nigdy tu nie przychodziłem i nie zabawiałem się z nimi. Ale w tej chwili widok klęczącej przede mną kurtyzany nie sprawia mi przyjemności.

Widzę tylko swoją żonę, ciągle wracam do niej spojrzeniem. Nie jest tego świadoma. Wciąż czeka niespokojnie, co odpowiem nieznajomej.

– Może udzielisz mojej towarzyszce lekcji – zwracam się do kobiety. – Pokażesz jej, jak zadowolić mężczyznę? Wydaje się, że ta sztuka jest jej obca.

Kobieta uśmiecha się nikczemnie, kiwając głową.

– To będzie dla mnie zaszczyt.

Ivy walczy z więzami, liny wbijają się w jej nadgarstki.

– Nie – wypowiada ledwie słyszalnym szeptem, ale właśnie tego od niej potrzebuję.

Jest zazdrosna. Mimo wszystko nie chce się dzielić swoim potworem. To już drugi raz, gdy dostrzegam w niej tę małą bestię. Pierwszy raz pokazała ją, gdy wspomniała, jak Mercedes zwróciła się do mnie swoim czułym przezwiskiem. A teraz zobaczę ponownie jej zazdrość.

Kobieta wstaje powoli i sięga do paska mojego płaszcza. Zatrzymuję jej rękę i kręcę głową, po czym pochylam się, by wyszeptać jej dalsze instrukcje do ucha. Słucha uważnie, potakuje i szybko się cofa.

Obserwuję drżącą Ivy przez kilka minut w ciszy. Szepcze moje imię, przez co muszę powstrzymać jęk rozkoszy wywołany jej desperacją. To nielogiczne, że chce osiąść mnie w ten sam sposób, w jaki ja ją posiadam. Powinna wiedzieć, jak niebezpieczne jest dla niej to pragnienie. Kiedy przychodzi mi to do głowy, zaczynam się zastanawiać, czy dziewczyna próbuje się droczyć, nawet w tej chwili. Bawi się mną, udając, że może mnie prawdziwie pragnąć?

– Proszę, nie rób tego – błaga. – Przysięgałeś mi wierność. Złożyłeś przysięgę.

Jej głowa opada. Ciało drży. Nigdy nie wyglądała pięknie. Pragnę jej dotknąć bardziej, niż pragnąłem kiedykolwiek wcześniej. Ale najpierw muszę zobaczyć, jak daleko posunie się z tymi kłamstwami.

Kobieta w końcu wraca, prowadząc ze sobą innego członka stowarzyszenia. On również ma na sobie płaszcz i maskę. Wita mnie skinieniem głowy, zrzuca nakrycie, rozpina rozporek, po czym pomaga kobiecie uklęknąć przed sobą. Po chwili odgłos mlaskania, jaki kurtyzana wydaje, ssąc jego fiuta, wypełnia przestrzeń między Ivy a mną. Po zakrytej maską twarzy mojej żony spływają łzy, które skapują na posadzkę. Stoję wystarczająco blisko, by móc przyjrzeć się jej dokładnie jak nigdy wcześniej. Obserwuję, jak jej mięśnie się napinają, a pierś faluje, gdy Ivy stara się utrzymać prosto. Choć jest upokarzana, wciąż walczy, nie pozwalając ciału się poddać.

Mężczyzna wysuwa fiuta z ust kurtyzany i głaszcze ją po twarzy. Oboje milczą, gdy on bierze ją za rękę, po czym prowadzi do małego stołu znajdującego się obok Ivy. Sadza na nim kobietę, łapie za biodra i przyciąga do siebie, aż znajduje się dokładnie tam, gdzie on tego pragnie.

Jęk przerywa ciszę, gdy mężczyzna wbija się w kobietę, a ciało uderza o ciało. Ivy wznawia walkę, siłując się z więzami, przez co obciera sobie nadgarstki i kostki. Desperacko próbuje

się uwolnić. Nadal uważam, że w każdej chwili ta iluzja zostanie roztrzaskana. Skończy przedstawienie, przestanie udawać, jakby obchodziło ją, kogo pieprzę. Ale tak się nie dzieje.

Żaloszny szloch rozrywa mi uszy, gdy okrążam Ivy. Przypadkiem dotykam jej pleców, przez co zamiera.

– Kto tam jest? – mamrocze.

– Któż inny mógłby tu być? – szepczę jej do ucha.

Bierze gwałtowny wdech, przechylając głowę. Jest zdezorientowana. Wciąż nasłuchuje odgłosów pary pieprzającej się kilkadziesiąt centymetrów od niej. Przygryzam ucho Ivy i jęcę, obejmując dłońmi piersi, których sutki po chwili szczypię.

– Jak smakuje zazdrość? – Drażnię płatek jej ucha zębami. – Chcę usłyszeć, jak to przyznajesz.

– Nie – mówi, po czym się wzdryga.

– Wkurza cię to?

Przesuwam palce do zbiegu jej ud, gdy próbuje opanować emocje.

– Nie obchodzi mnie, co robisz. – Pochyliła głowę, a później zmusza się, by ją unieść, walcząc z ciężarem maski.

– Kłamczucha.

Wciąga głośno powietrze, kiedy odgłosy wydawane przez pieprzającą się parę stają się coraz głośniejsze. Wije się przy mnie na tyle, na ile pozwalają jej więzy, wyginając się w łuk, gdy daję jej klapsa w lechtaczkę. Syczy, więc robię to ponownie.

Następnie dotykam jej z niezasłużoną czułością, głaszcząc i drażniąc do granic możliwości.

– Nikt inny nie będzie cię miał. – Przesuwam ustami po kręgosłupie dziewczyny, palcami rozchylając wargi jej cipki, gdy za nią klękam. – Zawsze będziesz należeć do mnie.

– A co z tobą, Santiago? – domaga się odpowiedzi. – Do kogo ty należysz?

– To niemal brzmi jak przyznanie się do zazdrości.

Zanurzam twarz między jej udami. Pierwsze liźnięcie ją zaskakuje. Zduszony jęk więźnie w gardle Ivy, gdy powtarzam pieśczętę. Chcę na niej ucztować. Pieprzyć ją całą noc, aż kiedy postawi choć jeden krok, będzie czuła, że w niej byłem. Ale

zrobienie tego oznaczałoby przyznanie się do słabości. Pokazałbym, że Ivy ma na mnie wpływ, co nie może być prawdą. Liżę ją ponownie. Dziewczyna próbuje przysunąć się bliżej, więc się wycofuję.

– To nie dla ciebie. Tylko dobre żony mogą dochodzić. A ty nie poprosiłaś o wybaczenie.

– Proszę. Zdejmij mi maskę. Jest za ciężka. Nie mo...

– Zdejmę ją, kiedy uznam, że dostałaś nauczkę.

Wyciągam fiuta ze spodni i pocieram nim o wrażliwą łechtaczkę. Dreszcz przeszywa ciało dziewczyny, nawet jeżeli jej głowa ugina się pod ciężarem maski. Podejrzewam, że dojdzie w mgnieniu oka pomimo moich deklaracji, że nie doprowadzę jej do orgazmu.

Wchodzę w nią jednym płynnym ruchem, jęcząc, gdy zagłębiam się do końca. Ivy dyszy z zaskoczenia, po czym również jęczy, kiedy łamię zasady i pieścę jej wrażliwy punkt, jednocześnie poruszając biodrami. Wbijam się w nią, a w tym samym czasie mężczyzna obok nas zaczyna pieprzyć kurtyzanę coraz gwałtowniej. Kobieta piszczy, gdy osiąga spełnienie, a facet dochodzi w niej mocno. To tylko podkreca moje pragnienie.

– Jesteś gotowa, by prosić o wybaczenie?

Wsuwam się ponownie w Ivy, wywołując u niej dreszcze.

– Nie! – woła. – Nienawidzę cię.

– Nienawidzisz? – śmieję się groźnie. – Zobaczmy, ile w tym prawdy.

Zaczynam szybciej poruszać palcami, wchodząc w nią bez przerwy. Kątem oka zauważam, że stojąca obok nieznajoma para obserwuje nas z ciekawością. Ivy trzyma się swojego postanowienia, by się nie złamać, ale ciało nie słucha już umysłu. Głowa dziewczyny opada coraz niżej, mięśnie napinają się i kurczą, aż w końcu dochodzi gwałtownie, ściskając mojego fiuta tak mocno, że sam również osiągam spełnienie. Przez niekończące się sekundy wlewam się w Ivy, wbijając palce w jej biodra. Pewnie zostaną po tym ślady. Zamykam oczy, mija chwila, nim łapię oddech, myśląc, co, u diabła, się stało. Nie sądzę, bym kiedykolwiek przeżył tak intensywny orgazm.

Gdy uchylam powieki, zauważam, że z głową Ivy jest coś nie w porządku. Jej włosy zwisają tak nisko, że ich końcówki sięgają podłogi. Szyję ma przechyloną pod dziwnym kątem. Kiedy z niej wychodzę i puszczam jej biodra, ciało dziewczyny opada bezwładnie na jedyną podtrzymującą ją poduszkę.

Panika zamazuje mi pole widzenia, gdy spieszę z pomocą.

– Nic jej nie jest? – pyta kurtyzana.

– Rozwiąż jej kostki – rozkazuję, sięgając do głowy Ivy.

Ciąży mi w dłoniach. Wiem, że to przez maskę. Zdejmuję ją drżącymi palcami, przytulając twarz dziewczyny do siebie, po czym zajmuję się nadgarstkami.

Kobiecie udaje się uwolnić kostki mojej żony. Odprawiam ją i mężczyznę, po czym biorę bezwładne ciało w ramiona.

– Ivy. – W swoim głosie słyszę desperację, której nie rozpoznaję. Niosę dziewczynę na wyściełaną ławkę. – Ivy, proszę.

Po kilku minutach zaczyna się wiercić. Mruga, gdy dochodzi do siebie.

– Ivy. – Ściskam drobną dłoń, pochylając się, by spojrzeć żonie w oczy. – Powiedz, co się stało.

Milczy przez dłuższą chwilę. Zwilża wargi językiem, patrząc na mnie z dezorientacją.

– Chyba zemdlałam.

Ponownie zamyka oczy, łzy spływają strumieniami, a alkohol, który krążył mi w żyłach, gdy postanowiłem ją tu przywieźć, dawno wyparował. Nigdy nie czułem się równie trzeźwy jak teraz, kiedy przyglądam się krzywdzie, którą wyrządziłem Ivy. Jest blada i słaba, ledwo może się ruszyć czy odezwać. Jej włosy są splątane, nadgarstki oraz kostki czerwone od lin. Wygląda żałośnie, co niespodziewanie we mnie uderza.

Ja jej to zrobiłem.

– Ivy.

– Zabierz mnie stąd. – Odwraca się, nie chcąc spojrzeć mi w oczy.

Czuję się nieswojo, gdy zdejmuję płaszcz, którym następnie ją owijam, po czym przytulam do piersi. Nie protestuje, kiedy

niosę ją przez dziedziniec do czekającego na nas samochodu, ale nadal na mnie nie patrzy.

Gdy tylko sadzam ją na tylnym siedzeniu, odsuwa się jak najdalej i odwraca głowę, a jej ciałem wstrząsa szloch. Oglądanie jej w takim stanie porusza mnie bardziej, niż mógłbym przypuszczać. Pragnąłem oglądać łzy Ivy, ale nie chciałem jej całkowicie zniszczyć.

A może jednak?

– Powiedz mi, co się stało – proszę.

Patrzy na mnie z zaciśniętymi ustami, emanując gniewem.

– Co się stało?! – powtarza z niedowierzaniem. – Mówisz poważnie? Ty się stałeś, Santiago! Naciskałeś na mnie bardziej, niż byłem w stanie znieść. Najpierw z całym tym przedstawieniem, później z maską. Doskonale wiedziałeś, co robisz. Nie zachowuj się, jakby było inaczej.

Dociera do mnie, że mówi o swoich problemach z równowagą. Oczywiście, gdzieś w głowie kołatała mi się myśl, że mogą być pewne ograniczenia, jeśli chodzi o to, ile Ivy da radę wytrzymać. Nie zdawałem sobie jednak sprawy z powagi problemu, dopóki nie zobaczyłem tego na własne oczy.

Nie myślałem jasno. A powinienem.

Doktor Chambers, zgodnie z poleceniem, wysłał mi kartotekę żony. Nie tylko notatki, ale całą dokumentację dotyczącą wszystkich wizyt Ivy u lekarzy Socjety. Czytałem o jej kłopotach z równowagą i koordynacją. Zawrotach głowy. Problemach wywołanych stresem. Ojciec zabrał ją do lekarza, ale nie zrobił nic więcej po poznaniu diagnozy. Można było podjąć pewne działania. Powinno się coś z tym zrobić. A teraz muszę się głowić, dlaczego tak się nie stało. Czemu nie zatrudnił najlepszego fizjoterapeuty, jakiego można kupić za odpowiednią sumę, który pomógłby jego córce? Dlaczego nie zadbał o nią wystarczająco? Dlaczego nie podjął choćby minimalnego wysiłku, by poprawić stan zdrowia dziewczyny?

– Ivy. – Sięgam dłonią po jej dłoń, ale ją odpycha.

– Przestań – ostrzega. – Nie chcę cię zranić, ale jeśli mnie teraz dotkniesz, będę walczyć. Będę drapać i wbijać w ciebie

paznokcie, aż upuszczę twoją krew, żeby udowodnić, że jesteś człowiekiem.

Jej słowa bolą mnie bardziej niż powinny. Nie zamierzam pozwalać, by ktokolwiek mi rozkazywał, a już na pewno nie będzie tego robił wróg, jednak w tej chwili, w słabo oświetlonym samochodzie, Ivy nie przypomina wroga, tylko więźnia. Dobrze poznaję tę poważną minę, bo sam często widziałem ją na swojej twarzy w lustrze. Myślałem, że tego właśnie chcę, ale po zobaczeniu dziewczyny w takim stanie dociera do mnie, jak bardzo się myliłem.

Kładę dłoń na siedzeniu pomiędzy nami. Ivy jest wystarczająco blisko, bym poczuł ciepło jej ciała, ale na tyle daleko, że czuję, jak ogarnia ją chłód.

Spieprzyłem, nie mam co do tego wątpliwości.

Chciałbym, aby mogła usłyszeć myśli krążące po mojej głowie. Niewypowiedziane słowa, których duma nie pozwala mi wypowiedzieć.

„Przepraszam za to. Bardziej niż za cokolwiek, co zrobiłem wcześniej”.

27 - IVY

Santiago bierze mnie w ramiona, nim bosymi stopami dotykam ziemi. Płaszcz, którym jestem owinięta, niemal całkowicie się zsuwa, ale łapie go i ponownie okrywa moje ciało. Gdy próbuję odsunąć się od twardego torsu męża i oswobodzić z uścisku, zacieśnia go.

– Puść mnie, Santiago.

– Nie.

Marco otwiera przed nami drzwi wejściowe, a Santiago wnosi mnie do środka. Nadal drzę, chociaż w domu jest ciepło. Czuję chłód tak głęboko w sobie, że nawet buzujący ogień nie byłby w stanie ogrzać mi ciała.

To, co Santiago dzisiaj zrobił, tamto przedstawienie, kolejne publiczne upokorzenie i całkowity brak troski o moje samopoczucie... Nie wybaczę mu tego. Nigdy. Nie wierzę, że się mną przejmuje. Nie, prędzej uwierzę, że obawiał się jedynie o to, czy za szybko mnie nie złamał. Może nawet zabił. Czym wcześniej groził. Ale jeszcze nie chce mojej śmierci. Nie nacieszył się torturami.

– Puść mnie!

Wiercę się w jego ramionach, kiedy przechodzi obok mojej sypialni i rusza dalej długim korytarzem. Jestem wykończona i osłabiona, ale muszę walczyć.

On jednak nie ustępuje. Moje zmagania wydają się nie mieć na niego żadnego wpływu. Z kamienną twarzą kieruje się do pogrążonej w większym mroku części domu.

– Nienawidzę cię – syczę.

Muszę to powiedzieć, bo chcę to też poczuć. W końcu powinnam go nienawidzić.

Santiago zerka na mnie po usłyszeniu tych słów, ale jest zbyt ciemno, bym mogła cokolwiek wyczytać z jego oczu. Trudno to zrobić nawet wtedy, gdy płoną świece.

Nie odpowiada. Nie rzuca żadnego przemądrzałego komentarza. Żadnych upomnień, jak wczorajszego wieczoru. Tylko on, taki jak zawsze. Zimny i nieczuły.

Nieludzki.

Zatrzymujemy się. Santiago otwiera podwójne drzwi na końcu korytarza, a gdy wchodzimy do przestronnego apartamentu, od razu wiem, że to jego sypialnia. Nie mogę się powstrzymać i wyciągam szyję, by się rozejrzeć. Czarne ściany, adamaszkowa tapeta, ciężkie, aksamitne zasłony w kolorze nocnego nieba. Białe światło księżycy sączące się przez małe okna. Również pancerne. Jak w pozostałej części domu. Na środku pokoju stoi wysokie łóżko, większe niż jakiegokolwiek, które widziałam w życiu, z czterema okazałymi kolumnami. Zaścielono je grubą kołdrą i poduszkami, które Santiago zrzuca beztrąsowo po podłogę, wciąż mnie trzymając.

– Nie będę się z tobą pieprzyć – mówię, gdy zdejmuje mi płaszcz. Później odsuwa kołdrę i kładzie mnie na pościeli. Na jednej z poduszek wyczuwam jego zapach. – Nie pozwolę ci się więcej dotknąć. Nigdy! Słyszysz?

Ignoruje moje słowa. Próbuje usiąść, lecz przykładą palec do mojej piersi.

– Nie – mówi, popychając mnie. – Zostań.

– Nie jestem psem, dupku. – Odrzucam jego dłoń, ale łapie mój nadgarstek.

– Powiedziałem „zostań”. – Słyszę, jak otwiera szufladę szafki nocnej, z której wyjmuje skórzane kajdanki. – Albo cię do tego zmuszę.

– Nie ośmielisz się.

– Twój wybór, Ivy.

Jak może być tak spokojny, kiedy ja cała się trzęsę? Kiedy dosłownie wariuję po wszystkim, co się stało?

Patrzę najpierw na kajdanki, następnie na Santiaga. Mówi poważnie. Dlatego ostatecznie kładę się, po czym odwracam do niego plecami. Kiedy tylko puszcza mój nadgarstek, chwytam kołdrę i podciągam ją pod podbródek.

Słyszę, że zamyka szufladę, a potem odchodzi. Gdy otwiera drzwi, obracam głowę, by zobaczyć, co robi. Wchodzi do łazienki. Po chwili wraca do mnie, otwierając jakąś starodawną buteleczkę. Przypomina coś, co jako dziecko napełniłabym piaskiem i nazwała magicznym pyłem.

Siadam, zachowując czujność, żeby obserwować Santiaga. Przyciskam do siebie kołdrę. Wciąż jestem naga. Drzę z zimna. Nadal przepełnia mnie nienawiść do tego mężczyzny. Mojego męża. Ciągłe czuję go między udami. To, jaki był gwałtowny. Jak mocno doszłam. I jak zemdlałam, a w głowie kręciło mi się nawet w ciemności, którą zapewniła maska. Te wszystkie dźwięki, ci ludzie. Otaczający mnie zapach seksu. Moje zmysły wyostrzyły się, gdy zasłonił mi oczy.

– Nienawidzę cię – powtarzam, tym razem czując piekące łzy w kąciakach oczu. – Nienawidzę.

Chcę, żeby o tym wiedział. By zrozumiał, że uczucie to jest we mnie głęboko zakorzenione, zatopione w lodzie skuwającym moje żyły, chociaż cichy głosik w głowie przypomina, że przez chwilę nie czułam nienawiści. A zazdrość.

I nie, nie była to krótka chwila.

– Nienawidzę cię, Santiago De La Rosa – mówię z większym przekonaniem niż to, które odczuwam.

Jego sperma zaschła na wewnętrznej stronie moich ud.

„Zapłodnię cię”.

Nie, nie. Nie mogę na to pozwolić. Nie pozwolę.

– Wypij to – mówi, podając mi dziwną fiolkę.

Zerkam na nią podejrzliwie, następnie na niego, po czym parskam śmiechem.

– Jesteś nienormalny? – Odpycham jego dłoń. – Myślisz, że tak po prostu wypiję jakąś truciznę?

– To nie trucizna. Pomoże ci się rozluźnić.

– Nie, wydaje mi się, że nie jesteś jeszcze gotowy, by mnie zabić, prawda? Zbyt dobrze się bawisz. – Odwracam od niego głowę. – Nie chcę twoich narkotyków, Santiago.

– Wypij to.

Słyszę w jego głosie napięcie. Kiedy nie odpowiadam, łapie mnie za podbródek i wbija palce w skórę, czym zmusza, bym na niego spojrzała.

Chcę mu powiedzieć, że łza, która spływa po moim policzku na jego dłoń, jest pozostałością po poprzednim płaczu. Nie wywołały jej emocje, które teraz mną targają. Nie robię tego jednak. Zamiast tego przyglądam mu się, tak jak on przygląda

się mnie. Jego mina jest dziwna, trudno ją odczytać. Wygląda niemal na urzeczonego. Kiedy tak na niego patrzę, dostrzegam coś więcej. Jest słabo widoczne, ale istnieje. Santiago z czymś zaciekle walczy.

Prawdopodobnie z chęcią mordu. Gdyby się mnie pozbył, zaspokoiłby sadystycznego diabła, którego w sobie skrywa.

Parskam, sprawiając, że czar pryska.

Santiago mruga. Obserwuję go. Czasami dostrzegam w jego oczach coś przypominającego ból, ale ten znika równie szybko, jak się pojawia. Teraz chyba ponownie go szukam, lecz ostatecznie kręcę głową. Wszystko, co wyobraziłam sobie, że widziałam, jest figlem, jaki płata mi umysł. By odczuwać cierpienie, trzeba być człowiekiem, a Santiago De La Rosa nim nie jest.

To diabeł.

– Matka przygotowywała mi to, gdy byłem dzieckiem – mówi, zbijając mnie z tropu tym wyznaniem. – Kiedy byłem zdenerwowany albo smutny. Nie zaszkodzi ci.

Przyglądam się znów jego twarzy. Nigdy nie byliśmy tak blisko jak teraz. Nigdy też nie wyznał mi tak wiele, nawet w kaplicy, kiedy mnie ukarał. To był fakt. Ojciec go bił. Teraz to coś innego.

W tym wyznaniu zawarł emocje.

Nie wiem, czy to przez wzmiankę o matce czy przez to, co się stało, ale jest wytrącony z równowagi, niemal bezbronny. Pamiętam, co Antonia mi o niej opowiedziała. Że wróciła do Barcelony i tam zmarła. Zabił ją żal.

Właśnie to teraz widzę? Jego żalobę?

Ponownie przenoszę spojrzenie na fiołkę, przypominając sobie historie o otruciach w Socjecie. Zawsze myślałam, że to bajeczki, ale teraz nie jestem pewna.

– Nie chcę – stwierdzam, chociaż wiem, że może mnie zmusić do wypicia tego. Może kazać mi zrobić cokolwiek zechce.

Jakby czytając w moich myślach, unosi dziwną buteleczkę do ust i upija łyk, następnie podtyka mi ją pod nos. Później puszcza podbródek.

– To nie trucizna. Pomoże ci. Obiecuję.

– Nie.

– Wypij.

– Albo co? Zmusisz mnie?

– Tak.

– Co ja ci takiego zrobiłam, co usprawiedliwiłoby twoje zachowanie wobec mnie? – pytam, zabierając mu fiolkę i wachając zawartość.

Wyczuwam zioła, coś słodkiego. Odchylam głowę, biorę tylko dwa łyki, a później oddaję mu buteleczkę, czując, jak płyn spływa mi do gardła. Jest prawie tak mocny jak szkocka, której spróbowałam wcześniej.

Wypuszczam powietrze przez usta, a Santiago zabiera fiolkę, spokojniejszy po tym, jak wypiałam miksturę. Nie wiem, czego powinnam się spodziewać. Skurczy? Wymiotów? Ale czuję, że zaczynam się rozluźniać.

– Połóż się – mówi, pomagając mi to zrobić.

Nie walczę z nim. Nie ma sensu. Oboje wiemy, że wygra.

– Co to? – pytam, gdy mężczyzna krąży po pokoju, by zapalić kilka świec.

– Zioła, które pomogą ci się zrelaksować i zasnąć. Musisz się wyspać, by nabrać sił.

– Żebyś mógł jutro powtórzyć moją karę?

Nie odpowiada.

Rozglądam się po ogromnym pokoju. Znajduje się tu tylko kilka mebli, zgaduję, że to antyki. Na wezgłowie łóżka dostrzegam czaszkę i róże oraz skrzyżowane pistolety. Herb jego rodziny został wyrzeźbiony w drewnie.

Oczy zaczynają mi się zamykać. Próbując utrzymać je otwarte, przekręcam się na bok, by obserwować Santiaga. Nie mogę pozwolić sobie na zaśnięcie w jego obecności. Co ze mną zrobi, kiedy pogrążę się we śnie? Muszę na niego uważać, ale powieki mam takie ciężkie. Moje ciało się rozluźnia.

Santiago zapala świece na świeczniku stojącym w znajdującej się nieopodal części wypoczynkowej, po czym siada w dużym fotelu wyglądającym na wygodny.

Musiałam na moment odpłynąć, bo kiedy znowu unoszę wzrok, mężczyzna wpatruje się we mnie pociemniałymi,

skupionymi oczami. Ma mokre włosy, popija z kryształowej szklaneczki alkohol. Jest ubrany w dopasowany grafitowy sweter z dekoltem w serek i ciemne spodnie. Wziął prysznic?

Próbuję usiąść. Chcę iść do swojego pokoju. Santiago jednak w mgnieniu oka pojawia się przy moim boku. Zbyt szybko. Czyżbym znów zasnęła? Na stoliku obok fotela leży szkicownik, który widziałam w jego gabinecie. Rozpoznaję skórzaną oprawę. Próbuję się odezwać. Powiedzieć mu, że chcę wrócić do swojego pokoju.

– Odpręż się, Ivy.

Nie chcę się odprężyć.

Okrywa mnie kołdrą.

– Nie walcz z tym. Jesteś bezpieczna.

– Nie jestem. Nie z tobą.

– Ciii. Śpij.

Okej. Tak. Biorę głęboki wdech i pozwalam powiekom opaść. Łóżko Santiaga jest ciepłe. Otacza mnie jego zapach, jestem bezpieczna – tak jak powiedział.

Odkasłuję.

Nie. Nie tak jak powiedział.

Muszę zwalczyć to, co mi podał. Bo nie jestem bezpieczna. Nie w jego domu. W jego łóżku.

„Zapłodnię cię”.

Nie mogę do tego dopuścić.

Kiedy budzę się następnym razem, słyszę znajome mruczenie. Dociera do mnie zapach, który kojarzę.

– Prześpisz cały dzień, skarbie.

Otwieram oczy, ale muszę je przymrużyć z powodu jasnego światła.

Czy to słońce?

Gdy siadam, czuję na skórze dotyk jedwabnej koszuli nocnej. Rozglądam się po pokoju. To moja sypialnia. Nie jego. Moje łóżko. Poduszki.

– Która godzina? – pytam Antonię, która zaciąga zasłony.

– Prawie południe.

Przecieram oczy, ponownie spoglądając na wnętrze. Jedyne źródłem światła tutaj były niewielkie otwory zasłonięte

deskami. Teraz tych desek jest mniej, więc widzę większe, prostokątne okno.

– Santiago powiedział, żebym zadbała, byś dostała rano dużo soku, dlatego przyniosłam więcej. Tutaj masz świeże pączki. Na jego prośbę. To do niego niepodobne.

Przyglądam się, jak gosposia nalewa mi kawy, i patrzę na talerz wyładowany słodkimi smażonymi pysznościami. Uwielbiam pączki, ale odkąd tu jestem, moje śniadania były dość podobne. Pyszne, jednak nie takie jak to. Jajka, bekon i tosty.

Owoce. Dziś dostałam górę pączków pokrytych cukrem pudrem, jagody oraz dzbanek świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego.

– Mamy taki piękny dzień. Uznałam, że chciałabyś zobaczyć trochę słońca, nim Mercedes zabierze cię na przymiarękę sukni. Znowu ona?

Siadam, opuszczam nogi na podłogę i odczekuję chwilę, nim miną zawroty głowy, po czym wstaję. Podchodzę do okna, nie do końca przekonana, czy sobie tego nie wyobrażam. Odsuwam zasłonę i dotykam szyby, spoglądając na rozległy ogród, widoczny w oddali las oraz lekką mgłę unoszącą się w koronach drzew.

– Nic nie rozumiem.

Patrzę na drewniane panele na ścianie. Z całą pewnością ktoś zdemontował ich fragment. Kiedy? Odślonił połowę okna. – Chodź. Zjedz, póki gorące.

Podchodzę do stołu i siadam. Pozwalam Antonii położyć dwa pączki na talerzyku przede mną, po czym biorę jeden. Cukier puder przykleja mi się do ust, pokrywa język, gdy wgryzam się w nadzienie. Przez chwilę po prostu rozkoszuję się smakiem. Przyda mi się nieco słodkości w życiu.

– Prawda, że pyszne? – pyta Antonia.

Uświadamiam sobie, że jęknęłam. Potakuję, gryząc ponownie, a wtedy cukier spada na ciemnofioletową koszulę nocną. Założył mi ją? Kiedy przyniósł mnie do tego pokoju?

Przypominam sobie, jak przebudziłam się wczorajszej nocy. Za pierwszym razem okrył mnie kołdrą. Przy kilku kolejnych

razach mówił, bym jeszcze nie wstawała. Siedział ze szkiełkami na kolanach, obserwując mnie. Przez całą noc patrzył, jak spałam? Sam w ogóle się nie zdrzemnął? Nie pamiętam, by kładł się obok.

Przypominam sobie za to jedną rzecz. Widziałam Mercedes. Cóż, może był to sen, bo znajdowaliśmy się w korytarzu. Santiago mnie niósł. Jego siostra podglądała nas z ciemnego kąta.

Uświadamiam sobie, że mam na sobie również majtki. Czyżbym została umyta, gdy spałam. Jakim cudem tego nie poczułam? Co właściwie było w tej fiolce, że odpłynęłam na tak długo?

Rumienię się na myśl, że mył mnie, kiedy byłam nieprzytomna. Podnoszę więc szklanę, by się za nią ukryć.

Zrobił to wszystko z poczucia winy?

Nie. To nie ma sensu.

Antonia nalewa mi kolejną szklanę soku po tym, jak dopijam pierwszą. Biorę ją i opróżniam do połowy. Jestem spragniona.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo.

– Kiedy to zrobił? – pytam o okno.

– Słyszałam coś rano. Myślę, że zlecił to Marcowi. – Kobieta uśmiecha się ciepło.

– Hmm. – Odgryzam kolejny kęs.

– Znam Santiaga, odkąd nosił pieluchy, wiesz? – Kładzie na moim talerzu kolejny pączek. – Jego ojciec nie był łatwym człowiekiem, ale jego śmierć i fakt, że Santiago przeżył, kiedy uważał, że powinien zginąć... To go zmieniło. Jesteś dla niego dobra, Ivy. Widzę to. Czuję.

– Nie jestem. Nienawidzi mnie, a ja nawet nie wiem dlaczego.

– Nie, to nie jest nienawiść. Ten chłopak ma swoje demony, ale w głębi serca jest dobry. Wiem o tym. Uważam, że jeśli ktokolwiek może wydobyć z niego to dobro, to właśnie ty.

– Jeśli przetrwam – mruczę pod nosem. Następnie do głowy przychodzi mi coś innego. – Dlaczego każe wszystkim nazywać się panem?

Antonia kręci głową.

– To jego ojciec. Kazał nazywać swoich synów panami, kiedy byli jeszcze dziećmi. Był oziębły jak głaz. Ale nie będę mówić źle o zmarłym.

Przerywa nam pukanie do drzwi. Do pokoju wchodzi młoda pokojówka, która za każdym razem, gdy ją widzę, wygląda, jakby spodziewała się, że jakiś duch wyskoczy ze ściany.

– Tak, Jenno? – pyta Antonia z nutą irytacji w głosie.

– Proszę pani. – Spogląda na mnie, lecz zwraca się do gosposi:
– Brat pani De La Rosa przyszedł się z nią zobaczyć.

Wstaję.

– Mój brat tu jest?

Dziewczyna zerka na mnie nerwowo, jednak znów mówi do Antonii:

– Nie wiedziałam, co robić, proszę pani, więc go wpuściłam. Czeka na dole.

– Och.

– Pan jest...

Antonia odchrząkuje.

– Cóż, podaj mu kawę i powiedz, że Ivy zejdzie za kilka minut. Z pewnością wiesz, jak przyjąć gościa. – Klaszcze, odprawiając dziewczynę, na co ta odchodzi.

Ubieram się szybko, następnie spieszę na dół. Antonia mówi, bym zwolniła i trzymała się poręczy.

Abel ogląda fotografie stojące na kredensie w dużym salonie, ale odwraca się, gdy mnie słyszy. Trzyma w ręku oprawione zdjęcie, które odkłada, kiedy wchodzę do pokoju. Zauważam, że przedstawia Mercedes.

– Abel. – Zwalniam, powstrzymuję się przed przytuleniem go, bo, cóż, wciąż jest sobą. Boże, w jakim muszę być stanie, skoro uznaję, że padnięcie w ramiona brata byłoby dobrym pomysłem? Santiago mnie do tego doprowadził. – Co tu robisz?

– Ciebie też dobrze widzieć, siostrzyczko. – Spogląda na różaniec, który szybko chowam pod swetrem. – Czyżbyś odnalazła tu Boga?

– Właściwie to nie. Tylko samego diabła.

Parska śmiechem, przyglądając mi się.

– Chyba cię nie bije?

To skomplikowane. Zbieram się, by spróbować mu to wyjaśnić, gdy coś przychodzi mi na myśl.

– Coś się stało? Z tatą? Dlatego przyjechałeś?

Wzdycha głęboko, po czym przechodzi w głąb domu, rozglądając się po wnętrzu.

– Nie, jego stan się nie zmienił.

– Dzięki Bogu. Evangeline?

– Nie, Ivy. Nikomu nic się nie stało. Chciałem po prostu wpaść i sprawdzić, jak się miewasz. – Odwraca się do mnie.

Wiem, że wcale nie o to mu chodzi. Abel zawsze ma jakiś cel. Ale jest też jedyną osobą, która będzie w stanie mi pomóc.

– Nie mogę tu zostać, Abel. Musisz coś zrobić – mówię.

– O co ci chodzi? Rozejrzyj się. Żyjesz w luksusie, nawet jeśli panuje tu klimat

rodem z Draculi. De La Rosa jest zbyt skąpy, by oświetlić ten dom? – Nie. Myślę, że jest po prostu... – urywam, bo po co mam tłumaczyć bratu, że uważam, iż robi to z powodu swojej twarzy.

Sądzę, że Santiago nie lubi, gdy ktoś na niego patrzy. To dziwne, ale właśnie to do mnie dotarło. – Nieważne. Abel, nie mogę tu zostać. Mówię poważnie. On...

– Poślubiłaś De La Rosę, Ivy. Zostajesz. Jest tylko jedno wyjście. Cóż, dwa. Może się z tobą rozwieść albo cię zabić.

Drzę.

Abel się śmieje.

Zdaje sobie sprawę, jak bliskie prawdy są jego słowa?

– Jego siostra jest w domu? – pyta.

– Co?

– Mercedes. Jest tutaj?

– Nie wiem.

Kręci głową, jakby rozczarowany, rozgląda się ponownie, po czym podchodzi bliżej.

– Słyszałem, że idziesz na galę – odzywa się cicho.

– W siedzibie Socjety? – upewniam się.

Abel kiwa głową.

– Tak – mówię. – Będziesz tam? Może zabierzesz Evange...

– Nie bądź głupia, Ivy. Oczywiście, że mnie nie będzie. Nawet jako jego szwagier nie jestem tam mile widziany. Ale mój czas nadchodzi. A ty odegrasz swoją rolę, by stało się to jak najszybciej.

– Nie rozumiem.

– Nieważne. Musisz coś dla mnie zrobić, gdy tam będziesz.

– Co?

– Chcę się dowiedzieć, z kim rozmawia Holton. Pamiętasz go?
– pyta.

– Nigdy nie zapomnę tego mężczyzny.

– Dobrze. Wróć tu za kilka dni. Przyprowadzę Evangeline, jeśli uda ci się zdobyć dla mnie przydatne informacje.

– Co?

– A, i nie wspominaj o tym mężowi. – Zerka na zegarek. – Muszę lecieć.

Po tych słowach kieruje się w stronę drzwi.

– Czeka! – Łapie go za łokieć. – Abel, proszę. Potrzebuję twojej pomocy. Tylko do ciebie mogę się zwrócić.

Wzdycha, jakby znudzony.

– Co, Ivy?

– On chce... Planuje... założyć rodzinę. Nie chcę tego, nie mogę mieć dzieci z tym potworem! Proszę. Musisz mi pomóc.

Prycha.

– To wszystko?

– Co masz na myśli?

– Nie martw się. Nie będzie żadnego dziecka. Myślisz, że na to nie wpadłem?

– Co?

– Zastrzyk, Ivy. To była antykoncepcja – wyjaśnia.

– Doktor Chambers dał mi zastrzyk antykoncepcyjny?

Brat potwierdza.

– Mówiłeś, że to były witaminy – rzucam.

– Chryste. – Kręci głową, jakbym była najgłupszą osobą, jaką w życiu spotkał. – Powiedziałem tak ze względu na tego cholernego grubasa Holtona. – Podchodzi bliżej, poprawiając mi grzywkę, by zakryć oko. – Schowaj to. Wygląda odrażająco.

–Kazałeś Chambersowi podać mi zastrzyk? Dlaczego więc zgodziłeś się, by Santiago mnie poślubił, skoro go nie lubisz?

–Nie odmawia się przecież Sprawiedliwemu Synowi, prawda? Nie jeśli chce się mieć coś do powiedzenia w Socjecie. Muszę iść. Powiesz mi, z kim rozmawiał Holton. Nie proszę o wiele, więc spróbuj tego nie spieprzyć.

Jest prawie przy drzwiach, gdy coś przychodzi mi do głowy.

–Jak długo?

–Co? – pyta zirytowany.

–Zastrzyk. Ile będzie działał? – dopytuję.

–Dwa lub trzy miesiące.

–Doktor Chambers wiedział?

–Podał ci go, prawda? Szczerze, Ivy, czasem poważnie zastanawiam się, czy masz jakiekolwiek zdolności poznawcze. Wsuwam palce we włosy. Dlaczego Chambers podał mi zastrzyk antykoncepcyjny, skoro wie, że Santiago pragnie syna?

–Ivy? – woła Abel.

Podnoszę na niego wzrok.

–Muszę ci mówić, że nie powinnaś wspominać o tym zastrzyku swojemu mężowi?

Kręcę głową.

–Dobrze. Pamiętaj o Holtonie. Chcę wiedzieć o wszystkich osobach, z którymi rozmawiał.

28 - SANTIAGO

Obraz rozmazuje mi się przed oczami, gdy na próżno staram się studiować dane na ekranach komputerów w swoim gabinecie. Zalewa mnie ciągły strumień cyfr. Powtarzające się wzorce. Przelewy przychodzące i wychodzące. To mój jedyny azyl. Zajęcie, które bez cienia wątpliwości przynosi ukojenie. Mimo to w ostatniej dobie jakoś nie udaje mi się przy nim uspokoić.

Spędziłem cały dzień zamknięty w tym pomieszczeniu, próbując nie myśleć o żonie ani o tym, co może robić. Antonia zajrzała do mnie kilka razy, by zaproponować mi wszystko, czego moje mroczne serce mogłoby pragnąć, ale w jej menu brakowało pozycji, której naprawdę łaknę.

Sięgam po butelkę szkockiej, odkręcam ją, po czym zaczynam się zastanawiać. Gromadząca się we mnie niespokojna energia jest mi zupełnie nieznaną. Nie rozpoznaję jej, nie wiem, co z nią zrobić.

– Kurwa! – krzyczę, przeciągając ręką po biurku i rozrzucając jego zawartość po całym gabinecie.

Szkoło roztrzaskuje się na podłodze, dokumenty rozsypują się niczym strzępki myśli. Mam ochotę wezwać Antonię, żeby złożyła mi kolejny raport o najnowszych poczynaniach mojej żony. Boję się jednak, że nawet ona jest już zmęczona ciągłymi prośbami o informacje, które jak do tej pory okazały się nijakie i nic niewnoszące.

Kobieta mówi mi to, co według niej chcę usłyszeć. Ivy zjadła. Wzięła prysznic i się ubrała. Odpoczywała. Tyle że nie takich wieści potrzebuję, a w rozdrażnieniu zauważam, że nie potrafię wyrazić swoich potrzeb, bo sam nie mogę ich określić.

– Lepiej ci? – Mercedes wchodzi do gabinetu, spoglądając na dowód mojego wybuchu z uniesionymi brwiami.

Potłuczone szkło pokrywające podłogę chrzęści pod jej czerwonymi szpilkami.

– Czego chcesz? – warczę.

Wzdryga się, słysząc mój ton, ale, jak zawsze, szybko dochodzi do siebie. Prostuje się i krzyżuje ręce na piersi, po

czym wbija we mnie spojrzenie.

– Co się z tobą dzieje? – dopytuje. – Dąsasz się tu cały dzień. To do ciebie niepodobne.

– Jestem zajęty – odpowiadam krótko. – Mogłabyś to zrozumieć, gdybyś miała w życiu inne zajęcie poza pożeraniem niewinnych dusz.

Śmieje się bez humoru, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Naprawdę, bracie? Właśnie ty spośród wszystkich ludzi zamierzasz pouczać mnie na temat moralności?

Nie wiem, dlaczego jestem dla niej takim dupkiem. Nie mogę tego powstrzymać, nie mam nastroju na konfrontację, a siostra dokładnie po to tu przyszła.

Siada teraz w fotelu po drugiej stronie biurka, zakłada nogę na nogę i odchyła głowę, przyglądając mi się. Mercedes zawsze potrafiła patrzeć na człowieka, jakby mogła dostrzec jego duszę. To denerwująca umiejętność, dzięki której rzucała mężczyzn do swych stóp, by prosili o jej uwagę. Dlatego wścieka się, gdy jej sztuczka nie działa.

– Nie chcę psuć ci humoru, Santi. – Siostra uśmiecha się złowieszczo, pochylając do przodu i zniżając głos do szeptu. – Ale jesteśmy dokładnie tacy sami.

Każdego innego dnia bym się z nią zgodził. Jesteśmy tacy sami. A przynajmniej byliśmy. Tyle że gdzieś pomiędzy wydarzeniami ostatnich kilku dni moje pragnienie zemsty zniknęło, zostawiając po sobie tylko dezorientację. To jedyne sensowne wytłumaczenie, biorąc pod uwagę, że spędziłem cały dzień, myśląc o uczuciach mojej żony. Próbując zrozumieć ludzkie emocje na poziomie, którego wcześniej nie znałem. Czuję się tak źle, że z trudem potrafię usiedzieć w gabinecie.

Chcę coś zniszczyć, ale po raz pierwszy nie jest to Ivy. Pragnę ją zmusić, by znów była wobec mnie słodka. Co za głupie urojenie.

Musiałem zwariować.

– Owinęła cię sobie wokół palca. – Mercedes wypowiada na głos to, co myślę.

– Nie. – Odpowiedź jest pozbawiona wyrazu, nawet ja nie potrafię udawać, że przekonanie w moim głosie nie brzmi

falszywie. Siostra mruży oczy. Widzę w nich ogień piekielny. Gdyby zazdrość miała twarz, należałaby ona do Mercedes. Wiem, dlaczego kwestionuje moje decyzje. Zawsze była oczkiem w głowie rodziny. Ukochaną księżniczką, którą podziwiała matka, a bracia za wszelką cenę chronili. Ale po eksplozji wszystko się zmieniło. Straciła ojca i brata, a chwilę później mamę. Oboje jesteśmy jak duchy, żyjemy w tym domu, nawiedzani przez wspomnienia. Przez cały ten czas siostra obserwowała, jak powoli jej się wymykałem, i ze wszystkich sił starała się sprowadzić mnie z powrotem. O to w tym wszystkim chodzi. Boi się, że straci brata na rzecz Ivy, jak straciła pozostałych.

– Daj spokój! Widziałam na własne oczy – syczy. – Nosisz ją po korytarzach jak zepsutą, małą lalkę. To żalosne, Santiago. Jeśli nie masz odwagi, by to pociągnąć, powiedz mi. Zrobię, co konieczne.

Krzesło uderza o ścianę, gdy wstaję i pochylam się nad biurkiem, wyrzucając gniew w twarz Mercedes, by nie wątpiła więcej w moją potęgę.

– Nigdy więcej nie próbuj podważać moich decyzji – warczę. – Zrobisz dokładnie to, co każę. Jeśli choćby pomyślisz, by wyciąć jakiś numer, odeślę cię tak szybko, że zakręci ci się w głowie. Czy to jest dla ciebie wystarczająco jasne?

Podnosi się gwałtownie, wargi jej drżą, a w oczach pojawiają się łzy. Okazywanie w ten sposób emocji jest niepodobne do Mercedes. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie ma racji.

– Myślisz, że masz wszystko pod kontrolą – cedzi przez zęby siostra. – Nawet nie wiesz, że twoja słodka, idealna żonka spotyka się potajemnie ze swoim bratem tuż pod twoim nosem.

Zaskakuje mnie tą informacją, a kiedy to sobie uświadamia, kręci głową.

– Jest zdrajczynią. Mądrze postąpisz, jeśli o tym nie zapomnisz. Nawet na sekundę, Santi. Zniszczy cię, jeśli jej na to pozwolisz.

Znika po tych słowach, zostawiając mnie samego z moimi myślami. Szybko przeszukuję monitoring, sprawdzając nagrania z kamery nad głównym wejściem, aż znajduję

niepodważalny dowód. Abel tu był. W moim pieprzonym domu. A Ivy mi za to zapłaci. Jestem w połowie korytarza prowadzącego do jej sypialni, gdy pojawia się w nim Antonia z tacą w rękach. Podskakuje przestraszona, kiedy mnie zauważa. Krzywi się, widząc moją groźną minę.

– Santiago? – Staje przede mną. – Ona śpi, proszę pana.

– Mam to gdzieś. – Ruszam do drzwi, ale Antonia zagraża drogę, patrząc na mnie z wyrazem, którego nie potrafię rozszyfrować.

– Może powinieneś pozwolić jej dziś odpocząć – sugeruje.

Zerkam ponad jej głową, zaciskając pięści przy bokach.

– Nie.

Takie przeciwstawianie się jest niepodobne do Antonii. Nie wiem, co spowodowało jej dziwne zachowanie, ale kiedy spuszcza wzrok, wygląda, jakby z jakiegoś powodu odczuwała wyrzuty sumienia.

– To moja wina, proszę pana.

– Co?

– Jej brat – mówi cicho. – O to chodzi, prawda?

Ta odpowiedź mnie zaskakuje, ale i zbija z tropu.

– Dlaczego to twoja wina?

– Wiem, że wszyscy goście powinni zostać najpierw zaaprobowani przez ciebie – odpowiada. Jej głos łamie się pod wpływem emocji. – Ale pomyślałam, że skoro to jej brat, nie będzie to zbyt dużym nadużyciem z mojej strony.

Oddycham z ulgą.

– Ivy nie prosiła o jego wizytę?

– Nie, proszę pana. Sam tu przyjechał – zapewnia gorliwie kobieta.

Przesuwam dłonią po włosach, po raz kolejny zerkając nad jej ramieniem. Powinienem wiedzieć, że Mercedes próbowała mnie sprowokować. A Ablem zajmę się później. Jak dotąd jestem zadowolony, że nie pojawił się na prośbę Ivy. Przynajmniej tym razem.

– Nie może postawić nogi w tym domu bez mojego wyraźnego pozwolenia – informuję gosposię. – Zrozumiałaś, Antonio?

– Tak, proszę pana. – Schyla głowę. – Przepraszam.

– Wiesz, o czym dziś rozmawiali?

– Niestety. Nie byłam obecna podczas tej rozmowy poza chwilą, gdy wprowadziłam panią do salonu.

Jestem tego świadomy, biorąc pod uwagę, że widziałem to na nagraniu. Mimo to liczyłem, że dostanę choć strzępek informacji. Wiem, że Abel nie odwiedziłyby siostry z dobroci serca.

Antonia stoi niepewnie w korytarzu, czekając, aż ją odprawię. Próbuje, ale nie potrafię wydobyć z siebie następnych słów, a kiedy mi się to w końcu udaje, mój głos jest bardziej spięty niż zazwyczaj.

– Chciała się dziś ze mną zobaczyć?

Gospoia unosi brwi w zdumieniu i nerwowo przestępuje z nogi na nogę.

– Nie, proszę pana – odpowiada.

– Rozumiem.

Zamierzam zawrócić. Właśnie to powinienem zrobić. Ale chociaż próbuję, nie jestem w stanie.

– Możesz odejść, Antonio. Dobrego wieczoru.

Kobieta kiwa głową i odchodzi pospiesznie, zostawiając mnie samego, kiedy kieruję się do sypialni Ivy. Łapiąc za klamkę, próbuję znaleźć powód, żeby nie wejść do środka. Nie mam wątpliwości, że nadal jest zła. Rozgoryczona. Przepęlniona nienawiścią do mnie. Przez chwilę nie jestem pewien, czy chcę ujrzeć w jej oczach te wszystkie uczucia. Nie dziś.

Opieram czoło o drewno, zastanawiając się, co powinienem zrobić. Próbuje odnaleźć w sobie złość, jednak nim się udaje, klamka obraca się z drugiej strony, drzwi zostają otwarte i po sekundzie staje przede mną przerażona Ivy.

Na mój widok sapie z zaskoczenia, po czym zawraca, by uciec do schronienia, jakim jest łóżko. Jednak drzemiący we mnie drapieznik łapie ją w talii, nim udaje jej się postawić dwa kroki, i przyciąga do klatki piersiowej.

Dziewczyna trzęsie się, gdy odwracam ją w swoich objęciach, przesuwając opuszkami palców po jedwabnym materiale koszuli nocnej. Ivy pochyla głowę, zasłaniając twarz włosami. Próbuje się przede mną schować.

– Dokąd się pani wybiera, pani De La Rosa? – szepczę.

– Donikąd. – Próbuje wyrwać się z mojego uścisku, ale na to nie pozwalam. – Usłyszałam hałas. Nie miałam pojęcia, że to ty. Gdybym wiedziała, zabarykadowałabym drzwi.

Zamykam oczy, wdychając słodki zapach szamponu Ivy.

– W taki sposób witasz się z mężem?

– Jesteś nim tylko z nazwy – oświadczam.

– Waleczna jesteś. – Odsuwam jej włosy z twarzy i łapię za podbródek, zmuszając, by na mnie spojrzała. – Cieszę się, że jeszcze się nie zламаłaś.

Brzmi to jak wyzwanie. W spojrzeniu żony dostrzegam teraz, że jest zdezorientowana.

– Myślałam, że właśnie tego chcesz.

– To ostatnie, czego pragnę – stwierdzam, prowadząc ją w głąb pokoju, aż dotyka nogami łóżka.

– Jestem zmęczona. – Przymyka powieki i drży, gdy przysuwam się do niej i muskam ustami jej szyję. – Proszę. Nie chcę się kłócić.

– To tego nie rób.

A później wykorzystuję to, że ma zamknięte oczy, i przyciskam wargi do jej warg. Zaskakuję ją. Otwiera usta i uchyla powieki, gdy całuję ją głęboko, jednocześnie obejmując w pasie i mnąc materiał koszuli nocnej w zaciśniętej pięści. Drugą ręką zakrywam oczy Ivy, by zasłonić jej widok, a później odchylam głowę dziewczyny. Poddaję się pokusie, żeby wpić się w jej wargi chociaż na chwilę.

Oddycha ciężko przy mojej piersi, sutki odznaczają się pod koszulką, a ciało pięknie wygina. Mógłbym obserwować ją w tej pozycji przez wieki i nigdy nie czułbym się zaspokojony.

Pogłębiam pocałunek, a Ivy łapie moją dłoń i wbija w nią paznokcie. Chce, żebym uwierzył, że jej się to nie podoba, ale ciało mówi mi co innego. Zabieram rękę z talii, po czym wsuwam palce między uda dziewczyny. Podskakuje lekko, czując mój dotyk.

Brakuje jej tchu, z trudem nabiera powietrza, gdy odsuwam się od jej ust i jeszcze mocniej odchylam głowę, by pocałować szyję oraz przygryźć delikatną skórę.

– Santiago – mówi ochryple Ivy.

Drocę się z nią, chociaż próbuje zacisnąć uda na mojej dłoni. Seks nie wchodzi dziś w grę, ale mam ochotę dotykać dziewczyny wyłącznie dla jej przyjemności. Nie chcę tego zbyt długo roztrząsać. To chwilowa słabość. Tak sobie wmawiam, gdy obracam ją i układam na łóżku. Unoszę tyłek Ivy, przyciskam jej twarz do kołdry, a sam klękam za nią.

– Santiago – zaczyna ponownie, ale milknie nagle, kiedy przesuwam nosem po jej cipce.

Ivy niemal wyskakuje ze skóry, robiąc gwałtowny wdech, kiedy przytrzymuję jej biodra i smakuję ją prawdziwie. Pierwsze muśnięcie języka wywołuje u niej gęsią skórę, drugie sprawia, że zaciska dłonie na pościeli.

Próbuje powstrzymać jęk, gdy rozchylam jej nogi nieco szerzej, czerpiąc przyjemność z oglądania tej wulgarnej pozy. Jedną ręką ściskam tyłek dziewczyny, przytrzymując ją w miejscu, drugą wsuwam pod nią, by zacząć masować okrytą jedwabiem pierś. Ivy jest już dla mnie mokra, tłumi ciche jęki, wciskając twarz w koc, gdy pożeram ją niczym głodujący na bankiecie mężczyzna.

W mojej głowie pojawia się myśl, że to nie w porządku. Nie powinienem dawać jej przyjemności. Ale teraz, kiedy już zacząłem, nie mogę przestać. Pragnę usłyszeć wydawane przez nią odgłosy. Poczuć, jak jej słabe, drżące uda zaciskają się wokół mojej głowy. Niemal niesłyszalne błagania, gdy doprowadzam ją na szczyt, są innym rodzajem zniszczenia, który może być niebezpieczny dla nas obojga.

Dziewczyna próbuje walczyć z nieuniknionym, chociaż dociera już nad krawędź i pierwsze fale zalewającej ją przyjemności pojawiają się na moim języku. Ivy głośno jęczy, gdy orgazm ją pochłania. Jej ciałem wstrząsają dreszcze, które przeciągam do momentu, aż nie może znieść więcej i zaczyna spazmatycznie łapać powietrze.

– Proszę, Santiago.

Uśmiecham się przy jej cipce, po raz ostatni smakując tej rozkoszy, nim obracam głowę do jej uda, które całuję. Ivy drży,

po czym opada całym ciałem na łóżko i zerka na mnie przez ramię.

Na twarzy żony maluje się mieszanina nieznanych mi uczuć, kiedy naciągam jej koszulkę na biodra i gładzę smukłe uda. Ivy wie, że nie powinna na mnie patrzeć, ale wydaje się, że nie potrafi się powstrzymać.

– Nadal cię nienawidzę – szepcze.

Zamykam oczy, czując udrękę, jakiej dotąd nie znałem.

– Powinnaś.

Zapada cisza. W sypialni słychać teraz jedynie nasze oddechy. Powieki Ivy zaczynają jej ciążyć, nie ma powodu, bym dłużej zostawał w tym pokoju. Ale dociera do mnie, że nie jestem gotowy, by wyjść. Siedzę więc obok, głaszcząc dziewczynę po udach. Badając krzywizny jej ciała. Próbując sensownie wytłumaczyć samemu sobie wojnę, która się we mnie toczy.

Chciałbym wiedzieć, czy Ivy nosi w sobie moje dziecko. Chcę ją posiąść. Jej ciało i duszę. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie, co mnie irytuje.

Skupiam się na nadchodzącej gali. Pierwszy raz pokażemy się publicznie od czasu ślubu. Kazałem Mercedes pomóc mojej żonie w przygotowaniach. Wciąż mam jednak wątpliwości, czy Ivy jest gotowa na takie wyjście.

– Jutro jest przyjęcie – mamroczę. – Nie muszę ci chyba przypominać, jak ważne.

Zerka na mnie przez ramię.

– Jestem tego świadoma.

Patrzę jej w oczy, zastanawiając się, czy powiedzieć, że Mercedes będzie potrzebowała Ivy jako rozproszenia, ale się do tego nie przyzna. Spotka tam Van der Smita z jego nowo poślubioną żoną, co bez wątpienia może wywołać pewne problemy. Ale siostra nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym zdradził Ivy tak intymny szczegół z jej życia. Nie lubi pokazywać swojego człowieczeństwa. Będę musiał się z nią rozprawić później, jak już skończę z żoną.

Cisza się przedłuża. Wiem, co powinienem teraz powiedzieć, ale przypuszczam, że gdy tylko wspomnę o bracie dziewczyny, ta całkowicie się przede mną zamknie.

Już mam o nim wspomnieć, kiedy rozlega się pukanie. Jest późno, a personel wie, że nie powinien mi przeszkadzać, chyba że to coś pilnego.

Ivy siada, zerkając na drzwi, a ja wstaję, żeby je otworzyć, po czym uchylam na tyle, by zobaczyć stojącą na korytarzu Antonię. Ma na sobie piżamę, na jej twarzy dostrzegam wyraźną skruchę.

– Przepraszam, że przeszkadzam, proszę pana – mówi zmęczonym głosem. – Jeden z pańskich ludzi czeka w gabinecie. Mówi, że to pilne.

Kiwam głową, odprowadzając ją, nim spoglądam z powrotem na żonę. Nasza rozmowa będzie musiała poczekać.

– Idź spać, Ivy – polecam.

Przykrywa się kołdrą i patrzy mi przez chwilę w oczy, po czym się odwraca.

– Dobrze.

29 - IVY

Siadam, obserwując, jak Santiago wychodzi z mojej sypialni. Drzwi zamykają się za nim z cichym kliknięciem. Czekam, by usłyszeć szcęk klucza, ale nie nadchodzi.

Zastanawiam się, kto mógł przyjść do niego o tak późnej porze. Co może być takie pilne?

Odrzucam koce i wkładam szlafrok, świadoma, że wciąż jestem mokra między udami. Próbuję nie myśleć o tym, co Santiago przed chwilą zrobił ani co czułam, kiedy mnie całował i wsuwał język w moje wnętrze.

Jest potworem.

Tylko tyle powinnam pamiętać o mężu.

Jedynym pocieszeniem są słowa brata.

Podchodzę do drzwi i przykładam do nich ucho. Nie dobiegają mnie żadne dźwięki z korytarza, ale Santiago potrafi poruszać się bezszelestnie, więc odczekuję jeszcze chwilę, nim uchylam drzwi.

Nikogo nie dostrzegam.

Robię kilka kroków i zerkam przez balustradę na pierwsze piętro. Spoglądam na duży hol, który łączy różne korytarze, ale nadal nikogo nie słyszę. Pokoje są ciemne, nie pali się nawet jedna świeca.

Jeżeli Santiago ma gościa, pewnie zabrał go do gabinetu, zwłaszcza że zależy mu na dyskrecji.

Ruszam do schodów. Jeśli ktoś mnie przyłapie, powiem, że jestem głodna. A jeżeli stanie się to w pobliżu gabinetu, skłamię, że się zgubiłam. Po tym, co mąż już mi zrobił, muszę postępować rozważnie. Nie być tak pasywna. Nie mogę pozwolić, by spotykały mnie takie rzeczy. Muszę się lepiej bronić. Jestem zdana na siebie i dobrze o tym wiem.

Wracam myślami do dni poprzedzających ślub. Wydaje się, że minęły całe wieki. Czułam się wtedy jak zupełnie inna osoba. Przez krótką chwilę myślałam, że będę mogła zwrócić się do Santiaga o pomoc. Sądziłam, że poproszę męża, by ochronił moją siostrę przed Ablem. Jestem idiotką, bo nie potrafię zapewnić bezpieczeństwa nawet sobie, a człowiek, którego

chciałam przekonać do wyciągnięcia Evangeline z opresji, okazał się diabłem.

Ostatni stopień skrzypi, więc się zatrzymuję, wstrzymując oddech. Czekam, by sprawdzić, czy ktoś to usłyszał. Nikt się nie pojawia. Personel pewnie śpi, a Mercedes prawdopodobnie grasuje gdzieś w poszukiwaniu świeżej krwi. Nie przyszła dziś, żeby zabrać mnie na zakupy ani by pomóc w przygotowaniu się na nadchodzącą galę. Przekazała mi tylko za pośrednictwem Antonii, że coś jej wypadło i mam wolne.

Gdy moje tętno w końcu się uspokaja, schodzę z ostatniego schodka. Dźwięki kroków bosych stóp są ciche na marmurowej posadzce. Spieszę przez hol do korytarza prowadzącego do gabinetu Santiaga. Również jest ciemny, jedynie kinkiety rozjaśniają nieznacznie mrok. Dzięki nim dostrzegam lepiej światło przesączające się pod drzwiami na końcu.

Muszę się pospieszyć. Jeśli Santiago mnie przyłapie, słono za to zapłacę. Dlatego staram się poruszać szybko, kiedy przekradam się do biblioteki, w której się zamykam. Nie jestem na tyle głupia, by podsłuchiwać go z korytarza. Później daję sobie czas, by przyzwycząić wzrok do ciemności, a już po chwili przechodzę między półkami do ściany, w której ukryte są drzwi. Santiago nie pytał, jak dostałam się do gabinetu. Nie zdaje sobie sprawy, że wiem o tym przejściu, a świadomość tego daje mi poczucie wygranej. Jednej w stosunku do tuzina jego.

Teraz, gdy wiem o istnieniu drzwi, niemal dostrzegam słabe światło przesączające się z gabinetu. Podchodzę do nich cicho, wstrzymując oddech, bo jestem przerażona. Przyciskam ucho do ściany.

– Dlaczego nie znaleźli tego wcześniej? – pyta Santiago podniesionym głosem. Brzmi na wkurzonego.

Słowa drugiego mężczyzny są stłumione. Cichsze. Słyszę, jak nieznajomy mamrocze kilka słów, które wywołują u mnie dreszcze. – Toksykologia... Wchłonęło się za szybko... Śpiączka...

Santiago odzywa się ponownie, ale nie udaje mi się zrozumieć, co mówi. Myślę więc o tym, co stało się wczoraj, gdy przyniósł fiolkę. Kiedy ją zobaczyłam, od razu przypomniałam sobie te wszystkie historie o otruciach wśród Socjety. Santiago

upił łyk napoju, żeby pokazać, że nie jest toksyczny, jakby czytał mi w myślach. Jakby krążące plotki były prawdziwe. Jakby istniała możliwość, że ktoś mógłby mnie...

Otruć.

Kto używa trucizn? W którym wieku my żyjemy?

Nie, nie ma opcji, by o tym rozmawiali.

Wracam myślami do ostatniego słowa nieznanego. Śpiączka. Myślę o moim nieprzytomnym ojcu leżącym w szpitalnym łóżku. Doszło do zatrzymania akcji serca. Ma to sens, biorąc pod uwagę jego styl życia.

Kręcę głową. To głupie. Nie rozmawiają o truciznie.

– Ktoś jeszcze o tym wie? – pyta Santiago.

– Nie.

– Dobrze. Jeśli dowiesz się czegoś jeszcze... – zaczyna, co odbieram jako znak.

Jestem pewna, że mąż zajrzy do mnie, zanim pójdzie do łóżka, więc muszę wrócić do pokoju przed nim. Nie czekam na resztę zdania, wychodzę pospiesznie z biblioteki, ale w ciemności zahaczam biodrem o półkę. Nie mam czasu, by sprawdzać, czy ktoś mnie usłyszał. Pędzę dalej. Zatrzymuję się jedynie przy drzwiach biblioteki, żeby upewnić się, czy korytarz jest pusty, po czym przebiegam do głównego holu i na piętro. Zakradam się do sypialni, a następnie zamykam za sobą. Serce podchodzi mi do gardła, gdy zrzucam szlafrok i wskakuję do łóżka.

* * *

Następnego ranka budzę się, czując silne skurcze w dole brzucha. Otwieram oczy, by obserwować, jak słabe pomarańczowe promienie wschodzącego słońca przesączają się przez cienkie zasłony. Te grubsze zostawiłam odsunięte.

Odsuwam koce i wstaję, a wtedy zauważam czerwoną smugę na białej pościeli. Jest inna niż krew po naszej nocy poślubnej. Abel nie kłamał. Santiago będzie rozczarowany.

Dobrze.

Wchodzę do łazienki, po czym otwieram szafkę pod umywalką w poszukiwaniu tamponów. Nie przyszło mi do głowy, by zająć się tym wcześniej. Ogarnia mnie panika, gdy

żadnych nie znajduję. Właściwie nie ma tu nic, czego mogłabym użyć.

Przechodzę do garderoby, by sprawdzić szuflady. Naprawdę o tym nie pomyślał? Wydaje się, że nic mu nie umyka. Żartowałam z jego płodności, ale chyba nie sądził, że od razu zajdę w ciążę i nie będę potrzebować takich rzeczy?

Niewiarygodne.

Wracam do łazienki. Zwijam papier toaletowy, by zatamować ciekącą krew, po czym myję ręce i wkładam szlafrok. Muszę znaleźć Antonię. Nie poproszę Santiaga o tampony. A już na pewno nie zapytam Mercedes.

Dom jest wciąż cichy, gdy idę korytarzem, ale zbliżając się do kuchni, słyszę głosy. Widzę też świece oświetlające drogę do sypialni. Już mam otworzyć drzwi prowadzące do kuchni, kiedy pojawia się Antonia, która wyciera ręce o ścierkę, wydając komuś polecenia.

– Ivy. Wcześniej wstałaś – mówi, wyraźnie zaskoczona moim widokiem.

– Ja... – milknę, gdy obok Antonii do kuchni przechodzi pokojówka. – To zawstydzające, ale dostałam okresu i... Eee, nie mam... – Odchrząkuję, przywołując się do porządku. To tylko pieprzony okres. – Potrzebuję tamponów.

Antonia potakuje, ale mogłabym przysiąc, że przez ułamek sekundy na jej twarzy dostrzegłam coś zastanawiającego.

– Oczywiście. Chodź za mną, skarbie.

Przechodzimy przez kuchnię i kilka korytarzy aż do drzwi znajdujących się daleko od centralnej części domu. Kobieta otwiera je kluczem. Wiedziałam, że są zamknięte, bo sprawdziłam to, gdy wałęsałam się po domu. Prowadzą do kolejnego korytarza, innego niż pozostałe. Po pierwsze, jest oświetlony elektrycznymi lampami, a po drugie, nawet po części nie został tak pięknie udekorowany jak reszta domu.

– Co tu jest? – pytam, ciesząc się jasnym światłem.

– Pokoje personelu. Pokojówki, ochrona i oczywiście ja mieszkamy w domu. To nasze sypialnie.

– Och – wzdygam, przypominając sobie polecenie Santiaga, że mam trzymać się z daleka od tej części domu.

Przewracam oczami na samo wspomnienie.

– Jesteśmy – informuje Antonia, otwierając kolejne drzwi.

Światło zapala się automatycznie, a moim oczom ukazuje się pralnia. Czuję zapach proszku i patrzę na włączony automat.

– Jak w hotelu – komentuję.

Gosposia uśmiecha się, po czym podchodzi do półki, na której zauważam kilka opakowań tamponów.

– Dom jest duży, a jego utrzymanie sporo kosztuje. Cieszę się, że twój mąż się tym zajmuje, chociaż zamknął niektóre pokoje, odkąd stanął na czele rodziny. Kiedy był tylko on i Mercedes, miało to sens, ale teraz... – urywa.

– Jak duży jest dom? – pytam, obserwując, jak odlicza pięć tamponów.

Podaje mi je. Słyszę, że coś mówi, ale nie zwracam uwagi na słowa, bo coś sobie uświadamiam.

Brak środków higienicznych nie był niedopatzeniem.

– Wezmę całe pudełko. Na pewno będę potrzebowała więcej niż pięciu – mówię zirytowana.

Ale nie na nią, a na swój ton. Wiem, że kobieta robi, co Santiago jej kazał.

Antonia spuszcza wzrok, biorąc głęboki oddech.

– Dam ci, czego potrzebujesz. Wystarczy, że poprosisz, Ivy, ale... – urywa.

– On chce wiedzieć – rzucam.

Robi mi się niedobrze, a moje oczy wypełniają się łzami. Czuję się bezsilna, poniżona i uwięziona jednocześnie.

– Chce założyć rodzinę. To wszystko.

Wyrywam tampony z dłoni gosposi.

– Kiedy będziesz zdawać raport, nie zapomnij wspomnieć, jak ucieszyło mnie, że się rozczaruje. – Odwracam się na pięcie, ocierając twarz, by pozbyć się głupich łez, które spływają po policzkach jako dowód kolejnego upokorzenia.

Czego się spodziewałam? Że będzie mu głupio przez to, co zrobił tamtej nocy, gdy zabrał mnie do siedziby stowarzyszenia? Kiedy kazał mi pełzać nagiej na czworakach, by wszyscy mogli mnie zobaczyć? Nawet nie wiem, kto tam był. Nie mam pojęcia,

kto widział mnie prowadzoną niczym psa przez własnego męża. Pieprzoną przez potwora.

Boże.

Nienawidzę go.

Nienawidzę swojego męża.

Najgorsze i najgłupsze w tym wszystkim jest to, że wcale tego nie chcę. Myślałam, że...

„Cholera!”

Odnajduję drogę prowadzącą do głównej części domu, ale muszę zatrzymać się przed schodami, bo kręci mi się w głowie. Zawsze, kiedy mam okres, czuję się gorzej. Łapię za poręcz, ignorując dziewczynę, która pyta, czy wszystko ze mną w porządku. Zaciskam powieki, modląc się, by zawroty szybko minęły. Nie okażę słabości, dopóki nie wrócę na górę, do swojej sypialni. Tam położę się do łóżka. Nie pokażę tym sępom kolejnej skazy, którą będą mogli wykorzystać.

– Ivy – słyszę głos Antonii.

– Nic mi nie jest!

Zmuszam się, by ruszyć dalej. Pocą mi się dłonie, przez co mój uchwyt jest nieco niepewny, ale koncentruję się na krokach. Muszę po prostu iść. Nie pozwalam sobie na zatrzymanie się, dopóki nie docieram do sypialni. Później wchodzę do łazienki, jedyne pomieszczenia, w którym mogę się zamknąć od środka. Siadam na zimnej podłodze wyłożonej płytkami, opieram się o drzwi i chowam głowę między kolanami, a głupie tampony rozsypują się u moich stóp.

30 - IVY

Większość dnia spędzam w łóżku, wpatrując się w prostokąt, przez który wpada do pokoju zanikające światło słońca. Część jedzenia, które przyniosła mi Antonia, spuściłam w toalecie, by myślała, że coś zjadłam, i dała mi spokój. Santiago kontroluje również to. Pewnie dostaje codzienne raporty. Może nawet co godzinę. Maniakalnie mnie sprawdza.

Jestem dla niego tylko ciałem, które może upokarzać i pieprzyć, a ostatecznie użyć do poczęcia dzieci. A co później? Co się stanie, gdy już mnie wykorzysta?

Nie. Nie muszę o tym myśleć. Wiem. Powiedział mi.

Odwracam się, gdy otwierają się drzwi. Bez pukania. Mercedes wpada do mojej sypialni jak do siebie.

– Proszę, proszę, leniuch z ciebie – mówi, patrząc na mnie protekcjonalnie.

Siadam.

– Czego chcesz? Nie jestem w nastroju, by cię znosić.

Za nią do pokoju wchodzi dwie kobiety. Jedna niesie pokrowiec na ubrania, druga ciągnie małą walizkę.

Gala.

Cholera.

– Nie idę – mówię, nim Mercedes ma szansę się odezwać.

Wstaję z łóżka i kieruję się do łazienki. Chociaż przechodzę okres łagodniej niż zazwyczaj, zastrzyk antykoncepcyjny nie ma żadnego wpływu na bolesne skurcze.

– To nie zależy od ciebie – odpowiada siostra Santiaga, wsuwając w drzwi czubek krwistoczerwonego buta na obcasie, żebym nie mogła ich zamknąć. – A może mój brat zapomniał ci o tym wspomnieć? Robisz, co ci się każe. Kropka.

Przestaję ciągnąć za klamkę, puszczam ją i patrzę w twarz szwagierki. Jest ode mnie wyższa, nosi szpilki, a ja stoję boso, przez co muszę unieść głowę.

– Ty i twój brat możecie się pieprzyć. Mam skurcze. Idź do diabła.

– Skurcze?

– Co? Ty nie dostajesz raportów o moim cyklu?

– O czym ty mówisz?

Chęć do walki mija. Jestem bardziej smutna niż zła, a to nie Mercedes wywołała mój gniew.

– O niczym. Po prostu odejdz. Możesz się nade mną poznać jutro.

– Nie sądzę. Mamy tylko godzinę, żeby cię przygotować, więc pospiesz się – mówi, po czym wychodzi, by wrócić chwilę później z torebką, z której wyjmuje opakowanie tabletek przeciwbólowych. Kładzie je na blacie. – Masz. Daję ci nawet leki. Nie żebyś zasługiwała na ulgę w bólu.

Moja złość wraca, teraz wymierzona jest w nią.

– Co, do kurwy nędzy, jest z wami nie tak? Ledwo wiedziałam o waszym istnieniu, gdy zostałam zmuszona do małżeństwa z twoim bratem. Do życia w tym domu z piekła rodem. Co takiego zrobiłam, że tak bardzo mnie nienawidzicie?

Jej spojrzenie ciemnieje, usta się zamykają, widzę, że zaciska dłonie w pięści. Zgrzyta zębami. Wiem, że chce coś powiedzieć, ale się powstrzymuje.

– Masz szczęście, że stoi między nami mój brat, Ivy Moreno, bo ja nie byłabym dla ciebie taka łagodna.

– Łagodna? Myślisz, że jest łagodny?

Parska śmiechem.

– Naprawdę? Jeśli tak, to jesteś równie pomyłona jak on! – stwierdzam.

– Nie zapominaj, gdzie twoje miejsce – ostrzega.

– Moje miejsce? Wynoś się. Spierdalaj z mojego pokoju!

– Jesteś w moim domu. Moim. Nie będziesz mi mówić, że mam wyjść.

– To dom Santiaga. Mojego męża! – Sama nie wiem, co mówię. Dlaczego ją prowokuję.

– Och! Twojego męża. Racja. – Mercedes przechyla głowę i uśmiecha się złośliwie. – Masz chociaż blade pojęcie, dlaczego cię poślubił? Dlaczego taki mężczyzna jak mój brat w ogóle na ciebie spojrział?

– Chciałabym wiedzieć. A teraz się wynoś, Mercedes. Mówię poważnie.

– On cię nienawidzi.

Jej słowa trafiają w czuły punkt. Nie wiem dlaczego. Nie obchodzi mnie ani ona, ani to, co myśli. Może to przez wszystko, co już się dziś stało albo co stało się w ostatnich dniach, reaguję w taki sposób. Nie mam pojęcia. Nim jednak ponownie otwieram usta i każę szwagierce wyjść, ta ciągnie bezlitośnie, szczerząc zęby:

– No błagam, powiedz, że o tym wiedziałaś.

– Po prostu odejdz. Proszę.

– Ooo. Nie wiedziałaś? – pyta.

Krzywię się, słysząc udawaną troskę. Nie wiem nawet czemu. Wiedziałałam o tym. To żadna nowość, że Santiago mnie nienawidzi. – Może i lubi cię pieprzyć, ale jest facetem. Jesteś jego zabawką. Jak wiele innych.

Uśmiecha się szyderczo, pokazując wszystkie zęby, gdy wymierza ten ostatni cios.

Zmuszam się, by wyprostować plecy i podejść do niej.

– Ach tak, Mercedes? A mimo to czujesz się zagrożona przez kogoś tak nieważnego jak ja, prawda? Widzę, że jesteś po prostu zazdrosna.

Mocno się rumieni, zaciskając pięści. Przez chwilę wydaje mi się, że mnie uderzy, ale zamiast tego obraca się na pięcie. – Zawołajcie tu Nathana – warczy do kogoś.

Zamykam drzwi łazienki, ale nasłuchuję, co się dzieje. Moje serce łomocze w klatce piersiowej. Parę minut później słyszę męski głos. Rozpoznaję, do kogo należy, choć nie znałam imienia mężczyzny. Nathan to jeden z ochroniarzy Mercedes.

– Przypilnuj, żeby założyli jej sukienkę, którą przyniosłam. Zadbaj też, żeby posadziła swój kościsty zadek i pozwoliła im wykonać swoją robotę tak, jak zarządziłam. Zadzwoń po mnie, zanim ją stąd wypuszczą. Rób, co musisz, żeby wykonała rozkazy, jasne?

– Pani brat powiedział...

– Zajmę się nim! Ty rób, co mówię, albo wylecisz! Czy to, kurwa, jasne?

– Tak, proszę pani.

Odsuwam się od drzwi i odwracam, by obmyć twarz. Dostrzegam, jak trzęsą mi się ręce. Wiedziałałam, że De La

Rosowie mnie nienawidzą. Nigdy w to nie wątpiłam. Przynajmniej w przypadku Mercedes. Przy Santiago były chwile...

Nie. Nie mogę tego robić. Nie pozwolę sobie myśleć o tych momentach. Jest potworem. Diabłem. Oboje są. Wzięli mnie na celownik, a ja nawet nie wiem dlaczego.

Nie jestem wystarczająco silna, by z nimi walczyć. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Ochlapuję twarz wodą, następnie ją wycieram. Później wydaję dwie tabletki przeciwbólowe z opakowania, które jest prawie pełne. Łykam je, po czym odstawiam buteleczkę, przygotowując się do stawienia czoła osobom, które są w pokoju. Zrobię, co mi kazano, bo wiem, że Nathan wypełni rozkazy Mercedes, nawet jeśli będzie to oznaczało wyrządzenie mi krzywdy.

31 - SANTIAGO

– Tu jesteś, bracie. – Mercedes pojawia się za moimi plecami.

Widzę jej odbicie w lustrze. Siostra wyciąga dłonie, by pomóc mi zapiąć maskę wykonaną ze srebra. Przedstawia połowę czaszki i połowę głowy Minotaura, a zwieńczona została różami. Ciemne, złowrogie symbole z domieszką dziedzictwa De La Rosów.

Gdy maska znajduje się na swoim miejscu, stwierdzam, że Mercedes dokonała dla mnie dobrego wyboru.

– Idealnie. – Uśmiecha się nikczemnie ponad moim ramieniem. – Wyglądasz naprawdę diabelsko.

Odrywam wzrok od swojego odbicia i odchrząkuję.

– Tak, cóż, myślę, że pasuje.

Mercedes przechodzi za mną do holu. Jej czerwona suknia szeleści, a obcasy stukają o kamienną podłogę. Siostra również weźmie udział w dzisiejszym przyjęciu. Podejrzewam, że liczy, iż przy pomocy kreacji, która wygląda, jakby była jej drugą skórą, przyciągnie uwagę Van der Smita i jego małżonki. Gdybym nie był tak zaabsorbowany innymi rzeczami, kazałbym Mercedes się przebrać. Lecz dziwna energia, która przepływa mi przez żyły, nie pozwala mi skupić się na siostrze. Nie kiedy te krążą wokół mojej żony.

Czekamy w ciszy przez dziesięć minut, aż w końcu Ivy pojawia się na szczycie schodów z ochroniarzami po obu bokach. Oddech więźnie mi w gardle, gdy chłonę jej ciało owinięte długą do ziemi czarną suknią ze złotymi elementami. Maską dziewczyny została ozdobiona podobnymi czarno-złotymi wzorami, skrzydła motyla całkowicie zasłaniają połowę jej twarzy. W słabym świetle nie widzę oczu żony, ale się z tego cieszę. Nie mam wątpliwości, że pod materiałem kryje się spojrzenie pełne nienawiści. Ale dzisiejszego wieczoru będzie tak, jakby te uczucia nie istniały.

Mercedes wygląda na zadowoloną z siebie, gdy zgina palec, pokazując mojej żonie, by do nas dołączyła.

– Tego sobie życzyłeś? – szepcze, kiedy Ivy rusza do nas sztywno.

– Dokładnie – odpowiadam ponuro.

Ivy schodzi powoli ze schodów, ściskając poręcz, a ochroniarze podążają za nią. Gdy dociera do ostatnich stopni, niemal się przewraca, więc podchodzę, żeby ją złapać, lecz prostuje się i wyrywa z moich objęć.

– Nic mi nie jest – mówi chłodno. – Nie ma potrzeby, byś udawał zaniepokojonego.

Te gorzkie słowa przypominają mi, jaki chaos panuje w jej głowie, lecz zgodnie z zasadami Ivy powinna zostać ukarana za ten ton, bez względu na to, co czuje. Odkrywam jednak, że nie jestem w nastroju, by ją teraz karać. Podejrzewam, że nie poprawi to sposobu, w jaki podchodzi do naszego pierwszego wspólnego wyjścia. A ja chcę, aby wieczór przebiegł bez problemów.

Socjeta ma pewne oczekiwania wobec Sprawiedliwych Synów, między innymi liczą na bezproblemową integrację wybranych partnerów z wyższymi rangą członkami stowarzyszenia. Moim obowiązkiem jest przyprowadzenie Ivy na dzisiejszy bal maskowy i zaprezentowanie jej. Każdy mężczyzna będzie mi zazdrościł, gdy ją zobaczy, a to sprawia, że czuję ogromną satysfakcję. Dlatego nie mogę dopuścić, by ktokolwiek wątpił, że Ivy to posłuszna żona.

Mercedes spogląda na mnie pytająco, czekając, jak zareaguję na opryskliwość dziewczyny. Mam świadomość, że moje zachowanie potwierdzi tylko przypuszczenia siostry co do tego, że żona owinęła mnie sobie wokół palca, ale i tak łapię Ivy za rękę, po czym prowadzę bez słowa do drzwi. Mercedes idzie za nami. Po chwili wsiadamy do samochodu, w którym czeka na nas Marco. Droga do siedziby stowarzyszenia przebiega w ciszy. Zajmuję miejsce między Mercedes a Ivy. Żadne z nas się nie odzywa, ale kiedy docieramy do celu, polecam siostrze, by weszła do środka sama. Dopiero kiedy znika, wysiadam z rollsa i zatrzymuję się, by przyjrzeć się żonie. Jej krwistoczerwone usta kuszą mnie w świetle latarni.

Zamaskowana, ubrana w czerń i złoto – nigdy nie była równie piękna.

Przyciągam ją do siebie, choć się opiera. Muskam ustami jej ucho, gdy mówię:

– Wiesz, czego oczekuję od ciebie dzisiejszego wieczoru.

– Tak – rzuca opryskliwie.

Ignoruję jej ostry ton. Czuję, jak się trzęsie, gdy przyciskam się do niej. To oznaka strachu czy niechcianego pożądania? Ogarnia mnie mrok, kiedy dochodzę do wniosku, że to strach. Nie może być inaczej.

– Bądź grzeczna, a zostaniesz nagrodzona – dodaję. – Zachowaj się źle, a sprawię, że będziesz błagać o litość.

Odwraca ode mnie twarz, więc puszczam ją, ale po sekundzie kładę dłoń na znaku na jej karku i prowadzę Ivy do budynku, po czym korytarzem przechodzimy do sali balowej. Dwóch mężczyzn w garniturach otwiera przed nami drzwi, wpuszczając nas do pomieszczenia, w którym odbywa się największe wydarzenie tego roku. Ściany są tu pomalowane na głębokie odcienie szkarłatu i czerni, a ku mojemu zadowoleniu ogromne żyrandole rzucają jedynie lekką poświatę, zgodnie z motywem przewodnim dzisiejszego wieczoru. Z głośników płyną uwodzicielskie dźwięki jazzu, zapraszając do tańca.

Po chwili pojawia się przy nas kelner, proponując szampana. Ivy sięga po kieliszek, ale napotyka moje palce. Rzucam jej groźne spojrzenie. Obracam kieliszek w dłoni, wącham jego zawartość, po czym wypijam trunek w dwóch łykach. Odstawiam szkło na tacę, a kelner odchodzi. Ivy zerka na mnie wtedy z oziębłym uśmiechem.

– Nie ma powodu, byś odmawiał mi alkoholu – mówi słodko. – Wychodzi na to, że nie spisałeś się i nie zrobiłeś mi dziecka. Chyba nie myliłam się co do twojej płodności.

Wbijam palce w jej ramię, patrząc na nią ostrzegawczo. Rano zostałem poinformowany o tym, że dostała okresu. Antonia przekazała mi informację szeptem, po czym odeszła, zostawiając mnie samego z moją irytacją. Lecz Ivy jest złośliwa, na co nie pozwolę.

Rozważam odpowiedź, gdy podchodzi do nas zamaskowany mężczyzna. Ma na sobie drogi garnitur, który od razu świadczy

o tym, że jest jednym ze Sprawiedliwych Synów. Nie rozpoznaję jednak, którym z nich, dopóki nie odzywa się cicho:

– Santiago. – Kiwa głową. – Pozwolisz na słowo?

Jestem zaskoczony, odkrywając, że pod maską kryje się Angelo. Nie spodziewałem się znów go zobaczyć, szczególnie w Nowym Orleanie. Założyłem, że wróci do Seattle, by zrealizować własny plan zemsty.

Potakuję i spoglądam na żonę, po czym odnajduję wzrokiem siostrę, która stoi po drugiej stronie pomieszczenia.

– Idź do Mercedes – rozkazuję. – Przedstawi cię kilku osobom, gdy ja będę rozmawiał.

– Pójdę do łazienki. – Ivy unosi wyzywająco podbródek. – Później dołączę do twojej siostry. Ale nie potrzebuję, by mnie przedstawiała. Sama doskonale sobie poradzę.

Pochylam się, ściskam ramię żony i warczę do jej ucha:

– Możesz zacząć od tego, że będziesz uważać, jak się do mnie odnosisz. Nie miej złudzeń, że nie ukarzę cię publicznie.

Właściwie to, że moi współbracia będą mogli się temu przyglądać, sprawi mi przyjemność. Nie wystawiaj mnie na próbę, Ivy.

Wyrywa się, zgarnia materiał sukni, po czy odwraca się i znika w tłumie.

32 - IVY

Gdy tylko znikam mu z pola widzenia, biorę kieliszek szampana z tacy przechodzącego kelnera. Po części spodziewam się, że ktoś mnie powstrzyma. Mój mąż wszystko widzi i słyszy. Ale nikt tego nie robi, więc odwracam się tylko i zerkam przez ramię, a później podnoszę kryształowy kieliszek do ust i piję.

Właściwie to nie lubię szampana. Chcę jedynie tego lekkiego szumu w głowie, który dają bąbelki. Nie zamierzam się upić. Wiem, co by mnie za to spotkało. Ale dziś po prostu potrzebuję nieco rozluźnienia.

Goście, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, krążą po pokojach głównej siedziby Socjety w dzielnicy francuskiej, prowadząc dyskusje, śmiejąc się oraz pijąc drinki. Niektórzy noszą wyszukane maski, inni zupełnie proste. Kobiety mają na sobie piękne suknie, każda zdaje się ładniejsza od poprzedniej. W pewnym momencie dostrzegam, że przygląda mi się jakaś para.

Znają mnie?

Sięgam lewą ręką do znaku na karku, pierścionek zaręczynowy ciąży mi na palcu. To jedyne rzeczy, które dostałam od Santiaga. Tatuaż i pierścionek.

Spoglądam na dłoń. Nie jest tak charakterystyczny jak jego. Niepodobny do okropności, jakie noszą otaczający mnie mężczyźni. Pierścienie z herbami Sprawiedliwych Synów są ich symbolem przynależności do elity, powiązaniem z IVI. To obrzydliwe.

Przynajmniej sygnet Santiaga nie jest tak ogromny jak te, które dziś widzę. Ani jak ten, który miał Holton podczas mojego badania. Rozglądam się po sali, przypominając sobie prośbę brata. Jeśli dostarczę mu informacji, przyprowadzi do mnie Evangeline.

Kiedy w końcu odnajduję swój cel, rozpoznając mężczyznę pod maską, uświadamiam sobie, że nie mogę powiedzieć bratu tego, czego chce, bo nie widzę twarzy drugiego faceta. A nawet gdybym ją zobaczyła, pewnie bym go nie rozpoznała.

Mimo to podchodzę bliżej, trzymając spuszczoną głowę, jakbym po prostu przechodziła przypadkiem obok. Gdy się zbliżam, zerkam na dłoń towarzysza Holtona i przyglądam się jego sygnetowi. Szybko zabiera rękę, więc dostrzegam jedynie coś, co przypomina dwa młoty, ale mogę się mylić. Będę musiała znaleźć sposób, by zapytać o to Santiaga.

Chowam się za zasłoną w kącie, obserwując męża. Nadal rozmawia z tamtym gościem. Widać, że dobrze się znają, przez co zastanawiam się, co mówią. Maski, które noszą na twarzach, zasłaniają więcej niż u innych. Rozumiem Santiaga. Nie lubi, gdy ludzie na niego patrzą. Ciekawi mnie, co ten drugi ma do ukrycia.

Gdy Santiago unosi głowę i spogląda w moim kierunku, szybko się odwracam. Nie sądzę, by dostrzegł mnie w tłumie, ale nie mam pewności. Przecież sama widzę go jak na dłoni.

Pospiesznie wychodzę z bogato udekorowanego pokoju na dziedziniec. Mijam miejsce, w którym odbyła się ceremonia naznaczenia. Wygląda inaczej. Nie tak złowieszczo. Zniknął baldachim z róż i winorośli. Nie widać też rzeźbionych krzeseł ani stołu. Nie ma pogrzebacza wetkniętego w płomienie. Patrząc w dół, na ziemię i dostrzegam jedyną rzecz, która mogłaby sugerować, że ta scena miała tu miejsce. Mała obręcz między kamieniami, do której przypiął moją smycz.

Smycz.

„Palant”.

Przynajmniej nie zostałam dziś zmuszona do założenia tego cholernego różańca.

Głosy dookoła mnie zanikają, gdy wyciągam stopę, by dotknąć czubkiem sandałka tej obręczy. Nie włożyłam szpilek, które przyniosła Mercedes, wiedząc, że Santiago mnie w tym poprze. Powinnam jednak pamiętać, że nie zrobiłby tego z troski. Po prostu gdybym się potknęła i skręciła kark, straciłby swoją zabawkę.

Słowa wypowiedziane dziś przez Mercedes nadal boją, więc przełykam resztę szampana, by osłabić ich moc. Kiedy unoszę wzrok, widzę, że patrzy na mnie więcej osób, słyszę też szepty.

Boże. Mam taką samą paranoję jak Abel. Nie rozmawiają o mnie. Nawet nie wiedzą, kim jestem, bo ukrywam się za maską. Tu Mercedes się spisała. Zasłoniła moją twarz. Z pewnością zapewnienie mi prywatności nie było celowe, nawet jeśli maska jest denerwująca i ogranicza pole widzenia.

Stawiam kieliszek na cokole rzeźby, za którą ukrywała się tamta dziewczyna w dniu mojego ślubu. Uświadamiam sobie, dokąd zmierzam, dopiero gdy głosy za mną cichną, a korytarz staje się coraz ciemniejszy. Wyciągam ręce, by dotknąć ścian po obu stronach. Czuję już zapach kadzidła.

Nie przynosi mi to pocieszenia. Mój związek z kościołem opiera się na doświadczeniach ze szkoły prowadzonej przez zakonnice, które rzadko bywały miłe. Mimo to gdy docieram do drzwi, nie waham się. Otwieram je i wślizguję się do środka, uciekając od tych wszystkich ludzi. Przynajmniej to przynosi mi ukojenie, podobnie jak czerwona poświata lampy znajdującej się nad tabernakulum.

Sięgam do tyłu i rozwiązuję maskę, która zsuwa się z twarzy, kiedy wchodzę do kaplicy. Moje serce gubi rytm, gdy spoglądam na ołtarz i ukrzyżowanego Chrystusa. Przypominam sobie, co tu zrobiliśmy. Co siostra Maria Antonina pomyślałaby o swoim Sprawiedliwym Synu, gdyby się o tym dowiedziała?

Ta myśl mnie rozśmiesza. A może to przez szampana?

Nagle słyszę odchrząknięcie i dostrzegam ruch z tyłu kaplicy. Od razu czuję niepokój. Muszę sobie przypominać, że przecież nie robię niczego złego. Nawet jeśli Santiago tu wejdzie, o nic mnie nie oskarży.

– Ja tylko... – słyszę cichy głos. Jakaś dziewczyna wychodzi z cienia. – Zapalałam świecę.

Trzyma długą cienką świeczkę. Nie ma maski, dzięki czemu natychmiast ją rozpoznaję. Patrzy na mnie tymi samymi przerażonymi oczami co tamtego wieczoru.

To ta sama dziewczyna, która chowała się za posągiem w noc ceremonii naznaczenia.

Uśmiecham się.

– Przepraszam. Nie wiedziała, że kogoś tu zastanę – mówię.

Gdy się odwraca, zauważam, że jest w ciąży. Wcześniej tego nie dostrzegłam. Widziałam tylko twarz nieznajomej i to częściowo. Teraz też nie zwróciłam uwagi, dopóki nie spostrzegłam, że jedną dłonią trzyma się za brzuch, a obcisła zielona sukienka, którą ma na sobie, podkreśla jego okrągły kształt. Dziewczyna jest dość drobna. Fale rudych włosów spływają jej po plecach aż do pasa.

Wkłada świeczkę do świecznika, mrużąc modlitwę po łacinie, pochyła głowę, czyniąc znak krzyża, i spogląda znów na mnie. Jest ładna. Młoda. Chyba w moim wieku. Obserwuję, jak przechodzi do głównej nawy szybciej, niż spodziewałabym się po osobie w tak zaawansowanej ciąży. Pochyla się, by podnieść coś z jednej z ławek. Maskę.

– Jesteś panną młodą Santiago De La Rosy – rzuca.

Kiwam głową, gdy podchodzi bliżej. Później zatrzymuje się kilkadziesiąt centymetrów ode mnie, z maską w ręce.

– Jestem Colette. – Wyciąga pustą dłoń.

– Ivy – odpieram, przyjmując ją.

Jest drobna.

– Trochę mnie to przytłoczyło – wyjaśnia, podnosząc maskę, po czym znów łapie się za brzuch.

Siada na skraju najbliższej ławki, schylając się lekko, jakby próbowała czegoś dosięgnąć. Wtedy zauważam, że jest boso, a sięga po parę złotych sandałów na dziesięciocentymetrowej szpilce.

– Czekać, podam ci. – Pochyliłam się i stawiam tak, by mogła je włożyć. – Nie mogą być wygodne. To znaczy z... – Wskazuję na jej brzuch.

Colette uśmiecha się szeroko, ukazując idealnie białe zęby.

– Nie były też wygodne, gdy jeszcze nie byłam w ciąży. Ale wiesz, jacy oni są. – Pokazuje na drzwi, więc zakładam, że ma na myśli mężczyzn.

Siadam obok i potakuję, myśląc o niej. Dlaczego mąż kazał jej włożyć takie buty, skoro wyraźnie nie są wygodne? – Kiedy masz termin? – pytam.

– Zostały mi jeszcze trzy miesiące! – Spogląda w dół na swój brzuch. – Szczerze mówiąc, liczę, że wyjdzie wcześniej. Jestem

pewna, że mały waży już z pięć kilo.

– To chłopiec?

Przytakuje, wciskając stopę w but.

– Cholera.

– O co chodzi?

– Stopy za bardzo mi spuchły. Pewnie nie powinnam zdejmować szpilek.

– Jaki rozmiar nosisz?

– Normalnie trzydzieści osiem i pół, ale ostatnio trzydzieści dziewięć.

– Masz – mówię, zdejmując płaskie sandały. – Możemy się zamienić. Oczywiście jeśli chcesz. Nie są tak ładne jak twoje, ale noszę trzydziestkę dziewiątkę. Będą pewnie wygodniejsze.

Zerka na buty, następnie na mnie.

– Przysięgam, że moje są narzędziem tortur, Ivy – mówi, próbując się roześmiać.

– Tak też wyglądają. Nie przeszkadza mi to. Te i tak są na mnie trochę za duże.

– Jesteś pewna?

Kiwam głową, zastanawiając się, jak będę chodzić w tak wysokich szpilkach. Jakoś sobie poradzę.

– Dziękuję. Naprawdę. – Uśmiecha się ciepło, przez co zastanawiam się, ile wspólnego ma z Socjetą.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Mam twój welon – mówi, zaskakując mnie tym.

– Co? – pytam, przymierzając buty.

Są trochę ciasne, ale nie mocno.

Colette odwraca się w moją stronę.

– Przyszłam tu tamtej nocy. Kiedy... cię naznaczył. – Opuszcza wzrok, jakby się zawstydzila, przez co zastanawiam się, czy nas tu widziała. Czy widziała, co mi zrobił. Nie, to niemożliwe. Była na dziedzińcu. Ale może się domyśliła.

– Och.

– Zszyłam go. – Odchrząkuje, jakby dotarło do niej, jak niezręczna staje się ta rozmowa. – Mogę ci go przynieść. Oczywiście, jeśli chcesz.

– Naprawiłaś go?

– Lubię szyć, a to był naprawdę ładny welon. Żal było tego nie zrobić.

– Dziękuję.

Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy chcę go z powrotem, ale pragnę mieć przyjaciółkę. Przyda mi się jakakolwiek, a kobieta wydaje się miła. Jest do mnie trochę podobna.

– Nie powinnaś być w domu. To znaczy... – zaczynam, patrząc na jej brzuch. – Nie wyglądasz, jakbyś dobrze się czuła. Uśmiecha się i wzrusza jednym ramieniem.

– Jackson lubi te zebrania, więc nic mi nie będzie.

– Jackson to twój mąż?

– Tak. Jackson Van der Smit.

– Nie znam tego nazwiska. Przepraszam.

– W porządku. Nie jesteś jedną z... To znaczy pan De La Rosa wybrał... – urywa. – Źle to brzmi.

– Nie martw się tym – mówię.

Uświadamiam sobie, że chce powiedzieć, iż nie pochodzę z wyższych sfer.

– Chodziło mi o to, że nie mogłaś wiedzieć. Nie chciałam wyjść na arogancką. Nienawidzę tego wszystkiego.

– W porządku. Nie zabrzmiałaś tak.

Nagle robi coś nieoczekiwanego. Obraca się do mnie twarzą i łapie za rękę.

– Jak sobie radzisz, Ivy?

Jej pytanie sprawia, że chce mi się płakać. Żałuję, że zdjęłam maskę. Zabieram rękę i spuszczam wzrok.

– Wiem, że na początku jest ciężko – ciągnie, gdy nie odpowiadam. – Te wszystkie wymagania i Socjeta, ale cóż, będzie łatwiej.

– Naprawdę, Colette? Nie jestem tego taka pewna w moim przypadku.

Nie potrafię powstrzymać łez, ale Colette nie komentuje, gdy je wycieram, tylko znów łapie mnie za rękę.

– Wiesz, że mieszkam niedaleko ciebie? Rodzinny dom Jacksona znajduje się kilka kilometrów od waszego. Tylko... Jeśli nas odwiedzisz, będziesz zmuszona zmierzyć się z jego

babcią. – Krzywi się, przez co znów zastanawiam się, ile ma lat.
– To stara, wredna wiedźma, przysięgam.

Sposób, w jaki to stwierdza, wywołuje u mnie rozbawienie.

– Jeżeli chcesz, porozmawiam z Jacksonem, a on pogada z twoim mężem. Może pozwoli ci mnie odwiedzić.

– Naprawdę bym chciała. – Znów muszę otrzeć łzy.

Jak żalosne musi być moje życie, skoro życzliwość obcej osoby doprowadza mnie do płaczu? A o ile bardziej żalosne jest to, że dwie dorosłe kobiety muszą prosić mężów o pozwolenie, gdy chcą się spotkać?

Nagle bije gong, a Colette sapie z zaskoczenia, po czym spogląda na wysadzany diamentami zegarek.

– Cholera! Kolacja. Lepiej już chodźmy. Zauważą, że nas nie ma. – Zakłada maskę i wstaje.

Widać, że się spieszy, więc idę w jej ślady. Pomaga mi zawiązać maskę.

– Z czasem będzie lepiej. – Colette łapie mnie za rękę i ściska ją, zanim puszcza, gdy docieramy do drzwi. – Obiecuję.

Uśmiecham się, po raz kolejny wdzięczna za to, że mam zasłoniętą twarz.

– Colette, tu jesteś – odzywa się jakiś mężczyzna.

Dziewczyna jeszcze raz ściska moją dłoń, zanim do niego podchodzi.

Gdy znika, słyszę za sobą śmiech Mercedes, jednak nie odwracam się, by sprawdzić, czy to ona. Spieszę do łazienki, bo jestem pewna, że Santiago również mnie szuka, a potrzebuję miejsca, w którym mogłabym się na chwilę schować.

33 - SANTIAGO

Angelo wyciąga piersiówkę z kieszeni marynarki, upija łyk, po czym mi podaje. Dociera do mnie dymny zapach szkockiej, więc częstuję się, po czym zwracam butelkę.

– Nie spodziewałem się, że twoja wizyta potrwa tak długo – mówię. – Byłeś tu przez cały ten czas?

– Nie. – Kręci głową. – Pojechałem na północ, zbierałem informacje. Właśnie to spowodowało mnie z powrotem. Znalazłem kilka kont, które chciałbym, żebyś sprawdził. Muszę wiedzieć, kto je założył. Nie ufam nikomu innemu.

– Nie musisz nawet pytać – zapewniam. – Moja lojalność jest niezachwiana. Prześlij mi szczegóły, a wykopię wszystko, co będę mógł.

Przytakuje sztywno.

– Dostarczę ci je osobiście, przed moim lotem o świcie.

– Zakładam, że nie zostaniesz na przyjęciu.

Rozgląda się po sali.

– Nie. Przyszedłem tylko, by się z tobą spotkać.

– Dobrze. Pozwolę ci się teraz oddalić. Będę czekał na ciebie rano w rezydencji.

Pochyla głowę, znikając równie szybko, jak się pojawił. Również odchodzę, szukając wzrokiem siostry i żony. Nim mam szansę je odnaleźć, okazuje się, że Ivy znajduje mnie pierwsza.

Podchodzi z zalotnym uśmiechem, po czym popycha w stronę ciemnego kąta, układając dłoń na mojej klatce piersiowej.

– Co robisz? – pytam.

W odpowiedzi przesuwając palcami po moim karku i wsuwa je we włosy, na których je zaciska. Staje na palcach, lekko muskając moje wargi swoimi. Nieoczekiwany pocałunek na chwilę mnie paraliżuje. Ivy wykorzystuje moment zaskoczenia, by rozsmarować krwistoczerwoną szminkę na moich ustach, między które wpycha język.

To agresywne. Brutalne. I dziwne.

Bezwiednie odwzajemniam pocałunek, myśląc o tym, co chciałbym jej dziś zrobić. Ta nagła zmiana nastroju sprawia, że zaczynam kwestionować motywację dziewczyny. Na początku

czuję lekką irytację, ale szybko przeradza się w paranoję. Gdy łapię Ivy za włosy i odciągam od swojej twarzy, by się jej przyjrzeć, sala wydaje się przechylać.

Mrugam powoli, próbując pojąć, co widzę, ale obraz jest nieostry. Moja ręka opada z ciała żony. Wszystko wokół się kołysze, gdy próbuję odzyskać równowagę. Nim ogarniam, co się dzieje, łapię się za klatkę piersiową. Serce łomocze mi o żebra, zataczam się do tyłu, usiłując złapać oddech. Pot wstępuje na czoło, a ostry ból przeszywa czaszkę. Opadam na kolana, z trudem nabierając powietrza.

„Nie mogę oddychać”.

Ktoś krzyczy, słyszę pomruki, gdy upadam na plecy, po czym trzęsę się w konwulsjach na twardej podłodze. Ostatnim świadomym wysiłkiem, jaki podejmuję, jest otwarcie ust. Próbuję zrobić wdech, ale nie mogę.

Mój policzek opiera się o zimną posadzkę, życie zaczyna powoli opuszczać ciało, a w głowie pojawia się ostatnia myśl: Ivy jest prawdziwą Moreno i właśnie podarowała mi pocałunek śmierci.

34 - IVY

Następne dziesięć minut siedzę na aksamitnej kanapie w łazience, słuchając muzyki i śmiechów dobiegających zza drzwi. Wiem, że muszę wracać. Santiago na pewno zauważył już moją nieobecność. Dziwię się, że jeszcze nikt się tu nie pojawił.

Wstaję niechętnie, spoglądam na swoje odbicie i poprawiam szminkę w kolorze głębokiej czerwieni, która z całą pewnością spodobałaby się mamie. Mercedes zadbała, bym zabrała ją ze sobą, żeby w razie konieczności poprawić makijaż. Nie chce, bym źle wypadła. Wywołałoby to plotki, a skoro teraz jestem De La Rosą, powinnam dbać o swój wizerunek. Ścieram więc szminkę wierzchem dłoni. To moja oznaka buntu.

Słyszę kolejny gong, po którym kieruję się z jękiem do drzwi. Gdy do nich docieram, dobiega mnie kobiecy krzyk. Tak przeszywający, że dostaję dreszczy i zamieram w miejscu.

Mercedes?

Przekręcam klucz w zamku i naciskam na klamkę, ale nic się nie dzieje.

Podniesione głosy i kolejny wrzask przerywają dziwną ciszę, która zapadła w sali.

– Santiago! – wołam. Ogarnia mnie panika, gdy po raz kolejny próbuję wydostać się z pomieszczenia, lecz nie mogę. – Jest tam ktoś?! – krzyczę, uderzając pięścią w drewno. Naciskam na klamkę, ale nadal bez skutku.

Coś rozbija się za drzwiami, jak gdyby kelner upuścił tacę z kryształowymi kieliszkami.

Zrywam maskę i rzucam ją na podłogę.

– Mercedes! – wołam ponownie, upuszczając torebkę. Uderzam w drzwi obiema dłońmi. – Santiago!

Walę i walę, ale wybrałam tę łazienkę, bo jest najbardziej oddalona od jadalni, w której zastawiono długie stoły na kolację, więc pewnie nikogo tu nie ma.

– Niech mnie ktoś wypuści! – Gdy wypowiadam te słowa, po raz setny naciskając na klamkę, ta nagle puszcza. Nie

spodziewam się tego, zatem kiedy drzwi się otwierają, zataczam się do tyłu, po czym wpadam na ścianę.

Wstaję szybko, a potem wybiegam w tłum, który zebrał się niedaleko. Ktoś wydaje rozkazy. Słyszę wycie syren. Przepycham się między ludźmi, by zobaczyć, skąd to zamieszanie. Głęboko w środku czuję, że wydarzyło się coś bardzo złego.

Kiedy docieram na miejsce i widzę, co się dzieje, nie mogę tego pojąć.

Mercedes krzyczy. Klęczy, a na podłodze obok niej leży mężczyzna. Wiem, że to on. Nie muszę widzieć odrzuconej maski, tej dziwnej czaszki, którą założył. Maski dla zmarłego przypominającej tatuaż na jego twarzy.

– Santiago? – Moje oczy wypełniają się łzami, gdy kładę rękę na czyimś ramieniu i odpycham go. Żeby zobaczyć.

I widzę.

Dostrzegam bladą skórę. Piuwe oczy męża są mętne, następnie się zamykają.

– Santiago? – pytam ponownie szeptem.

Nie odpowiada, ale Mercedes mnie słyszy.

– Ty! – rzuca oskarżycielsko.

Kręcę głową, otwierając usta, żeby coś powiedzieć. Wyjaśnić... Ale co?

Do środka wchodzi ekipa pogotowia ratunkowego. Ludzie podążają za wzrokiem Mercedes w moją stronę. W oddali rozlega się jakiś dźwięk, słychać huk, a po chwili salę spowija mrok, ciemność tak gęsta, że kobiety wokół krzyczą. Czuję na sobie czyjeś ręce, ściskają mnie, paznokcie wbijają się w skórę, wybucha chaos.

Umarł?

Nie. Nie może tak być. Nie może być martwy. Nie Santiago.

Strumień światła pada na miejsce, w którym leży jego ciało. Próbuje się do niego dostać. Zobaczyć na własne oczy.

– Brak pulsu – stwierdza jakiś mężczyzna. Jego głos unosi się ponad harmidrem.

Brak pulsu? To nie może być prawda.

– ...zaczynjcie masaż...

Ponownie otwieram usta. Nie wiem, czy po to, by krzyknąć, czy wołać imię męża, a może by powiedzieć wszystkim, żeby zeszli mi z drogi. Nie może być martwy. Nie może. Ale jest tu zbyt wielu ludzi.

Kiedy mam zamiar ich odepchnąć, ktoś łapie mnie w pasie. Zostaję odciągnięta przez jakiegoś mężczyznę, który ma żelazny uścisk. Miażdży mi żebra, gdy mnie podnosi. Światło nad nami mruga raz, drugi, po czym włącza się, kiedy nieznajomy wynosi mnie do innego, tym razem pustego, pokoju.

Zostaję postawiona na podłodze. Zataczam się, po czym odwracam do mężczyzny. Ma na sobie ciemny płaszcz z dużym kapturem, który zsuwa, odsłaniając zamaskowaną twarz.

Zasycha mi w ustach. Dźwięki dochodzące z sali zanikają. Słyszę tylko szum.

Jego maska nie przypomina pozostałych.

Jest groźna.

Cofam się, rozglądając w desperackiej próbie odnalezienia wyjścia, ale jedyne drzwi znajdują się za mężczyzną, który właśnie zapędza mnie do kąta.

– Czego chcesz?! – krzyczę, uderzając plecami o ścianę.

Nie odzywa się. Zamiast tego łapie mocno mój podbródek. Ściskam go za przedramię, ale na próżno. Jest zbyt silny. Wystarczy jeden ruch nadgarstka, żebym uderzyła głową o ścianę.

Dopiero wtedy się cofa.

Zataczam się.

Przed moimi oczami pojawiają się gwiazdy, a pokój zaczyna wirować. Wyciągam rękę, by złapać równowagę, jednak nie mam się czego przytrzymać. Napastnik mówi coś, lecz nie rozumiem jego słów. Kolana się pode mną uginają i opadam na podłogę.

Czuję na sobie jego dłonie. Podnosi mnie, po czym zamyka w silnych ramionach. Pokój znika w ciemności, a moje ręce zwisają bezwładnie, gdy mężczyzna wychodzi na dziedziniec, prosto w noc.

Dziękujemy za przeczytanie Requiem duszy.
Mamy nadzieję, że pokochałyście Santiaga i Ivy.
Ich historia będzie kontynuowana w Odkupieniu grzechu.

O Autorkach

A. Zavarelli

Autorka bestsellerowych darków i romansów współczesnych z listy USA Today i Amazona. Kiedy nie zsyła swoich postaci do piekła, ogląda dziwaczne, pokręcone filmy. Oczywiście robi to w poszukiwaniu inspiracji. Obecnie mieszka w Northwest ze swoim drwalem i całym stadkiem futrzastych dzieciaków.

Natasha Knight

Autorką bestsellerowych romansów i darków z listy USA Today. Sprzedała ponad pół miliona książek, które zostały przełożone na sześć języków. Obecnie mieszka w Holandii z mężem i dwiema córkami. Kiedy nie pisze, chodzi po lesie, słuchając audiobooków, siedzi w kącie z książką albo zwiedza świat tak często, jak to możliwe.